Nie zadzieraj z Molly Murphy!

Rhys Bowen

Dublin, moja miłość

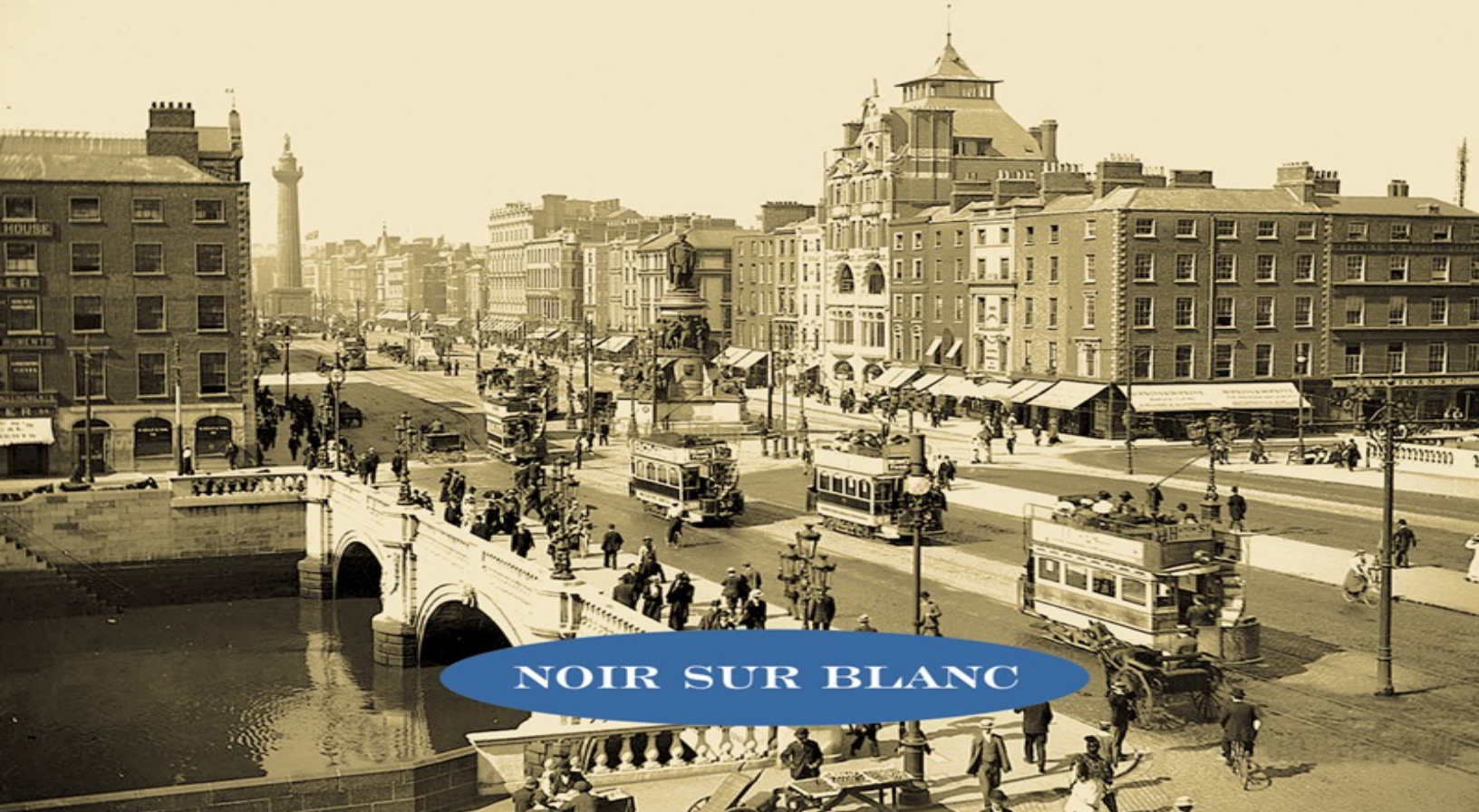

NOIR SUR BLANC

RHYS BOWEN

DUBLIN, MOJA MIŁOŚĆ

Przełożyła
Joanna Orłoś-Supeł

NOIR SUR BLANC

Spis treści

Karta redakcyjna

Dedykacja

Rozdział 1
Rozdział 2
Rozdział 3
Rozdział 4
Rozdział 5
Rozdział 6
Rozdział 7
Rozdział 8
Rozdział 9
Rozdział 10
Rozdział 11
Rozdział 12
Rozdział 13
Rozdział 14
Rozdział 15
Rozdział 16
Rozdział 17
Rozdział 18
Rozdział 19
Rozdział 20
Rozdział 21

Rozdział 22
Rozdział 23
Rozdział 24
Rozdział 25
Rozdział 26
Rozdział 27
Rozdział 28
Rozdział 29
Rozdział 30
Rozdział 31
Rozdział 32
Rozdział 33
Rozdział 34

Notka historyczna
Przypisy
Inne powieści Rhys Bowen

Tytuł oryginału: IN DUBLIN'S FAIR CITY

Opracowanie redakcyjne: MIROSŁAW GRABOWSKI
Korekta: JOLANTA SPODAR, JANINA ZGRZEMBSKA
Projekt okładki: WITOLD SIEMASZKIEWICZ
Skład i łamanie: PLUS 2 Witold Kuśmierczyk
Fotografie na okładce:
© H. Armstrong Roberts/ClassicStock/Corbis/Fotochannels
William Lawrence (1840–1932), National Library of Ireland on The Commons, Wikimedia Commons

Copyright © 2007 by Rhys Bowen
For the Polish edition
Copyright © 2017, Noir sur Blanc, Warszawa

ISBN 978-83-65613-40-0

Oficyna Literacka Noir sur Blanc Sp. z o.o.
ul. Frascati 18, 00-483 Warszawa
e-mail: nsb@wl.net.pl
księgarnia internetowa: www.noirsurblanc.pl

Konwersja: eLitera s.c.

Książkę dedykuję pamięci dwóch wspaniałych kobiet, niemal rówieśniczek Molly, które odeszły jedna po drugiej w odstępie tygodnia.

Marie McCormack i Alice Stinchcomb były mądre, przebojowe, pełne entuzjazmu, zupełnie jak Molly. Obydwie skończyły uniwersytet w czasach, gdy kobiecie nie wypadało się kształcić. Pochłaniały książki, również te, które ja napisałam. Aż do samego końca moje przyjaciółki zachowały sprawność umysłu.

Będę za nimi tęsknić.

1

Uważaj na swoje marzenia.

To jedyne powiedzonko mojej matki, w którym nie straszyła mnie ogniem piekielnym ani wiecznym potępieniem. Mówiła tak wówczas, gdy zwierzałam się, że chcę zobaczyć Dublin, zatańczyć na balu jak prawdziwa dama, mieć powóz z koniem czy po prostu wyrwać się z nudnego Ballykillin. Puenta, nawet jeśli niewypowiedziana na głos, zawsze wisiała w powietrzu: *Bo mogą się spełnić*.

Niedawno te słowa znów zaczęły mnie prześladować. Mama z pewnością zaśmiewa się teraz do rozpuku, nieważne, w niebie czy gdzie indziej. Kiedy przyjechałam do Nowego Jorku i poznałam kapitana Daniela Sullivana, zaczęłam po cichu marzyć, że pewnego dnia będziemy razem. Początkowo wydawało się to zupełnie niemożliwe. Później, gdy okazało się, że Daniel jest człowiekiem nieodpowiedzialnym i dwulicowym, doszłam do wniosku, iż nic dobrego z naszej znajomości nie wyniknie. Mimo to nie potrafiłam wyrzucić go ani z serca, ani z myśli. Teraz jednak Daniel Sullivan zaczął obdarzać mnie taką uwagą, o jakiej kiedyś nie śmiałam marzyć. Ba, nawet jeszcze większą!

Minęły już trzy tygodnie, odkąd wyszedł za kaucją z więzienia. Cały czas jednak ciążyły na nim zarzuty przyjęcia łapówki od gangu, działania na rzecz grupy przestępczej i organizowania nielegalnych walk. Choć nie mieliśmy żadnych nowych wieści w tej sprawie, wszyscy doskonale wiedzieli, kto za tym stoi. Sytuacja była niewątpliwie bardzo trudna dla Daniela. Wyglądało na to, że stąpa po kruchym lodzie. On, kapitan nowojorskiej policji, z koneksjami w towarzystwie i w gronie „czterystu”, do którego należały najznamienitsze rodziny w mieście, przyzwyczajony do stroszenia piórek, do hołdów składanych przez podwładnych, nie odnajdywał się dobrze w nowym położeniu. Czas spędzony w Katakumbach odbił się na jego zdrowiu fizycznym i psychicznym i teraz Daniel miotał się jak tygrys w klatce.

Klatką był w jakimś sensie mój dom. Pewnego mglistego wrześniowego popołudnia, kiedy ja zamiatałam podłogę, Daniel wyszedł do miasta w ważnej sprawie. Udało mu się wreszcie zatrudnić dobrego adwokata, który zorganizował spotkanie z komendantem policji, panem Johnem Partridge'em. Robiąc porządki, zastanawiałam się, czy Daniel wróci jako człowiek wolny od podejrzeń i czy odzyska dobre imię.

– Boże, zdejmij z niego ten straszliwy ciężar – modliłam się na głos, mimo że niezbyt często ucinałam sobie pogawędki z Wszechmocnym. – I proszę, niech wróci do pracy i zostawi mnie w spokoju.

Zaraz, zaraz! Czyż nie powinnam być zakochana w Danielu Sullivanie?! Przecież pewnego dnia mamy się pobrać. Niestety, szczerze powiedziawszy, miałam dosyć jego ciągłej obecności. *Na dobre i na złe, w bogactwie i w biedzie, w zdrowiu i w chorobie...* Ten fragment przysięgi małżeńskiej będzie dla mnie wyjątkowo trudny, pod warunkiem oczywiście, że Daniel w końcu poprosi mnie o rękę.

W oczekiwaniu na powrót kapitana Sullivana gorączkowo sprzątałam dom, polerując nowe meble tak mocno, że w końcu mogłam się w nich przejrzeć. Ale Daniel nie wracał. Przesłuchanie powinno się już skończyć – rozmyślałam. Miałam nadzieję, że komendant uwolni Daniela od zarzutów. Przeszłam wszerz i wzdłuż cały dom, dokładnie w taki sam sposób, w jaki Daniel to robił ostatnimi czasy. Odchyliłam firankę, wyjrzałam na Patchin Place, a potem znów zasłoniłam okno. Nagle poczułam, że dłużej nie wytrzymam. Potrzebuję towarzystwa! Natychmiast! Miłego, zabawnego towarzystwa. I wiedziałam dokładnie, gdzie takie znaleźć. Przeszłam przez ulicę i zapukałam do domu naprzeciwko. Otworzył je ktoś o przerażająco bladej twarzy i dwóch zielonych kółkach zamiast oczu. Krzyknęłam, kiedy postać zdjęła jeden z zielonych plasterków.

– Przepraszam – powiedziała. – To ogórek. Sprawdzamy, jak działają na cerę naturalne produkty. Sid przeczytała właśnie w „Pani Domu" artykuł na ten temat.

Duch o białej twarzy okazał się moją przyjaciółką i sąsiadką Augustą Mary Walcott, z tych Walcottów z Bostonu, zwykle zwaną po prostu „Gus".

– W „Pani Domu”? – Roześmiałam się. – W życiu bym nie pomyślała, że czytacie takie rzeczy.

– Okładka nas zachęciła. Była na niej zapowiedź wskazówek, jak urządzić dom w stylu japońskim, co właśnie zamierzałyśmy zrobić. Więc kupiłyśmy pismo, a tam był ten fascynujący artykuł o zdrowiu i urodzie, no to pewne rzeczy zdecydowałyśmy się od razu wypróbować. Wejdź, przyszłaś w samą porę. Dostaniesz trochę maseczki na twarz.

Wciągnęła mnie do środka i poprowadziła korytarzem do kuchni.

– Białko kurze podgrzane w wodzie różanej z ałunem, olejkiem ze słodkich migdałów i odrobiną miodu. Wszystko dokładnie wymieszane. Kładziesz na twarz i czekasz, aż zaschnie – oznajmiła. – Muszę przyznać, że to dziwne uczucie, kiedy taka papka zastyga ci na twarzy, ale czuję wyraźnie, jak wyciąga ze skóry wszystkie nieczystości.

Sid i Gus dobudowały od strony kuchni altankę, z której wychodziło się do ogródka. Wszystkie drzwi w domu były teraz otwarte, co sprawiało, że poczułam się jak w jakiejś wiejskiej posiadłości. Natychmiast zauważyłam drugą postać o białej twarzy, pod prześcieradłem na leżaku. Pomyślałabym, że to trup, gdyby postać energicznie się nie wachlowała.

– Co za wstrętne muchy! – mruknęła. – Przypuszczam, że to białko kurze tak je przyciąga. Nie dają mi spokoju.

– Mamy gościa, Sid, kochanie! – zawołała Gus. – Zaprosiłam Molly, żeby poeksperymentowała razem z nami.

Elena Godfarb, znana jako Sid, wyprostowała się i zdjęła z oczu plastry ogórka.

– Mówiłam Gus, żeby po ciebie poszła, ale ona stwierdziła, że nie zechcesz zostawić Daniela, tego zdrajcy.

– Dzięki Bogu, akurat nie ma go w domu – odparłam.

– Zakochana kobieta nie użyłaby takich słów. – Sid chciała prychnąć, ale z maseczką na twarzy okazało się to niemożliwe.

– Wiem. Jestem okropna. Powinnam się cieszyć, że codziennie zaszczyca mnie swoją obecnością, ale szczerze mówiąc, wcale tak nie jest. Jego ponury

nastrój doprowadza mnie do szału. Doszłam do wniosku, że nigdy nie będę dobrą żoną.

– Jestem przekonana, że każdy od czasu do czasu doprowadza swojego partnera do szału – zauważyła Sid. – U nas w domu tak właśnie jest. A teraz związ włosy i pozwól, żebym ci nałożyła trochę tej mikstury na twarz. Pani Vestris podobno właśnie dzięki niej jest wciąż piękna.

Nie miałam pojęcia, kim jest pani Vestris.

– Nie trzeba... – zaczęłam.

– Nie psuj zabawy, Molly – przerwała mi Gus, zbierając do tyłu moje niesforne kosmyki. – Poza tym podobno działa kojąco, więc będziesz łagodniejsza dla Daniela, kiedy wróci.

Postanowiłam dać się ponieść chwili i wkrótce razem z Sid i Gus śmiałam się do rozpuku. Zamieniły mnie w ciastko z kremem! Co za dziwne uczucie – pomyślałam. Kiedy ostatni raz śmiałam się z przyjaciółmi? Lato zostało mi w pamięci jako czas wielkiego strachu i rozpaczy, że o prawdziwych tarapatach nie wspomnę. Wprawdzie doszłam już do siebie po trudnych przejściach, które mnie dotknęły – zarówno psychicznie, jak i fizycznie – ale w swojej małej agencji nie miałam jeszcze żadnych nowych zleceń.

– To dokąd dzisiaj poszedł ten okropny Daniel? – zapytała Sid. – Nie ruszaj się, bo ogórek spadnie.

– Nowy obrońca umówił spotkanie z komendantem policji. Żąda wycofania wszystkich oskarżeń.

– Wreszcie jakieś dobre wieści, prawda? – zauważyła Gus.

– Taką mam nadzieję – odparłam. – Reputacja jest bardzo ważna dla Daniela! Koledzy w pracy wciąż uważają, że ich zdradził. Wiem, że to go strasznie boli.

– Wszystko będzie dobrze – oświadczyła Sid. – Daniel zostanie zrehabilitowany i wróci do pracy, Molly znów zacznie żyć swoim życiem, a na Patchin Place zapanuje spokój.

Nie zdążyła nawet skończyć zdania, kiedy do drzwi wejściowych ktoś bardzo głośno zapukał. Gus pobiegła otworzyć. Po chwili usłyszałyśmy:

– Ki diabeł?!

– Maseczka odmładzająca – padła spokojna odpowiedź. – Jeśli szukasz Molly, jest z nami.

Ledwie zdjęłam z powiek plastry ogórka, moim oczom ukazał się Daniel.

– Byłem naprzeciwko, ale cię nie zastałem.

– Jako doświadczony detektyw doszedł pan, kapitanie, do wniosku, że pewnie jest u nas – stwierdziła spokojnie Sid. – Czy mogę zaproponować szklankę mrożonej herbaty? A może coś mocniejszego?

– Drogie panie, nie jestem w towarzyskim nastroju – odparł Daniel. – Wracam ze spotkania z komendantem, który bardzo mnie zdenerwował.

– Nie chce wycofać oskarżenia? – spytałam.

– Nie, nie chce. Do jasnej cholery! – wykrzyknął Daniel, ale po chwili się opamiętał. – Przepraszam najmocniej za słowa, ale moja cierpliwość właśnie się skończyła. Molly, czy możesz się umyć i wrócić ze mną do domu?

Dotknęłam dłonią policzka.

– Maseczka musi zastygnąć, zanim będę ją mogła zdjąć – zauważyłam. – Ale o co dokładnie chodzi Partridge'owi? Dlaczego nie chce uznać, że jesteś niewinny?

– Dlatego, że ten potwór Quigley do niczego się nie przyznaje. Dopiero sąd zadecyduje, który z nas trafi za kratki.

– To śmieszne – zauważyłam, z trudem wstając z fotela. – Musimy udowodnić, że to wszystko wina Quigleya.

– Możemy spróbować udowodnić mu morderstwo, ale nie ma żadnych dowodów na to, że zaaranżował moje spotkanie z gangiem. No i przecież przyznałem się do organizowania walki.

– Za to cię nie mogą skazać. Pół departamentu policji tam było. Widziałam na własne oczy.

Daniel westchnął.

– Wiem, że to nie ma sensu, ale odnoszę wrażenie, że Partridge chce mnie ukarać. Dać innym przykład. Zmieni zdanie tylko wtedy, gdy gangsterzy,

a najlepiej sam Monk, kategorycznie zaprzeczą, że kiedykolwiek z nimi współpracowałem.

– To na co czekasz?

Daniel zaśmiał się gorzko.

– Mam poprosić Monka Eastmana, żeby mnie bronił? Chyba nie rozumiesz, o co tu chodzi, Molly. On tylko czeka na moje potknięcie. Nie wstawi się za mną ani on, ani jego ludzie.

– Nie masz racji – stwierdziłam. – Prosiłam go kiedyś o pomoc.

– Prosiłaś Monka o pomoc?! Zabraniam ci postępować w ten sposób. To rozkaz.

– Nie możesz mi rozkazywać – odparłam. – Nie jestem twoją żoną, a nawet jeślibym była, nie słuchałabym komend jak wytresowany pies.

Zaśmiał się.

– W to nie wątpię, ale nigdy nie wyślę cię do Monka w swoim imieniu. Wolę już zgnić w Katakumbach.

– Wyślij Dżentelmena Jacka – zaproponowałam. – Ma teraz chody u Monka. Wygrał dla niego walkę i nabił gangowi kiesę.

– Owszem, ale przecież poznałaś Jacka, Molly. Ten człowiek ma strasznie poobijaną głowę. Zapomniałby, jak się nazywa, gdyby od czasu do czasu ktoś nie zwracał się do niego po imieniu. Co on może?

– Daj mu przynajmniej szansę, Danielu. Napisz list, zamów powóz i wyślij Jacka w roli swojego posłańca. Mógłby potem jeszcze coś szepnąć Monkowi od siebie.

– Molly, dajmy spokój. Nie da się rozmawiać na poważnie w takich warunkach – prychnął Daniel. – Zrób, o co cię proszę. Zdejmij z twarzy tę papkę, z którą wyglądasz jak mrożone ciastko, i porozmawiajmy o moich sprawach na osobności. Nie sądzę, by nasza konwersacja była interesująca dla innych.

– Ależ my się bardzo wszystkim przejmujemy – wtrąciła Gus. – Przecież to i nas dotyka. Z powodu pańskich problemów Molly jest smutna. A jeśli Molly jest smutna, to z kolei my nie potrafimy cieszyć się życiem. Proszę nam

wierzyć, chcemy z niego czerpać garściami. Im szybciej sytuacja się rozwiąże, tym lepiej również dla nas.

– Aha. – Jedynie tyle potrafił Daniel wykrztusić z siebie w odpowiedzi.

– Kapitanie, nalegam. Kieliszek brandy dobrze panu zrobi – zaproponowała Gus spokojnym tonem. – Jestem pewna, że miał pan męczący dzień, a biedna Molly, przychodząc tu, wydawała się dość przybita. Jej też jest teraz trudno.

– Zdaję sobie z tego sprawę – odparł Daniel i znów westchnął. – Dobrze, przyjmuję propozycję. Zresztą i tak nie mogę wyjść z Molly na ulicę, dopóki nie zdejmie z twarzy tego świństwa.

– Zakryj z powrotem oczy plastrami ogórka, bo inaczej nie odpoczną – zaordynowała Gus i poszła po karafkę.

Z maską na twarzy czułam się w obecności Daniela trochę głupio, więc zrobiłam, co kazała, a potem pogrążyłam się w myślach.

– Sądzę, że powinniście zostać na kolację, prawda, Sid? – zaproponowała Gus, wracając do nas z karafką po brzegi wypełnioną brandy. – Przygotujemy coś po japońsku. Już dawno chciałam podać surową rybę.

– Naprawdę nie trzeba... – zaczął Daniel, kiedy ponownie usłyszeliśmy pukanie do drzwi.

– Rety, ale jesteśmy dzisiaj popularne! – Sid poderwała się z leżaka.

– Może ja otworzę – powstrzymał ją Daniel. – Wy, damy, możecie tylko kogoś wystraszyć.

Niemal od razu usłyszałyśmy w drzwiach męski głos, w teatralny sposób modulujący każde słowo.

– Co za rozczarowanie! Miałem nadzieję zobaczyć dwie piękne panie. Proszę nie mówić, że zatrudniły lokaja.

– Damy, o których pan raczył wspomnieć, nie mogą teraz przyjmować gości – odparł Daniel. – A ja nie jestem lokajem.

– Jak to nie mogą? Proszę nie mówić, że zapadły na tę okropną grypę, która krąży po mieście. Błagam... tylko nie to. Czy jest pan lekarzem?

– Nie jestem. Mogę zapytać, z kim mam przyjemność? Czy przekazać paniom jakąś wiadomość?

– Muszę się przedstawić? Myślałem, że wszyscy wiedzą, kim jestem. Proszę powiedzieć, że Ryan przyszedł z wizytą i pragnie natychmiast widzieć swoje przyjaciółki. A może wie pan przypadkiem, gdzie się podziała boska Molly Murphy? To ją szczególnie chciałbym zobaczyć dziś wieczorem.

– Panna Murphy przebywa z paniami tutaj, ale naprawdę nie sądzę, by...

Zanim dokończył, usłyszałyśmy poruszenie w korytarzu, krzyk Daniela, a potem naszym oczom ukazał się przyjaciel – irlandzki dramaturg Ryan O'Hare, ubrany w białą płócienną koszulę i niebieską pelerynę. Poczułam się jak w teatrze.

Kiedy nas zobaczył, zatrzymał się gwałtownie i oznajmił z zachwytem w głosie:

– To ta maseczka na twarz, którą widziałem w „Pani Domu". Co za niespodzianka! Też chciałbym spróbować.

– Niestety, Molly dostała ostatnią porcję – wyznała Sid.

– Molly, aniele, to ty? Oczywiście. Twoją delikatną dłoń poznam wszędzie. Pozwolisz, że ją ucałuję?

– Przepraszam najmocniej, szanowne panie – powiedział sztywno Daniel. – Rozumiem, że znacie tego dżentelmena.

– Cóż za niezręczna sytuacja! Panowie nigdy nie zostali sobie przedstawieni? Ryan O'Hare, sławny dramaturg; kapitan policji nowojorskiej Daniel Sullivan. – Sid jak zwykle wykazała się taktem.

– Daniel zdrajca?! – wykrzyknął Ryan. – W końcu się spotykamy! Tyle o panu słyszałem! Jestem dumny z Molly, że zdołała wyciągnąć pana z więzienia.

– Cóż, na razie wyszedłem za kaucją – odparł Daniel lodowatym tonem. – Ale oczywiście doceniam pomoc Molly.

Nie znał prawdy; nie wiedział, przez co przeszłam, starając się wyciągnąć go z więzienia. Zdecydowałam, że nigdy się o tym nie dowie i że nigdy mu nie powiem, co się wydarzyło na Coney Island. Ten rozdział w moim życiu jest zamknięty.

– Maseczka chyba już zastygła – zauważyła Sid i zaczęła zdejmować

z twarzy białą skorupę.

Poszłyśmy w jej ślady.

Ryan biegał i dotykał naszych policzków.

– Cudowne! Jakie miękkie! Jak pupa niemowlaka!

– Naprawdę, Ryanie! Któregoś razu przesadzisz. Wiemy dobrze, że uwielbiasz wszystkich szokować swoim zachowaniem – upomniała go Sid.

– Daj spokój, po prostu dobrze się bawię – odparł Ryan.

– Molly, czy możemy już iść? – Daniel podszedł do mnie i chwycił za ramię.

– Nie wypił pan brandy – zaprotestowała Sid.

– Dziękuję, ale w tych okolicznościach...

– Nie może pan teraz pozbawić nas towarzystwa Molly. Zabraniam – powiedział Ryan. – To dla niej przebyłem męczącą drogę w upale i kurzu, nękany przez muchy – dodał i chwycił mnie za drugie ramię. – Molly, wybacz, ale muszę cię porwać. Obiecałem komuś, kto bardzo pragnie cię poznać, że dotrzesz dziś na pewne przyjęcie.

Zerknęłam na Daniela. Patrzył na nas wzrokiem bazyliszka.

– Obawiam się, że dzisiaj nie mogę pójść z tobą na przyjęcie – oznajmiłam, ale po chwili ciekawość wzięła górę. – Kto tak bardzo chce mnie poznać?

– Tommy Burke we własnej osobie.

– Nie wiem, kim jest Tommy Burke – powiedziałam.

– Nigdy o nim nie słyszałaś?! – Ryan aż krzyknął zdziwiony. – Moja droga, to najsłynniejszy impresario w mieście! Jego spektakle są zawsze wielkim wydarzeniem. Widziałaś *Chatę wuja Toma*? Wszyscy lali łzy. Ale to na marginesie. Tommy wydaje dziś przyjęcie na dachu kabaretu przy Madison Square. A teraz powiedz mi jeszcze raz, że nie chcesz tam iść...

– Rety! To brzmi fantastycznie – zauważyła Sid. – Rozumiem, że zapraszasz tylko Molly. Gus i ja czujemy się pokrzywdzone.

– Ależ wręcz przeciwnie! Też jesteście zaproszone. Nieustraszony kapitan policji również, jeśli tylko ma ochotę – odparł Ryan. – Po prostu Tommy

Burke chciał przede wszystkim poznać Molly.

– Jakim cudem? Kto mu o mnie powiedział?

– Nie wiem. Chodzi o twoją pracę, jak mniemam. Nieważne, wszystkiego się dowiesz przy kieliszku wspaniałego szampana. Przyjdę po ciebie o ósmej; chcę, żebyś wyglądała olśniewająco – podsumował Ryan i zerknął na kuchenny zegar na ścianie. – Co? Która godzina? Spóźnię się do krawca. Uciekam.

I już go nie było.

2

W milczeniu przeszliśmy z Danielem na drugą stronę ulicy.

– Chyba nie zamierzasz pójść na przyjęcie w towarzystwie tej dziwnej kreatury? – odezwał się w końcu Daniel, kiedy weszliśmy do domu i zamknęłam za nami drzwi.

– Nie jest żadną dziwną kreaturą. To uroczy i utalentowany człowiek.

– Moim zdaniem to wariat, Molly – stwierdził Daniel. – Wyrzucony przez cywilizowanych ludzi na margines.

Nie wytrzymałam.

– Sam jesteś chwilowo wyrzucony przez cywilizowanych ludzi na margines, zapomniałeś? Gagatek, który na chwilę wyszedł za kaucją! Ciekawe, co myśli teraz o tobie panna Van Woekem i jej towarzystwo?

Spurpurowiał ze złości.

– To nie to samo i dobrze o tym wiesz! Pozwalasz, żeby cię obłapiał! Ciekawe, jak się zachowujesz, kiedy mnie nie ma w pobliżu!

– Obłapiał? Danielu, on mi tylko położył rękę na ramieniu, a potem dotknął policzka, jeśli dobrze pamiętam. Trudno to nazwać obłapianiem. I jeszcze jedno, Ryan traktuje mnie jak siostrę, nic więcej. Kobiety go nie interesują.

– Kolejny Oscar Wilde? Tak podejrzewałem. Molly, zdecydowanie zabraniam ci iść wieczorem na to przyjęcie i w ogóle zadawać się z tym człowiekiem.

Irlandczycy uwielbiają się spierać i kłócić. Nie mogłam przepuścić takiej okazji.

– Zdecydowanie zabraniasz?! – wrzasnęłam. – A kim ty niby jesteś, żeby mi rozkazywać? Zaledwie parę tygodni temu byłeś zaręczony z inną kobietą i nie przypominam sobie, żebyś kiedykolwiek uklęknął i poprosił mnie o rękę. Ale

nawet gdybyśmy już byli po słowie, natychmiast zrzuciłabym pierścionek z palca. Nikt nie będzie mnie tak traktował. Nikt.

– W takim razie dobrze się stało, że takie deklaracje nigdy nie padły z moich ust – odparł Daniel chłodno.

– Święta prawda, Danielu. Nie jestem niczyją własnością. Sama decyduję o sobie i o tym, z kim się spotykam. Jeśli nie ufasz mi i uważasz, że źle dobieram sobie przyjaciół, to nasza wspólna przyszłość chyba nie ma sensu.

Daniel zabrał swój słomkowy kapelusz.

– W takim razie nie wiem, po co tu jestem. Miłego wieczoru, panno Murphy.

Skłonił się grzecznie i wyszedł.

Stałam jak wryta, ze wzrokiem wbitym w drzwi. Miałam wielką ochotę pobiec za nim i wszystko naprawić! Powstrzymałam się jednak, bo po raz pierwszy poczułam przedsmak tego, jak może wyglądać małżeństwo z Danielem. Nie będzie mi mówił, z kim mam się spotykać i jak zachowywać. Nie wyzbędę się własnej tożsamości i wolności. Chociaż wiele kobiet decyduje się na takie związki. Co nimi powoduje? Miłość? Czy aż tak bardzo kocham Daniela Sullivana, że wychodząc za niego, zechcę podporządkować mu całe swoje życie? Na początku naszego romansu byłam gotowa w każdej chwili powiedzieć „tak". Wiem, że niektórym kobietom zależy na poczuciu bezpieczeństwa. Wiele z nich nie potrafi o siebie zadbać. Ludzie nie zawsze przychylnie patrzą na pracujące kobiety. Te, które mają własne dochody, jak Sid i Gus, radzą sobie całkiem nieźle, ale ja z trudem utrzymuję firmę Riley i Partnerzy.

Przypomniałam sobie o dzisiejszym zaproszeniu. Ryan powiedział, że chodzi o moją pracę. Czyżby ten sławny impresario Tommy Burke zamierzał mi zlecić jakieś śledztwo? Nic mnie nie powstrzyma przed pójściem dzisiaj na to przyjęcie – postanowiłam.

Mimo wszystko miałam nadzieję, że Daniel wróci i przeprosi za swoje zachowanie. Tak się jednak nie stało. Czułam się zawiedziona, przygnębiona, ale też trochę winna, bo przecież Daniel znajdował się obecnie w trudnej sytuacji i nie powinnam była go dodatkowo drażnić. Jeśli jednak tak łatwo się

kłócimy i tak bardzo różnimy podejściem do życia, to jak będzie wyglądał nasz związek?

O ósmej byłam już elegancko ubrana. Do wyboru miałam dwie suknie – muślinową albo z tafty, w kolorze morskiej zieleni. Zdecydowałam się na tę drugą, którą dostałam kiedyś od Gus. Moja przyjaciółka lata temu wystąpiła w niej podczas swojego towarzyskiego debiutu. Bufiaste rękawy wyszły już wprawdzie z mody, ale kolor tkaniny świetnie kontrastował z moimi rudymi lokami.

Następnie zajęłam się fryzurą. Po dłuższej chwili udało mi się poskromić włosy i spiąć je grzebieniami z masy perłowej. Maseczka rzeczywiście sprawiła, że buzię miałam gładką, ale cera tak się świeciła, że musiałam położyć na policzki i czoło odrobinę mąki kukurydzianej. Spojrzałam w lustro i doszłam do wniosku, że końcowy efekt nie jest wcale zły. Byłam podekscytowana! Nieczęsto chodzi się na ekscentryczne przyjęcia organizowane na dachu przez wielkich tego świata!

Sid i Gus wyszły z domu w tym samym momencie co ja. Wyglądały fantastycznie! Sid zaczesała do tyłu swoje proste włosy. Zauważyłam, że pod zdobną zieloną peleryną ma spodnie. W normalnym towarzystwie taki strój pewnie by nie uchodził, ale bohema artystyczna właśnie tak się nosi – pomyślałam. Daniel pewnie miał rację, mówiąc, że moi przyjaciele nie należą do towarzystwa, ale przecież towarzystwo, które miał na myśli, w ogóle by ich nie interesowało.

Ryan czekał na nas w wynajętym powozie i miał na sobie ten sam strój co wcześniej. Wyglądał trochę jak Hamlet. Wdrapałyśmy się wszystkie do środka.

– Nie ma Daniela – stwierdził Ryan. – Chyba nie było mu z nami po drodze, prawda?

– Zabronił mi iść na to przyjęcie, więc rozstaliśmy się w złości – powiedziałam.

– Jak to dobrze, Molly, że nie pozwoliłaś mu wejść sobie na głowę! Brawo, moja droga! – zauważyła Sid.

– Czy ja komukolwiek daję wchodzić sobie na głowę? – zapytałam.

– Nie, ale kobiety często rezygnują ze swojego życia tylko po to, by uszczęśliwić mężczyznę.

– Powiem wprost. Żaden mężczyzna nie będzie mi nigdy rozkazywał. Nawet Daniel Sullivan. Jeśli nie potrafi mi zaufać i uważa, że źle dobieram sobie przyjaciół, marny z niego kandydat na męża.

– Rozumiem! Czyli to nasza wina – stwierdziła Sid. – Daniel uważa, że zadajesz się z nieodpowiednimi ludźmi...

– Współczuję mu. Nawet nie wie, jak bardzo się myli – odparłam. – Proszę, nie rozmawiajmy już na jego temat.

Jechaliśmy w stronę Szóstej Alei. Wyglądałam przez okno, obserwując ulice Nowego Jorku, które tak jak każdego ciepłego wieczoru o tej porze roku wprost kipiały życiem. Kobiety z dziećmi na kolanach siedziały na schodach, chłopcy grali w uliczne gry, a dziewczynki skakały przez skakankę. W chwilach takich jak ta uświadamiałam sobie, że mieszkam w fantastycznym mieście i świat stoi przede mną otworem. Postanowiłam, że dziś wieczorem zrobię wszystko, by dobrze się bawić.

– Nie wiesz przypadkiem, Ryanie – Gus spróbowała skierować rozmowę na inne tory – co słychać u tego sympatycznego doktora Birnbauma?

– Niestety, nasze drogi się rozeszły – odparł Ryan. – Chyba tak jak Daniel uważał, że znajomość ze mną nie przystoi osobie z towarzystwa. Bardzo starałem się być grzeczny i nawet chodziłem na przyjęcia w zwyczajnej marynarce. Wszystko przez moją reputację! Ale rozstaliśmy się w przyjaźni.

– Przykro mi – powiedziała Sid.

– Niepotrzebnie – odparł Ryan. – Świat jest pełen nowych możliwości. Zawsze to powtarzam.

Kochany Ryan – pomyślałam. Moi przyjaciele korzystają z życia, ciesząc się każdą chwilą. Nie ma w nich nic, co byłoby pospolite i nudne.

Powóz zatrzymał się przed wysokim, imponującym budynkiem, który kilkakrotnie już mijałam, zawsze podziwiając mauretańskie kolumnady i strzelistą wieżę. Nigdy jednak nie byłam w środku i nigdy nawet do głowy mi nie przyszło, że kiedyś to nastąpi.

Modnie ubrane towarzystwo przechadzało się przed wejściem. Żebracy i nędzarze skupili się pod ścianą, podchodząc bliżej, gdy tylko przed budynkiem zatrzymał się jakiś powóz. Zaczepili i nas, próbując sprzedać kwiaty, ale Ryan zdecydowanie poprowadził całą grupę do schodów. Kiedy weszliśmy na dach, poczułam onieśmielenie i schowałam się trochę za plecami Ryana. Taras był udekorowany rzeźbami, wysokimi palmami w donicach i świecznikami w mauretańskim stylu. Panował tu ogromny ścisk; kelnerzy, niosąc nad głowami zebranych tace z jedzeniem i szampanem, przedzierali się przez tłum. Na scenie w końcu tarasu grał zespół złożony z czarnoskórych muzyków. Dźwięki były nowoczesne, synkopowe, a kilka par próbowało nawet tańczyć, podrygując w dziwacznych wygibasach, ale gwar tłumu niemal zagłuszał muzykę. Szlachetne kamienie w biżuterii dam pobłyskiwały w świetle elektrycznych żarówek zamontowanych w świecznikach. Wśród przystojnych mężczyzn w smokingach i kobiet w pięknych strojach, z piórkami we włosach, nie brakowało również ekscentryków, takich jak Ryan.

Nasz przyjaciel popędził do przodu. Zaczęły się powitania, uściski dłoni i głębokie ukłony. Wydawało się, że zna tu wszystkich. Podobnie zresztą jak Sid i Gus. Stałam samotnie w napierającym tłumie, czując się trochę jak Kopciuszek. Przygnębiona, zaczęłam żałować, że nie zostałam w domu. Kiedy przypłynął do mnie kelner z szampanem na tacy, wzięłam kieliszek, przypominając sobie, że jeszcze dwa lata temu udział w takim przyjęciu nie zagościł nawet w moich najskrytszych marzeniach. Oto teraz mieszkam w największej metropolii świata i obracam się w jej najznakomitszym towarzystwie. Nieźle jak na dziewczynę z głębokiej wsi w Ballykillin.

– Ach, tu jesteś, Molly! Nie masz już szampana? Pozwól, że przyniosę ci drugi kieliszek – zaproponował Ryan, który najwyraźniej wyjątkowo był wolny.

– Szampan leje się tu strumieniami – skomentowałam.

– Owszem. Widziałaś już fontannę? – Wziął mnie za rękę i poprowadził w drugi koniec tarasu. Moim oczom ukazała się fontanna, która... Nie, wcale mnie oczy nie myliły, była pełna szampana.

– Panienko Przenajświętsza! Czego to ludzie nie wymyślą! – wymamrotałam, a Ryan parsknął śmiechem.

– Tommy Burke nie żałuje pieniędzy. Jeśli o tym przyjęciu nie będzie się w mieście mówiło miesiącami, uzna to za porażkę. W porządku, spróbujmy go znaleźć.

Zaczęliśmy się przedzierać przez tłum. Noc była parna, a zapachy perfum, cygar i potu mieszały się ze sobą nieznośnie. Zrobiło mi się słabo i nawet przestraszyłam się, że zemdleję. Na szczęście Ryan akurat się zatrzymał. Stanęliśmy przy postawnym mężczyźnie w smokingu. Był w średnim wieku, miał bujną siwą czuprynę i okrągłą czerwoną twarz. Wyglądał trochę jak farmer z irlandzkiej wsi. W jednej dłoni trzymał kieliszek, w drugiej cygaro. Prowadził ożywioną rozmowę z rudowłosą pięknością odzianą w długą białą jedwabną suknię z trenem zarzuconym na ramię.

Tym razem nawet Ryan był onieśmielony. Dopiero kiedy w konwersacji tych dwojga nastąpiła przerwa, delikatnie poklepał mężczyznę po ramieniu.

– Tommy, pozwól, że ci przedstawię pannę Molly Murphy. Obiecałem, że ją przyprowadzę, i oto jest.

Mężczyzna odwrócił się w naszą stronę i od dołu do góry otaksował mnie przenikliwym wzrokiem.

– Molly Murphy, tak? – Wyciągnął grubą dłoń. – Cieszę się bardzo, że mogę panią poznać.

– Mnie również jest niezmiernie miło – odparłam. – Zaintrygowało mnie pańskie zaproszenie. Czyżby chciał mnie pan zatrudnić w teatrze?

Odrzucił głowę do tyłu i parsknął śmiechem.

– A to paradne! Mam ci zaproponować główną rolę? Co na to powie nasza Oona?

Dopiero teraz zdałam sobie sprawę, że widziałam tę kobietę na plakatach rozwieszonych w mieście. Oona Sheehan, gwiazda Broadwayu.

– Oboje wiemy, drogi Tommy, że łaska pańska na pstrym koniu jeździ – odparła Oona swoim głębokim, melodyjnym głosem. – Gdybyś znalazł kogoś ładniejszego i młodszego, z miejsca zostawiłbyś mnie na lodzie. Zdaję sobie

sprawę, że moje dni są policzone – dodała i mrugnęła do mnie.

– Kłamstwo! – krzyknął Tommy. – Wszyscy wiemy, że publiczność będzie cię kochać, nawet gdy przekroczysz sześćdziesiątkę. Jesteś jak nasza cudowna Madame Sarah.

– Mam nadzieję, że dłużej niż ona zachowam urodę – odparła Oona. – Wiecie, moi drodzy państwo, że mieszkamy w jednym budynku? Mamy obie apartamenty w Hoffman House. Czasem na siebie wpadamy. Ostatnio zauważyłam, że wygląda nieszczególnie.

– Ale przecież gra cały czas – stwierdził Tommy. – Cały czas gra!

– Czy też jesteś aktorką, Molly? – zwróciła się do mnie Oona. – Nie przypominam sobie, żebyśmy się wcześniej spotkały...

– Nie, panno Sheehan. Nie aspiruję tak wysoko.

– Dałabyś sobie radę, moja droga – wtrącił się Tommy. – Idę o zakład, że te wspaniałe kostki zapowiadają piękne nogi.

– Tommy, uspokój się – upomniała go Oona. – Popatrz, jak się nasze dziewczę zarumieniło!

– Niemożliwe! Przecież kobieta detektyw powinna być chyba twarda jak stal?

– Kobieta detektyw? – zapytała z niedowierzaniem Oona.

– Tak twierdzi Ryan, choć ja nie wierzę, że detektyw może wyglądać tak młodo i pociągająco. Czy rzeczywiście zarabiasz tym na życie, moje dziewczę?

– Tak.

– I na dodatek jesteś Irlandką?

– Zgadza się.

– Wspaniałe połączenie. Dokładnie kogoś takiego szukam. Nadajesz się.

– Ale do czego?

Tommy Burke nachylił się nade mną.

– Mam dla ciebie pewne zadanie, moja miła – szepnął mi do ucha. – Ale nie będziemy o tym rozmawiać tutaj. Przyjdź jutro do teatru Casino, gdzie

odbywają się próby do mojej nowej sztuki. Na rogu Broadwayu i Trzydziestej Dziewiątej Wschodniej. Powiedz na dole, że jesteś ze mną umówiona. Cały dzień tam jutro będę.

– Wynajmujesz detektywa! To ekscytujące – stwierdziła Oona. – Nie może chodzić o żonę, bo już się z nią rozwiodłeś. Umieram z ciekawości, Tommy.

– Przykro mi, ale w takim razie musisz umrzeć, bo niczego więcej się ode mnie nie dowiesz – stwierdził Tommy i uśmiechnął się do mnie. – Proszę się dziś dobrze bawić, moja droga. Jutro porozmawiamy na osobności.

3

– Wszystko, do czego doszedłem w życiu, zawdzięczam samemu sobie, panno Murphy – powiedział Tommy Burke, kiedy następnego dnia siedzieliśmy w pustym teatrze.

Przed nami na słabo oświetlonej scenie aktorzy ćwiczyli role, ale tu, z tyłu, mogliśmy swobodnie porozmawiać. Byłam skrępowana, czując cudzy oddech na swoim policzku i bliskość obcego, postawnego mężczyzny.

– Jak na chłopaka, który do Ameryki przyjechał bez grosza przy duszy, poradziłem sobie całkiem nieźle. W dzieciństwie zaznałem sporo biedy.

Popatrzył na mnie, a ja ze zrozumieniem skinęłam głową.

– Przyjechaliśmy tutaj podczas wielkiego głodu, tak jak wiele rodzin w tamtych czasach. Angielski szlachcic, dla którego pracowaliśmy, spalił nasz dom, zanim rodzice zdążyli zabrać z niego swoje rzeczy. Miałem wtedy zaledwie cztery lata, ale dobrze to pamiętam. Zbili ulubioną miskę mamy i chybaby ich zabiła, gdyby ojciec jej nie powstrzymał. Mogliśmy płynąć statkiem do Ameryki. To były statki głodu, może o nich słyszałaś. Kursowały w tę i z powrotem przez Atlantyk z tłumem biednych, wychudzonych ludzi na pokładzie.

Patrzył tak, jakby oczekiwał ode mnie komentarza, ale zupełnie nie wiedziałam, co powiedzieć.

– To były straszne czasy – wymamrotałam w końcu. – Moja rodzina omal wówczas nie umarła.

– Z jakiej części kraju jesteś, moja miła?

– Z hrabstwa Mayo.

– Ach, tak! Dziki zachód... Nigdy tam nie byłem, ale podobno to piękne strony. Góry, jeziora, skały przy brzegu.

– To prawda – przytaknęłam. – Owszem, jest tam pięknie, ale człowiek się

czuje jak na końcu świata. Musiałam się stamtąd wyrwać.

– My przypłynęliśmy z południa. Spod Corku. Samej podróży dobrze nie pamiętam, ale statek tak. Parowców jeszcze nie było. Dwanaście dni pod żaglami, prawie wszyscy nieprzytomnie chorowali. Ściśnięci jak sardynki... Przecież już byli osłabieni głodem, więc na morzu padali jak muchy.

– Czemu pan mi to wszystko opowiada, panie Burke? – zapytałam w końcu.

– Zaraz się dowiesz.

Położył mi rękę na dłoni i przez chwilę myślałam, że zaprosił mnie tu z innego powodu. Wiele słyszałam o starszych mężczyznach, którzy lubią młode dziewczyny. Ale nie miałam racji. Odchrząknął.

– Tak jak mówiłem. Zacząłem od zera i doszedłem sam do wszystkiego. Martwię się jednak bardzo tym, że jestem coraz starszy, a nie ma nikogo, komu mógłbym zostawić swój majątek.

– Nie ma pan dzieci? – spytałam.

– Nie mam – powiedział smutno. – Byłem kiedyś żonaty, ale ona nie mogła znieść mojego stylu życia. Kazała mi wybierać. Ona albo teatr. Wybrałem teatr, więc znalazła mężczyznę, który poświęcał jej więcej czasu i uwagi niż ja. Zdecydowałem, że drugi raz nie popełnię tego samego błędu.

Popatrzył na mnie przelotnie i poklepał po dłoni.

– Nie patrz tak na mnie. Oczywiście, że bywały potem kobiety, ale w żadnej się już nie zakochałem. A teraz zostałem sam. Siostra i brat odeszli. Rodzice również. Mam siostrzeńca, ale dla niego już i tak sporo zrobiłem. Sfinansowałem jego studia na Harvardzie, spłaciłem długi, rozwiązałem problem z dziewczyną, która przez niego popadła w kłopoty. Nie, naprawdę nie chcę mu nic zostawić w spadku. I właśnie dlatego proszę cię, moja droga, o pomoc.

Przez krótką chwilę zastanawiałam się, czy przypadkiem nie chce mnie adoptować i uczynić spadkobierczynią fortuny. Fantazjowanie to moja specjalność – tak uważała matka.

– Chciałbym, żebyś odnalazła moją siostrę – oznajmił w końcu pan Burke.

– Siostrę? Przecież powiedział pan, że nie żyje.

Skinął głową.

– Mówiłem o młodszej siostrze, Bridget, mamie Harveya.

– Ma pan dwie siostry?

– To jest bardzo dziwna historia, panno Murphy – powiedział, patrząc w ciemność przed siebie.

Ktoś płakał na scenie, ale nie potrafiłam stwierdzić, czy działo się to naprawdę, czy był to tylko element przedstawienia. W każdym razie łkanie brzmiało bardzo przekonująco.

– Moja mama umarła parę miesięcy temu. Była wspaniałą kobietą. Niesamowicie silną. W ostatnich tygodniach jej życia spędziliśmy razem sporo czasu. Marniała w oczach. To był straszny widok. A pod sam koniec, kiedy dawali jej już morfinę, żeby złagodzić ból, zaczęły się majaczenia. Pewnego dnia wyznała, że ma nadzieję, iż Bóg jej przebaczy. Wyjaśniła, że popełniła wielki grzech, zostawiając dziecko w Irlandii. Byłem w szoku, proszę mi wierzyć, ale nie wiedziałem, czy mówi prawdę, czy fantazjuje. Podobno morfina wywołuje czasem halucynacje. Zadałem parę pytań. Nie była zbyt wylewna, ale dowiedziałem się, że miałem kiedyś siostrę, którą nazwano Mary Ann. Przed laty, kiedy już mieliśmy płynąć do Ameryki, ciężko zachorowała i lekarze nie dawali jej żadnych szans na przeżycie. Rodzice nie chcieli wstrzymywać reszty rodziny. Może i tak już wcześniej musieli przełożyć rejs. W Irlandii umierało wtedy mnóstwo dzieci. W końcu popłynęliśmy bez niej.

– Porzucili ją? – zapytałam przerażona. – Pozwolili jej umrzeć?

– Niedosłownie. Zostawili ją u księdza w lokalnej parafii. Obiecał znaleźć rodzinę, która weźmie dziecko do siebie. Ale najwyraźniej wspomnienia nie dawały mojej matce spokoju, choć nigdy wcześniej się do tego nie przyznała.

– Liczy pan na to, że siostra przeżyła, tak? – spytałam. – Czy są jakieś poszlaki?

– Żadnych. Po prostu muszę się dowiedzieć, jak jest. W tę albo we w tę. Jestem zajętym człowiekiem, panno Murphy. Za dwa miesiące mam premierę najnowszej sztuki. Planuję również pod koniec roku wystawić z rozmachem

Dziewczęta z Toyland. Ogromna obsada, wspaniałe piosenki. Nie mogę się ruszyć z Nowego Jorku. Dlatego właśnie zatrudniam ciebie. Chcę, żebyś popłynęła do Irlandii i spróbowała odnaleźć moją małą siostrzyczkę.

– Do Irlandii?!

Nawet nie potrafię wyrazić słowami wszystkich emocji, które mną zawładnęły na dźwięk tego słowa. Mam szansę wrócić do ojczyzny! Bywały dni, kiedy czułam ogromną tęsknotę za domem. Ale szybko sobie przypominałam, dlaczego musiałam stamtąd uciekać. Mężczyzna, którego – jak mi się kiedyś wydawało – zabiłam, jednak żył i był żądny zemsty. Ucieszyłby się, widząc mnie w kajdankach.

– Zgadza się. – Tommy Burke przerwał moje rozmyślania. – Do Irlandii.

– Czy nie byłoby prościej dać ogłoszenie w „Irish Times” i zobaczyć, kto na nie odpowie?

– I co? Sprawdzać każdego naciągacza, który liczy na łatwe pieniądze? Jestem znany po obu brzegach Atlantyku, panno Murphy. Zatrudniam cię właśnie z tego powodu. Proszę o dyskrecję, możesz się podać za kuzynkę, która przybywa z Ameryki w poszukiwaniu rodziny. Nawet nie musisz mówić, że to ja cię wysłałem.

– Czy pokryje pan koszty mojej podróży? – zapytałam.

– Wszystkie koszty plus wynagrodzenie w wysokości stu dolarów. I hojny bonus, jeśli znajdziesz ją żywą. To jak, panno Murphy? Umowa stoi?

Nie mam żadnych zawodowych zobowiązań, oszczędności się kurczą, a Nowy Jork działa teraz na mnie przygnębiająco – pomyślałam.

– Stoi, panie Burke. – Wyciągnęłam rękę. – Przyjmuję pańskie zlecenie.

4

Dopiero kiedy wyszłam na zewnątrz i stanęłam w pełnym słońcu przed teatrem, zdałam sobie sprawę z powagi sytuacji. Czy na pewno chcę popłynąć do Irlandii? Upadłam na głowę? Przecież tam cały czas poszukują mnie listem gończym! Powinnam natychmiast wrócić do pana Burke'a i powiedzieć mu, żeby znalazł kogoś innego. Po chwili jednak przypomniałam sobie o sowitej zapłacie i podróży luksusowym statkiem. Nadarza się wspaniała okazja, by odwiedzić ojczyznę i wreszcie poznać Dublin – rozmyślałam. Justin Hartley, człowiek, który z radością zobaczyłby mnie w więzieniu, pewnie teraz zwiedza amerykańskie Zachodnie Wybrzeże, więc z jego strony chyba nic mi nie grozi. Poza tym mam dość pospolite imię i nazwisko. Może nie powinnam się bać?

Wysiadłam z kolejki na stacji Greenwich Avenue i popędziłam prosto do domu. Chciałam czym prędzej podzielić się nowiną z Sid i Gus. Dzień był przepiękny i po raz pierwszy od dawna nieco chłodniejszy. W tym roku lato okazało się wyjątkowo długie i gorące, co z kolei powodowało, że w mieście rozwijały się różnego rodzaju epidemie. Jednak czuło się już ochłodzenie, a liście zaczynały żółknąć. Od strony Hudsonu wiał przyjemny wiatr. Targ przy Jefferson Market właśnie się zwijał, ale zdążyłam jeszcze kupić chryzantemy i kilka ładnych czerwonych jabłek.

Z darami w ręku zapukałam do drzwi numeru dziewięć i zastygłam z uśmiechem na twarzy, czekając, aż ktoś mi otworzy. Ale nikogo nie było. Rozczarowana, odwróciłam się na pięcie i po chwili stanęłam twarzą w twarz z Danielem Sullivanem.

– Wspaniale wyglądasz – powiedział na powitanie. – Te kwiaty są prawie w tym samym kolorze co twoje włosy. Gdybym potrafił malować, wyciągnąłbym teraz pędzel i płótno, a obraz zatytułowałbym *Bogini z plonami ziemi*.

– Prawdziwy z ciebie Irlandczyk. Szastasz komplementami – odparłam, patrząc na niego chłodno. – Po co przyszedłeś? Sprawdzić, czy znalazłam lepszych przyjaciół?

– Nie, chcę cię przeprosić. Masz rację. Nie powinienem sobie rościć do ciebie żadnych praw ani oceniać ludzi, z którymi się zadajesz. Jestem ci dozgonnie wdzięczny za zidentyfikowanie człowieka, przez którego trafiłem do więzienia.

– Przyjmuję przeprosiny – odpowiedziałam lodowatym tonem. – A teraz przejdź, proszę, bo kwiaty zwiędną, jeśli nie wstawię ich do wody.

Zagrodził mi drogę.

– Molly, bardzo różnisz się od kobiet, które znam. To jest takie pociągające. Nie zaprosisz mnie do środka?

– Obraziłeś moich najbliższych przyjaciół – odparłam. – Za to też powinieneś mnie przeprosić.

Zmienił się na twarzy.

– Błagam, Molly. Musisz przyznać, że ten O'Hare nie jest odpowiednim towarzystwem dla ludzi na poziomie.

– Wręcz przeciwnie. Przyjmują go z otwartymi ramionami w najlepszych domach w Nowym Jorku. Na wczorajszym przyjęciu było tyle samo Astorów i Vanderbiltów co ludzi teatru. Wszyscy się świetnie znają z Ryanem. Ma nietuzinkowy styl bycia i dziwnie się ubiera, ale dzięki temu człowiek nigdy się z nim nie nudzi.

– A więc poszłaś na to przyjęcie – zauważył Daniel.

– Owszem. I świetnie się bawiłam.

– Rozumiem. A ten Burke... O czym chciał z tobą rozmawiać?

– To znany impresario. Przecież chodzisz do teatru, musiałeś o nim słyszeć.

– Niewykluczone.

– Zaproponował mi rolę w sztuce *Salome i taniec siedmiu zasłon*.

Chwilę przyglądałam się reakcji Daniela, a potem parsknęłam śmiechem.

– Żartuję... Potrzebuje detektywa, to chyba jasne.

– Naprawdę? Chodzi o rozwód?

– Wiesz, że nie wolno mi rozmawiać o sprawach klientów, Danielu – odparłam. – No dobrze, wejdź do środka, bo zaraz upuszczę te jabłka.

Pozwoliłam, by otworzył drzwi, po czym wpuściłam go przodem.

– Nastaw, proszę, wodę na herbatę, a ja znajdę jakiś dzbanek na kwiaty – poprosiłam i dodałam: – Przez jakiś czas nie będziemy się widywać. To zlecenie jest w Irlandii.

– W Irlandii? – Daniel aż podskoczył. – Zwariowałaś? Mówiłaś mi, że nie możesz wrócić do domu, bo wsadzą cię tam do więzienia.

– Zaryzykuję.

– Molly, to absurd. Jak długo jeszcze zamierzasz igrać z ogniem? Szczęście w końcu się odwróci. – Widać było, że jest bardzo zdenerwowany.

– Uspokój się. Ryzyko wcale nie jest takie duże – odparłam odwrócona do niego plecami, bo właśnie wkładałam kwiaty do dzbanka, który znalazłam na półce. – Myślałam kiedyś, że jestem winna śmierci człowieka, ale przecież tak nie jest. Poza tym nie zamierzam odwiedzać rodzinnych stron. I jeszcze jedno. Mnóstwo kobiet nazywa się tak jak ja. Noszę jedno z najbardziej popularnych nazwisk w Irlandii. Naprawdę nie musisz się o mnie martwić.

Szczerze mówiąc, moja przemowa była trochę na wyrost, ale nie wyobrażałam sobie, że Daniel zabroni mi wyjazdu.

– Co konkretnie masz tam robić? – kontynuował.

– Mówiłam ci już. Nie wolno mi o tym rozmawiać. Powiedzmy, że chodzi o sprawy rodzinne.

Daniel westchnął.

– Podejrzane. Bogaty impresario chyba może sobie pozwolić na podróż do Irlandii. Dlaczego nie wynajmie kogoś na miejscu? Po co wysyłać dziewczę z Nowego Jorku?

– Po pierwsze, pan Burke chce, by śledztwo prowadziła osoba z zewnątrz, a po drugie, nie jestem już dziewczęciem. Jestem kobietą.

– To akurat prawda. – Popatrzył na mnie z powagą.

Zapadła cisza. Po chwili zapytał:

– Jak długo cię nie będzie?

– Trudno powiedzieć. Wrócę, jak skończę zlecenie.

– Czyli nie będzie cię na rozprawie – zauważył.

Starał się przybrać obojętny ton, ale nie dałam się nabrać. Wyglądał teraz jak rozczarowany uczniak. Rozczulił mnie.

– Danielu, zrozum. Burke dobrze płaci, a ja potrzebuję pieniędzy. Pamiętaj, że to dla mnie ogromna szansa. Jeśli dobrze wykonam swoją pracę, pewnie mnie komuś poleci. A poza tym – dodałam, widząc jego minę – nie będzie żadnej rozprawy. Przecież wszyscy doskonale wiedzą, kto zawinił. Policjanci złożą zeznania na twoją korzyść. Komendant nie będzie miał wyjścia i z powrotem przyjmie cię do pracy.

– Obyś się nie myliła – odparł Daniel. – Ale wcale nie odniosłem takiego wrażenia, rozmawiając z nim wczoraj.

– Może cię jedynie oskarżyć o zorganizowanie walki – dodałam jeszcze. – Ale to drobiazg. Dostaniesz upomnienie i tyle.

– Podziwiam twój optymizm – stwierdził. – Ja patrzę na to inaczej. Więzienie osłabiło we mnie ducha walki, Molly.

– No popatrz. A ze mną zadzierasz – zauważyłam i zaczęłam się śmiać.

Odpowiedział uśmiechem. Po raz pierwszy od dawna dostrzegłam błysk w jego oku.

Wziął mnie za ręce.

– Nie wyjeżdżaj, Molly. Jesteś mi tutaj potrzebna.

Czułam, że zaraz ulegnę. Kiedy Daniel Sullivan był blisko, nie potrafiłam racjonalnie myśleć. Mimo że nasza znajomość trwała już dosyć długo, ilekroć mnie dotykał, czułam się tak, jakby przyciągał mnie do niego niewidzialny magnes.

– Muszę tam pojechać, Danielu – powiedziałam, starając się uwolnić z jego objęć. – Postaram się szybko wrócić. Musisz poszukać wsparcia gdzie indziej. Najwyższy czas, żebyś porozmawiał ze swoją rodziną. Chcieliby poznać prawdę. Jestem tego pewna. Mówiłeś, że mają kontakty... O ile pamiętam,

znają się z burmistrzem. Dlaczego on się za tobą nie wstawi?

– Jak dobrze wiesz, boję się o zdrowie ojca. Nie może się dowiedzieć o moich kłopotach.

– W takim razie graj na zwłokę. Znajdź wymówkę i przeciągnij sprawę do końca roku. Przyjdzie nowy komendant i dam sobie rękę uciąć, że będzie to człowiek powiązany z Tammany Hall.

Ścisnął moje dłonie.

– Wszystko, co mówisz, ma sens – stwierdził. – Ale mnie się ciągle wydaje, że to tylko koszmarny sen. W najczarniejszych myślach nie przypuszczałem, że kiedyś trafię do aresztu. A kiedy się tam znalazłem, byłem pewien, że to jakieś nieporozumienie. Do głowy mi nie przyszło, że wyląduję w więzieniu. Już nic nigdy nie będzie takie samo. Oprócz ciebie. Proszę, bądź przy mnie. Pewnego dnia może będziemy się z tego śmiać.

– Może tak – powiedziałam.

5

Po paru dniach otrzymałam kopertę z instrukcjami oraz bilet drugiej klasy na statek „Majestic”. Dwudziestego czwartego września miał wypłynąć z Nowego Jorku w podróż do Queenstown i Liverpoolu. Długo wpatrywałam się w ten bilet. Los płata mi figle! Tym samym statkiem płynęłam do Ameryki niecałe dwa lata temu. Tyle że wtedy siedziałam ściśnięta pod pokładem w tłumie innych biedaków. Tym razem będę miała kajutę drugiej klasy tylko dla siebie. No proszę! Cóż za nobilitacja! Z każdym dniem czułam coraz większe podekscytowanie, ale i lęk przed podróżą. Wracam do domu – powtarzałam sobie w myślach. Z podniesioną głową. Nie jak ktoś, komu nic nie wyszło. Miałam ogromną ochotę pojechać do hrabstwa Mayo, odwiedzić rodzinę i pokazać im, że jednak wyszłam na ludzi. Ale po co kusić los?

Sid i Gus pomagały mi się pakować, oferując wszystko, co mogło się przydać podczas podróży, w tym ubrania, a nawet książki.

– Już tyle dla mnie zrobiłyście – powiedziałam. – Stroje, które mam, w zupełności wystarczą. A poza tym – dodałam, żeby przyjaciółki nie poczuły się urażone – nie powinnam się wyróżniać w tłumie. Mam wyglądać jak zwykła dziewczyna z Irlandii. A wasze piękne ubrania...

Nie dokończyłam, bo Sid odchyliła głowę do tyłu i zaczęła się śmiać.

– Rzeczywiście. Na targu w małym irlandzkim miasteczku kobieta w smokingu zwracałaby uwagę, prawda, Gus? Ale ja nie mówię o ubraniach, w których teraz chodzimy.

– Miałyśmy raczej na myśli stroje, które wiszą w szafie od ładnych paru lat. Nosiłam je dawno temu w Bostonie – dodała Gus. – Powinien być wśród nich taki podróżny kostium obszyty futerkiem. Będzie ci w nim do twarzy. Zrozum, proszę, że ja już go nigdy na siebie nie włożę.

Znów się uśmiechnęłam.

– Dziękuję, ale w Irlandii nie zamierzam bawić się na salonach. Rodzina Burke'ów była bardzo biedna. Kiedy wyjeżdżali do Ameryki, zostawili dziewczynkę u jakiegoś księdza. Być może trafiła do sierocińca. Szczerze mówiąc, gdybym po tylu latach znalazła ją żywą, można by to uznać za cud. Ale spróbuję. W końcu za to mi płacą.

– W takim razie przynajmniej weź walizkę z krokodylej skóry – poprosiła Gus. – Jest niezwykle poręczna. Pamiętam, jak doskonale sprawdziła się podczas mojej podróży z mamą po Europie. Teraz marnuje się na najwyższej półce w garderobie. Chciałybyśmy, żebyś miała ze sobą coś naszego. Coś, co by ci o nas przypominało.

– I tym samym sprawiło, że szybko do nas wrócisz – dodała Sid.

– Martwimy się, że może zechcesz zostać w Irlandii – wyznała Gus.

– A niby dlaczego? – spytałam ze śmiechem. – Już wam kiedyś mówiłam, a teraz powtórzę. W Irlandii nie ma dla mnie przyszłości. Moje miejsce jest tutaj.

– Gus się boi, że jak tam pojedziesz, uznasz, że jednak bardzo tęskniłaś za domem, i zostaniesz – powiedziała Sid.

– Ty też się tego boisz, kochanie. – Gus poklepała przyjaciółkę po ręce.

– No dobrze. Ja też. A co na to kapitan Sullivan? Dziwię się, że pozwala ci na tę podróż.

– Nie jest zachwycony – odparłam. – Ale przecież nie może mi zabronić, prawda? Uważam, że dobrze się stało. Będę mogła od niego odpocząć i spokojnie się zastanowić, o co mi w życiu chodzi. Więc nie martwcie się o mnie, proszę. Nic mi nie będzie, wrócę, zanim się obejrzycie. Oczywiście wszystko wam ze szczegółami opowiem.

– Ma się rozumieć. – Sid zerknęła niepewnie na Gus i nagle zrozumiałam, że moje przyjaciółki po prostu się o mnie boją!

Chyba jestem niefrasobliwa – pomyślałam. Sama wcale się o siebie nie martwię.

Wreszcie nadszedł dzień podróży. Słoneczny i rześki, z obłokami spokojnie

płynącymi po niebie. Idealny dzień, by wypłynąć w morze. Sid, Gus i Daniel pomogli mi wsiąść do powozu. Zabroniłam Danielowi jechać ze mną do portu, bo bałam się ckliwych scen pożegnania. A skoro zabroniłam jemu, nie mogłam zrobić wyjątku dla Sid i Gus.

– Ależ wszyscy macie miny! Inni pasażerowie gotowi pomyśleć, że płynę na biegun północny albo na Saharę – powiedziałam, patrząc to na Daniela, to na Sid i Gus. – Ludzie dzisiaj podróżują do Europy w tę i z powrotem, tak jakby Atlantyk był zaledwie stawem. Załatwię, co mam załatwić, i raz-dwa wracam do Ameryki.

Objęłam przyjaciółki, a potem podeszłam do Daniela.

– Do widzenia, Danielu. Proszę, dbaj o siebie, dobrze? – Położyłam mu dłonie na ramionach i musnęłam ustami policzek.

Objął mnie mocno i przyciągnął do siebie. Ledwo złapałam oddech.

– To ty masz o siebie dbać – wyszeptał. – Żadnych głupot i ryzyka. Pamiętaj, że cię kocham.

Wsiadłam do powozu z bijącym sercem. Chyba pierwszy raz usłyszałam z ust Daniela takie wyznanie. Wyjrzałam jeszcze i pomachałam im wesoło, a powóz szybko ruszył Szóstą Aleją. Przystań, gdzie cumowały statki należące do White Star Line, znajdowała się na samym końcu Dziesiątej Zachodniej, szczerze powiedziawszy, bardzo blisko domu. Mogłabym nawet zaoszczędzić na powozie, gdybyśmy wszyscy razem poszli tam pieszo, a Daniel zaniósł mój bagaż. Ale dostałam pieniądze na wydatki, list kredytowy, no i przede wszystkim miałam swoją dumę. Nie chciałam się rozkleić w porcie.

Wreszcie dotarliśmy w sam środek zgiełku. W cieniu ogromnego statku marynarze, tragarze i pasażerowie uwijali się jak w ukropie, torując sobie drogę wśród bagaży i kufrów – przypominali mrówki kręcące się wokół piknikowego kosza. Wysokie kominy błyszczały w porannym słońcu. Statek górował w porcie, kładąc cień na wszystko, co pod nim. „Majestic”, ta nazwa bardzo do niego pasuje – pomyślałam zadowolona, że tym razem będę mogła naprawdę cieszyć się podróżą. Kiedy dwa lata temu opuszczałam Liverpool, byłam kłębkiem nerwów. Po pierwsze, bo musiałam podawać się za kogoś innego, a po drugie – pod opieką miałam dwójkę przestraszonych dzieci. Ich

matka Kathleen O'Connor poprosiła mnie o pomoc. Chciała, by bezpiecznie dotarły do ojca w Nowym Jorku.

Przed podróżą napisałam do Seamusa krótki list. Poinformowałam go, że wyruszam do Irlandii i jeśli tylko zdążę, odwiedzę grób Kathleen. Nie otrzymałam żadnej odpowiedzi, ale wcale mnie to nie zdziwiło. Seamus nigdy nie był mistrzem pióra. Szkoda, że dzieci, Bride i Seamus junior, nie są już częścią mojego życia – pomyślałam. Może chociaż na zimę wrócą do Nowego Jorku. To dziwne, że nad własnym nienarodzonym dzieckiem wcale się nie użalam. Cóż... Po co w ogóle do tego wracać?

Zapłaciłam woźnicy i przekazałam numerowemu swój skromny bagaż. Popatrzył na niego zdziwiony i jakby zniesmaczony. Wkoło piętrzyły się eleganckie pakunki i kufry. Zaprowadził mnie na pokład drugiej klasy, a ja nawet nie obejrzałam się za siebie, choć serce waliło mi jak szalone. Pokazałam bilet przy wejściu.

– Tędy, panienko – powiedział steward i wziął ode mnie torbę podręczną.

Przeszliśmy na sam koniec bardzo długiego korytarza. Moja kajuta okazała się tak mała, że trudno było się w niej obrócić. Na szczęście miała okno, z którego widać było kawałek nieba. Resztę przesłaniała szalupa ratunkowa zwisająca z górnego pokładu. Mogło być gorzej...

– Na bagaż musi pani chwilę poczekać – oznajmił steward. – Na trasie powinniśmy mieć cały czas dobrą pogodę. To cud o tej porze roku, prawda? Proszę mi wierzyć, że kiedy jest prawdziwy huragan, nie ma żartów. Życzę miłej podróży.

Podziękowałam, zastanawiając się, czy powinnam dać mu napiwek. Poprzednim razem nie miałam takich wątpliwości, bo byłam biedna jak mysz kościelna. Jednak zanim zdążyłam sięgnąć po torebkę, obdarzył mnie szerokim uśmiechem i odwrócił się na pięcie. Zostałam sama i mogłam wreszcie przyjrzeć się swojemu królestwu. Nie zajęło mi to zbyt wiele czasu. Na jednej ścianie znajdowały się dwie koje; naprzeciwko – szafa, komoda i lustro. Pomiędzy sprzętami było akurat tyle miejsca, by mogła przejść szczupła osoba. Dobrze, że nie muszę z nikim dzielić kajuty i że nie zamierzam w niej spędzać zbyt wiele czasu – pomyślałam. Już wcześniej postanowiłam dobrze się bawić

na statku. Zdjęłam kapelusz i właśnie miałam rozczesać włosy, kiedy rozległo się pukanie do drzwi. Byłam pewna, że to steward z moim bagażem, ale okazało się, że to tylko chłopiec na posyłki.

– Liścik dla panienki – powiedział wesoło.

– Dla mnie? Na pewno?

– Panna Molly Murphy, pokład E. Kajuta dwieście trzydzieści jeden. To nie pani?

– Owszem, ale...

Uśmiechnął się szeroko.

– Może już zdążyła panienka komuś wpaść w oko. Statki takie jak „Majestic” to wspaniałe miejsce na romans. – Mrugnął, wręczył mi list i już go nie było.

Przyjrzałam się kopercie. Charakter pisma nie był mi znany. Przez chwilę myślałam, że to pewnie list od Daniela, który prosi, bym zmieniła zdanie i zeszła na ląd. Po chwili jednak uznałam, że to raczej kolejny zestaw instrukcji od pana Burke’a.

Droga Panno Murphy – przeczytałam, rozerwawszy kopertę – *nawet Pani nie wie, jak bardzo ucieszyła mnie wiadomość, że płyniemy tym samym statkiem. Ja również kupiłam bilet na „Majestic” do Irlandii. Będę przeszczęśliwa, jeśli zajdzie Pani do mojej kajuty po przeczytaniu tego listu. Mam pewną sprawę, którą chciałabym z Panią omówić.*

Na dole widniał podpis: *Oona Sheehan*.

6

Zaczesałam włosy i doprowadziłam się do ładu. Następnie poszłam do głównego holu, żeby poszukać schodów na górę.

– Panienko, dokąd to? – odezwał się za mną ostry głos.

– Szukam pokładu A – odparłam. – Czyżbym się pomyliła i obrała złą drogę?

– Tam znajdują się kabiny pierwszej klasy. – Mężczyzna obrzucił mnie od stóp do głów uważnym spojrzeniem.

– Otóż to. Dostałam od znajomej liścik z zaproszeniem. – Pomachałam mu przed oczami kawałkiem papieru.

– Ach, tak. Rozumiem. W takim razie odprowadzę panienkę prosto do właściwych drzwi.

Idąc po schodach, uśmiechnęłam się sama do siebie. Chyba nigdy nie nauczę się pokory – pomyślałam.

Steward zapukał i po chwili usłyszeliśmy głośne „proszę”. Nie do wiary – pomyślałam – ten sam głęboki, melodyjny głos podbija serca widzów na największych scenach świata.

Mój towarzysz wsadził głowę do środka.

– Przepraszam najmocniej... ma pani gościa, panna... Murphy, zdaje się.

– Wspaniale, niech wejdzie! – odparła Oona.

Z tryumfalną miną przeszłam obok zdziwionego stewarda. Przestąpiłam próg i aż mnie zatkało.

Kajuta Oony Sheehan zupełnie nie przypominała mojej. Była wielkości salonu; przy jednej ze ścian stało podwójne łóżko, a obok niego szafy i komody. Pod bulajem – szezlong, kilka zdobnych krzeseł i stolik kawowy

z wazonem pełnym kwiatów. Zresztą kwiatów w tym pomieszczeniu było znacznie więcej, stały dosłownie wszędzie – storczyki, róże i jakieś inne, egzotyczne gatunki, których nigdy dotąd nie widziałam. Oona siedziała wygodnie na szezlongu, w eleganckim czarno-białym kostiumie podróżnym, z odpowiednio dobranym, również czarno-białym piórkiem we włosach. Nie wstała na mój widok; jedynie wyciągnęła rękę na powitanie.

– Molly Murphy! Jak miło cię widzieć, moja droga!

– Skąd pani wiedziała, że płyniemy tym samym statkiem? Czyżby pan Burke się wygadał?

Roześmiała się.

– Nie, nasz Tommy jest bardzo skryty. Zwykły przypadek. Wpadliśmy na siebie, kupując bilety w biurze White Star. Przyznał się, że wysyła cię do Irlandii. Szczerze mówiąc, musiałam go trochę przycisnąć do muru. Mam swoje sposoby. Potrafię sprawić, by panowie zwierzyli mi się ze spraw, o których wcale nie zamierzali nikomu mówić. – Uśmiechnęła się do mnie uroczo. – Proszę, usiądź. Szampan już się chłodzi. Wiem, że jest wcześnie... Uwierz mi, o tej porze nigdy nie biorę alkoholu do ust. Ale jest jeden wyjątek. Przed rejsem zawsze wypijam kieliszek czegoś mocniejszego. To wspaniale wpływa na żołądek, więc nigdy nie cierpię na chorobę morską.

– Dziękuję za szampana. Z miejsca uderza mi do głowy.

– Mnie również – zaśmiała się Oona. – To szampan jest winny wszystkim błędom, które popełniłam w życiu. – Wyprostowała się i wskazała ręką na stolik kawowy. – Czekoladkę? Ja je uwielbiam, a ty? Mam słabość do czekolady, szczególnie gdy akurat powinnam dbać o linię.

Podała mi złote pudełko. Tym razem nie odmówiłam.

– Panno Sheehan – powiedziałam wprost – dlaczego mnie pani zaprosiła? Przecież prawie się nie znamy, a nie wydaje mi się, bym była najbardziej pożądanym towarzystwem na statku. Tłum wielbicieli tylko czeka, aż wyjdzie pani z kajuty.

– I o to właśnie chodzi – odparła. – Właśnie dlatego chcę ci złożyć, Molly, pewną ofertę. – Uśmiechnęła się do mnie serdecznie. – Nie przeszkadza ci, że

zwracam się do ciebie po imieniu, prawda? Jesteś detektywem, więc chyba lubisz ryzyko i wyzwania...

– Wcale nie jestem pewna, czy lubię ryzyko – stwierdziłam. – Ale jakoś nie potrafię się od niego uwolnić.

– Wspaniale! Czy miałabyś coś przeciwko temu, by dodatkowo zarobić podczas tej podróży?

– Nie... – odpowiedziałam po chwili wahania.

Wyprostowała się.

– W takim razie wysłuchaj mojej propozycji, Molly. Mam nadzieję, że jej nie odrzucisz.

Zamieniłam się w słuch. Oona wstała i wyjrzała przez okno, które w jej kajucie nie było przesłonięte łodzią ratunkową.

– Nie zawsze jest mi łatwo być sobą – zaczęła. – Jak słusznie zauważyłaś, wiecznie otacza mnie wianuszek wielbicieli. Głupców, którzy zakochują się bez pamięci i drepczą za mną niczym stado wiernych piesków. Ciągle ktoś się koło mnie kręci, zawraca głowę; nie mam okazji pobyć sam na sam ze sobą. Ludzie myślą, że mam życie usłane różami, ale to potrafi być bardzo męczące, zapewniam cię. Jadę do domu, bo lekarz zalecił mi spokój. Powiedział, że jeśli nie odpocznę, dorobię się załamania nerwowego. Wybrałam sobie malutki domek na zachodnim wybrzeżu Irlandii, gdzie miejscowi nie wiedzą, kim jestem, więc mają w nosie moją sławę i karierę. Najpierw jednak muszę tam dotrzeć, a podróż zapowiada się koszmarnie.

Przerwała na chwilę, a biała dłoń zawisła dramatycznie w powietrzu. Oona była tak ładna, że nie mogłam oderwać od niej wzroku. Te piękne zielone oczy, ten zgrabny nosek! Po chwili zdałam sobie sprawę, że ona również bacznie mi się przygląda.

– Jaka to konkretnie propozycja? – zapytałam.

– Chciałabym zamienić się z tobą miejscami na statku.

– Co takiego?! – krzyknęłam, zapomniawszy, że rozmawiam z jedną z najbardziej znanych kobiet na świecie, a sama jestem przecież nikim.

Uśmiechnęła się do mnie, a w jej policzkach pokazały się urocze dołeczki.

– Mam powtórzyć? Chciałabym popłynąć do Irlandii jako Molly Murphy, a ty wcieliłabyś się w Oonę Sheehan.

– Ale to niemożliwe – stwierdziłam. – Po pierwsze, mam malutką kajutę drugiej klasy, pięć pokładów niżej, w której światło dzienne przesłonięte jest szalupą ratunkową. Po drugie, wystarczy spojrzeć, a od razu wiadomo, że żadna ze mnie Oona Sheehan.

– Dokładnie to przemyślałam – odparła. – Powiem obsłudze, że bardzo źle się czuję i cierpię na chroniczne zmęczenie. Dlatego nie będziesz wychodzić z kajuty, z wyjątkiem krótkich spacerów, a jeśli już, to zawsze w kapeluszu i pelerynie. Jeśli w tym czasie ktoś do ciebie podejdzie i rozpocznie rozmowę, przyłożysz do ust chusteczkę i wymówisz się bólem gardła oraz problemami z głosem. Zrezygnujesz ze wspólnych posiłków, bo trudno będzie ukryć naszą tajemnicę, jeśli posadzą cię przy stoliku kapitana, a tam pojawi się ktoś, kto rzeczywiście mnie zna. Zamówiłam jedzenie bezpośrednio do kajuty, żeby uniknąć takich sytuacji. To wprawdzie oznacza, że twoja podróż będzie raczej nudna, a pewnie nie tego się spodziewałaś, ale niczego ci nie zabraknie, ja zaś obiecuję hojnie wynagrodzić ci wszystkie trudy. Na dodatek oddasz swojej rodaczce ogromną przysługę. Zgodzisz się, prawda?

– Czy ja dobrze rozumiem? – odparłam. – Pani chce zamieszkać w mojej kajucie, na pokładzie E?

– Tak. I będę skromnie się ubierać, spacerować tylko po pokładzie drugiej klasy i czekać na powrót w rodzinne strony. Zupełnie tak jak prawdziwa Molly Murphy.

– A ja mam być Ooną Sheehan?

– Która, niestety, nie czuje się na siłach przyjmować gości. Możesz korzystać śmiało z mojej garderoby, a na spacery zakładać którąś z peruk.

– Peruk? – zapytałam zdziwiona.

Machnęła rozkazująco ręką.

– Otwórz to pudełko z kapeluszami, które stoi na szafie.

Tak też zrobiłam. Moim oczom ukazała się kolekcja peruk w kasztanowym kolorze. Niektóre miały włosy ułożone w aksamitne loki, inne – wysoko upięte

koki.

– Jezusie, Maryjo i Józefie święty – wymamrotałam.

– Na scenie szybko zmieniam wygląd – wyjaśniła Oona. – Przydają się również, kiedy przed ważną wizytą nie zdąży mnie odwiedzić fryzjer. Przymierz którąś z nich.

Ostrożnie wyjęłam perukę z lokami upiętymi nad czołem i założyłam ją na głowę, starannie chowając pod spód własne włosy. Spojrzałam w lustro i zakryłam usta dłonią. Zmiana była niesamowita.

– Wyglądam jak...

– Jak ja – dokończyła za mnie Oona. – Od razu tak pomyślałam, kiedy spotkałyśmy się u Tommy'ego. Uważam, że świetnie sobie poradzisz w nowej roli. To co, Molly? Umowa stoi? Obiecujesz nikomu nie zdradzić naszej tajemnicy? Powiedz „tak", a ja natychmiast wypiszę czek na sto dolarów.

Dodatkowe sto dolarów – pomyślałam. Z całą pewnością się przyda. Co prawda trzeba teraz będzie zapomnieć o urokach podróży statkiem, ale czy to takie straszne? Przecież czeka mnie jeszcze droga powrotna.

– Umowa stoi – odparłam.

Rozkoszny uśmiech rozpromienił jej twarz.

– Wiedziałam! Wspaniale! – Wyjęła książeczkę i wypisała czek. – Proszę. Działajmy szybko, póki wszyscy są jeszcze zajęci. Zamieńmy się teraz ubraniami, żebym natychmiast mogła pójść do twojej kajuty.

– Chce pani od razu się przebrać?

– Oczywiście. W drodze na dół muszę wyglądać dokładnie tak jak Molly Murphy, kiedy pukała do moich drzwi.

– Ktoś z pewnością zauważy różnicę.

– Moja droga, przecież jestem aktorką. Obiecuję, że nikt, kto widział idącą na górę Molly Murphy, nie zauważy, że z mojej kajuty wychodzi inna osoba. Teraz, proszę, zdejmij kostium i wybierz sobie coś z garderoby. To prawdziwe szczęście, że mamy podobną figurę.

Otworzyłam szafę i aż westchnęłam na widok tych wszystkich sukienek, garsonek i wieczorowych kreacji.

– Na początek proponuję, byś wybrała coś naprawdę imponującego. Coś, co wzmocni wrażenie, że ty to ja – zaproponowała Oona i podeszła do szafy. Wyjęła bluzkę i spódnicę z jedwabiu w kolorze wina. Bluzka miała rękawy i kołnierzyk ozdobione perłami. – Ten kolor zawsze idealnie współgra z rudymi włosami – powiedziała. – Ubierzesz się sama czy mam poprosić pokojówkę?

– Pokojówkę? A co ona na to wszystko powie? – wyjąkałam.

Oona się roześmiała.

– Została wtajemniczona. Jest ze mną tak długo, że mam do niej pełne zaufanie. Ma cię traktować dokładnie tak samo jak mnie. Rose to miła dziewczyna. Niezbyt rozgarnięta, ale bardzo pracowita. Proszę, pospiesz się, nie marnujmy czasu. – Podała mi kostium. – Zdejmuj swoje ubranie i załóż wreszcie to.

Trochę zawstydzona zrobiłam, o co prosiła. Nie byłam przyzwyczajona, by rozbierać się przed obcymi, a w dodatku miałam świadomość, że mój kostium jest już bardzo zniszczony, nie mówiąc o bieliźnie, którą miałam na sobie. Ale Oona najwyraźniej się tym nie przejęła. W mgnieniu oka pozbyła się swoich ubrań i już wkładała moje. Pomyślałam, że ma to związek z jej zawodem – szybkie zmiany kostiumów to codzienność dla aktora, podobnie jak widok ludzkiego ciała.

Ja natomiast do tego stopnia nie mogłam sobie poradzić ze zwykłymi guzikami przy rękawach i kołnierzyku, że musiałam prosić Oonę o pomoc.

– Załóż perukę i gotowe – powiedziała, z zadowoleniem kiwając głową. – Oczywiście musisz jeszcze trochę się umalować. Na moim stoliku jest róż i puder. Na usta przydałaby się odrobina szminki. No i te piegi. – Przyjrzała mi się w zamyśleniu, po czym westchnęła. – W pośpiechu niewiele z nimi zrobimy. Nie wybielałaś ich nigdy sokiem z cytryny?

– Dopóki nie przyjechałam do Nowego Jorku, nawet nie zwracałam na nie uwagi – odparłam ze śmiechem.

– Teraz, niestety, już nic się nie da zrobić. Smaruj je kremem, potem nakładaj grubą warstwę pudru – powiedziała. – I pamiętaj, że masz wyglądać na chorą. Daj, pomogę ci.

Zanim zdążyłam zaprotestować, nałożyła mi krem na twarz, przypudrowała policzki, wygładziła brwi. Wszystko za pomocą pędzla oraz paletki z różem i pudrem. Pomyślałam, że wygląda teraz jak malarz przy pracy. Kiedy spojrzałam w lustro, zobaczyłam twarz obcej kobiety.

– Osoby odprowadzające pasażerów proszone są o zejście na ląd – odezwał się głos w korytarzu. Obsługa pukała teraz do każdych drzwi.

– Pora się zbierać – oznajmiła Oona. – Podczas rejsu nie będziemy się widywać. Pasażerowie pierwszej i drugiej klasy mogą przebywać tylko w swojej części statku.

– Gdzie się spotkamy po przybyciu do Queenstown? – zapytałam. – Kończy tam pani podróż czy płynie dalej do Liverpoolu?

– Tylko do Queenstown – odparła. – Dalej już nie.

I wyszła. Stałam przez chwilę lekko otumaniona, przyglądając się swojej nowej kajucie. To, co się przed chwilą zdarzyło, było zdecydowanie jednym z najdziwniejszych momentów w moim życiu. Czy nigdy nie przepłynę Atlantyku pod własnym imieniem i nazwiskiem? Popatrzyłam w lustro i uśmiechnęłam się szeroko sama do siebie. Tydzień życia w luksusie! Obsługiwana przez pokojówkę i stewarda! To w gruncie rzeczy nic strasznego – uznałam.

7

Z dołu dobiegały okrzyki radości i wesołe nawoływania. Usłyszałam odgłos składanych trapów. Zgodnie ze zwyczajem angielskich linii okrętowych orkiestra zagrała *Rule Britannia*[1]. Wypłynęliśmy z portu. Otworzyłam okienko i patrzyłam w przesuwające się nad Nowym Jorkiem niebo aż do chwili, gdy nie widziałam już nic oprócz wielkiej wody. Statek przechylił się, napotykając pierwszą większą falę, a mój żołądek zareagował na to huśtanie bardzo gwałtownie, ale nie mdłościami, jak by się mogło wydawać – już bowiem poprzednio się okazało, że wspaniale znoszę morskie podróże – tylko podekscytowaniem. Czeka mnie wyjątkowa przygoda – pomyślałam. Przez najbliższe dni będę Ooną Sheehan! Płynę do Irlandii jako znana aktorka, zostawiając za sobą skomplikowane życie w Nowym Jorku. Trzeba skorzystać z każdej minuty tego rejsu, a zwłaszcza z luksusów nowej kajuty!

Układałam się właśnie na szezlongu, kiedy rozległo się pukanie do drzwi.

– Proszę wejść – powiedziałam, starając się brzmieć jak słynna artystka, którą boli gardło.

Zamiast stewarda weszła młoda dziewczyna, uśmiechnęła się nieśmiało i dygnęła na powitanie.

– Mam na imię Rose, proszę pani. Panna Sheehan poprosiła, bym dobrze się panią opiekowała i zadbała o pani wygodę.

Też była rudzielcem z Irlandii, ale o okrągłej buzi i masywnej budowie ciała.

– Miło mi cię poznać, Rose. Jestem...

Podniosła rękę.

– Proszę nie mówić, jak się pani nazywa, ani nie prosić, bym zwracała się do pani po imieniu, bo jeszcze się kiedyś pomylę. Panna Sheehan kazała mi panią traktować jak swoją chlebodawczynię i tak o pani myśleć. I wcale nie

będzie to trudne, bo panienka wygląda prawie tak jak ona. Można pomyśleć, że jesteście siostrami.

– Dziękuję, Rose – odparłam. – Ale to tylko z powodu tych ubrań, peruki i makijażu.

– Nie, na pewno nie. Jest pani piękną kobietą. Też występuje pani w teatrze?

– Nie, Rose. Niestety, nie jestem aktorką

– Niestety? Całe szczęście – stwierdziła Rose. – W teatrze jest ciężkie życie. Gdyby pani wiedziała, jak trudno znieść tych wszystkich mężczyzn, którzy ciągle chodzą za moją panią, wydzwaniają w ciągu dnia i nawet w nocy, straszą, że się zabiją, jeśli nie zje z nimi kolacji. Jejku, mówię pani, banda głupców. Mają mnóstwo pieniędzy i zdecydowanie za dużo czasu, z którym nie wiedzą, co zrobić. Taka jest moja opinia.

Przytaknęłam.

– Czy coś podać, proszę pani? – zapytała. – Chyba już wybrzmiał gong na lunch. Czy mam poprosić, by przynieśli tacę do kajuty?

– To dobry pomysł – powiedziałam. – Możesz zostać i zjeść ze mną.

Popatrzyła na mnie przerażona.

– O nie, proszę pani. Nigdy w życiu. Znam swoje miejsce. Poproszę stewarda, żeby przyniósł posiłek.

Dygnęła i już jej nie było. Ułożyłam się na szezlongu w pozie, która wydała mi się elegancka, i czekałam. Po chwili pojawił się steward z tacą.

– Rozumiem, że nie czuje się pani najlepiej, panno Sheehan – stwierdził, patrząc na mnie troskliwie. – To niedobrze. Przyniosłem posiłek, który powinien panią wzmocnić: bulion wołowy, rybę z wody, trochę winogron i puchar lodów. Na żołądek wszystko w sam raz.

– Dziękuję. To bardzo miło z twojej strony – szepnęłam, kiedy stawiał tacę na stoliku.

– Pani głos bardzo mnie niepokoi – zauważył. – Czy powinienem wezwać lekarza?

– Nie, nie trzeba – odparłam. – Muszę po prostu zostać sama i odpoczywać.

Jestem pewna, że kiedy dopłyniemy do portu, poczuję się znacznie lepiej.

– Na statku będzie wielu zawiedzionych kawalerów. – Uśmiechnął się porozumiewawczo. – Kiedy tylko się okazało, że jest pani wśród pasażerów, od razu przyszli pod kajutę, ale ich odprawiłem. Proszę się nie martwić. Zapewnię pani spokój na czas całego rejsu.

– Dziękuję. Jesteś bardzo miły – powiedziałam, starając się przybrać protekcjonalny i teatralny ton. – Proszę, powtórz... Jak się nazywasz?

– Frederick, proszę pani.

– Dziękuję, Fredericku – obdarzyłam go uśmiechem, jakim prawdopodobnie Oona nagradzała miłych i usłużnych mężczyzn.

Kiedy tylko wyszedł, dorwałam się do jedzenia. Wszystko było więcej niż pyszne. Jak na kogoś, kto wychował się na potrawce mięsnej z ziemniakami, szybko nauczyłam się doceniać wykwintne jedzenie i dobre wino. Ośmieliłam się nawet podejść do srebrnego kubełka, w którym chłodził się szampan, i napełniłam sobie kieliszek.

Rose pojawiła się po jakimś czasie, pytając, co może dla mnie zrobić, ale nie potrafiłam nic wymyślić i odesłałam ją z kwitkiem. Trudno mi było sobie wyobrazić, że proszę ją, by strzepnęła ze mnie okruszki albo pomogła się przebrać, uczesać i tym podobne. Nawet jeśli kiedyś stanę się bardzo bogata, taka pomoc nigdy nie będzie mi potrzebna – uznałam i pomyślałam, że dzięki mnie Rose będzie mieć dużo wolnego czasu na zabawę w swoim towarzystwie.

Po południu znudziło mi się samotne siedzenie w kajucie, więc zdecydowałam się na małą przechadzkę. Założyłam czarną aksamitną pelerynę z futerkiem i starannie nasunęłam kaptur na perukę. Potem znalazłam jedwabną chusteczkę, którą przyłożyłam do ust, i tak wystrojona wyszłam na zewnątrz. Wierny Frederick stał na straży w korytarzu prowadzącym do mojej kajuty. Gdy tylko mnie zobaczył, podbiegł i zapytał:

– Lepiej się pani czuje, panno Sheehan? Cóż za wspaniała wiadomość!

– Nie czuję się lepiej, Fredericku – wyszeptałam z chusteczką przy twarzy. – Ale pomyślałam, że trochę ruchu na świeżym powietrzu dobrze mi zrobi.

– Z pewnością, panno Sheehan. Poza tym to idealna pora na przechadzkę, jeśli pani wie, co mam na myśli. Wszyscy teraz odpoczywają, bo chcą nabrać sił na wieczorne tańce.

Poczułam się mocno rozczarowana. Nie zatańczę na statku? Przez moment wyobrażałam sobie, jak sunę po parkiecie oświetlonym zdobnymi żyrandolami, ubrana w jedną z tych przepięknych wieczorowych kreacji. Ale po chwili uświadomiłam sobie, że przecież nie znam żadnego ze współczesnych tańców i nie potrafię poruszać się z taką gracją jak Oona Sheehan.

– Jeśli zechce pani usiąść na zewnątrz – zaproponował Frederick – przyniosę koc i filiżankę bulionu.

– Dzisiaj wolałabym po prostu się przejść – odparłam i naciągnęłam kaptur jeszcze bardziej na czoło.

Wyszłam na zewnątrz. Silny podmuch omal nie zerwał mi wszystkiego, co miałam na głowie. Przytrzymując mocno ręką kaptur i perukę, odwróciłam się plecami do wiatru i ruszyłam przed siebie, aż w końcu znalazłam się poza jego zasięgiem.

Dzień był jasny i rześki, a fale w sam raz – wiedziałam, że jestem na morzu, ale nie kołysało zbyt mocno. Stanęłam przy relingu i zapatrzyłam się w horyzont. Nie widziałam ani lądu, ani ptaków, ani żadnego innego statku. Tylko ja i ogromny ocean. Ta myśl podziałała na mnie kojąco. Jak przyjemnie pobyć z dala od tłumów Nowego Jorku!

Szum wiatru i fal najwyraźniej przytłumił inne dźwięki, bo nie usłyszałam, że ktoś do mnie podszedł.

– Panna Sheehan? – usłyszałam męski głos tuż przy uchu.

Podniosłam chusteczkę do ust i poprawiłam kaptur. Spojrzałam na nieznajomego. Był młody i przystojny, o niebieskich oczach, z bujną ciemną czupryną zmierzwioną wiatrem. Trochę w typie Ryana i Daniela, tak zwany ciemny Irlandczyk – pomyślałam. Miał na sobie strój podróżny: granatowy sweter i kapelusz w paski.

– Panna Sheehan, prawda? – zapytał raz jeszcze.

– Owszem – odparłam. – Ale proszę wybaczyć, cierpię na silny ból gardła i lekarz zabronił mi rozmawiać.

– Rozumiem – powiedział. – Mam nadzieję, że to nic poważnego.

– Powinno przejść w ciągu paru dni, jeśli nie będę nadwyrężać głosu. Przepraszam, panie...

– Fitzpatrick – odparł. – Przykro mi słyszeć, że nie jest pani w formie. Ja także wracam do domu, do Irlandii; może jeszcze gdzieś na siebie wpadniemy – dodał.

– To chyba mało prawdopodobne. Nakazano mi odpoczywać.

– Irlandia to niewielki kraj – zauważył. – Nigdy nie wiadomo.

Skłonił się i odszedł.

Nieźle sobie poradziłam – pomyślałam i poszłam dalej, wciąż przytrzymując ręką kaptur. Nie uszłam daleko, gdy znów usłyszałam za sobą męski głos.

– Panno Sheehan, panno Sheehan!

Przystanęłam i zaczekałam, aż podejdzie do mnie kolejny młody mężczyzna.

– To pani – powiedział, ciężko dysząc. – Nie mogłem uwierzyć we własne szczęście, kiedy dowiedziałem się, że płyniemy tym samym statkiem. Pamięta mnie pani? Artie. Artie Fortwrangler. Przychodziłem na wszystkie przedstawienia *Kapitana Jinksa*. Czekałem na panią przy drzwiach garderoby każdego wieczoru. Pamięta pani białe orchidee?

– Oczywiście, Artie – westchnęłam przez chusteczkę. – Ale przepraszam najmocniej. Jestem chora i doktor zabronił mi rozmawiać. To może być zaraźliwe – dodałam, kiedy zdałam sobie sprawę, że podszedł zbyt blisko.

– Mam nadzieję, że wkrótce pani wyzdrowieje i zdążymy jeszcze razem zatańczyć na statku – oznajmił, patrząc na mnie błagalnie. – Trzymać panią w ramionach na parkiecie! To byłoby spełnienie moich marzeń.

– Zobaczymy – odparłam. – A teraz przepraszam, ale muszę wrócić do siebie i odpocząć.

– Może znajdę dla pani leżak? – zaproponował. – Proszę tutaj zaczekać.

– Nie, lepiej będzie, jeśli wrócę do kajuty.

– W takim razie proszę się na mnie wesprzeć. Odprowadzę panią. A może przyniosę pani filiżankę bulionu? Albo herbaty? No, chyba że woli pani brandy...

Spojrzałam w stronę korytarza prowadzącego na mój pokład.

– Przykro mi, ale po prostu wolałabym zostać sama – powiedziałam i szybkim krokiem pomaszerowałam przed siebie.

– Proszę, nie odchodź, Oona. Kocham panią! Uwielbiam! – wołał za mną. – Nie zostawiaj mnie samego. Wiesz, co do ciebie czuję!

Zignorowałam go i pchnęłam ciężkie drzwi. Weszłam do kajuty. Rose porządkowała rzeczy na toaletce.

– Biedna panna Sheehan – zauważyłam. – Teraz już wiem, dlaczego chciała się ze mną zamienić i czemu mówiła, że czasem jest jej ciężko. Przed chwilą napastował mnie jakiś nieznośny młodzieniec. Łasił się jak szczeniak.

– Nie on jeden, panienko – westchnęła Rose. – Wystarczy, że pani otworzy drzwi, a już jakiś stoi z bukietem kwiatów. A kiedy panna Sheehan wychodzi z teatru, to naprawdę musi się przedzierać przez tłum wielbicieli.

– Powinna poślubić postawnego mężczyznę, który by ich wszystkich odganiał – zauważyłam. – Czy ma narzeczonego?

– Od czasu do czasu ktoś się pojawia. Ale nie traktuje ich serio.

– Nigdy nie była prawdziwie zakochana?

– Na świecie jest jeden mężczyzna, za którego mogłaby wyjść. Niestety, jest niedostępny.

– Ma żonę?

– Nie, nie o to chodzi – obruszyła się Rose, jakby chodziło o nią, a nie o pannę Sheehan. – To jeden z walczących o wolność, członek Bractwa[2], wie panienka, jeden z tych, którzy próbują wykurzyć Anglików z Irlandii. Przeprowadził atak na koszary żołnierzy angielskich i dostał za to dożywocie. Siedzi w więzieniu.

– Rozumiem. To straszne – odparłam. – Bardzo jej współczuję.

– To było lata temu. Od tamtej pory poświęca się teatrowi. Dzięki ciężkiej pracy stała się sławna. Jest wspaniałą kobietą i najlepszą panią dla swojej służącej.

– Ciekawa jestem, jak minie jej podróż w tej malutkiej kajucie – powiedziałam z uśmiechem. – Chyba nie wyśpi się dobrze na wąskiej koi.

– Nic jej nie będzie – zapewniła mnie Rose, odwracając wzrok.

Tego wieczoru dobiegła mnie muzyka z sali balowej. Niosła się po gładkiej, ciemnej tafli wody. Kusiło mnie, by wyjść na zewnątrz i przynajmniej popatrzeć z daleka, ale nie chciałam ryzykować spotkania z Artiem Fortwranglerem i jemu podobnymi. Więc siedziałam pod oknem i wpatrywałam się smutno w księżyc, zastanawiając się nad życiem i nad tym, czym jest szczęście, zarówno dla mnie, jak i dla Oony Sheehan.

Kolejne dni nie przyniosły nic nowego. Zorientowałam się, że młodzi, korzystający z życia mężczyźni śpią do późna, więc spacerowałam zwykle wcześnie rano, bo wtedy nie musiałam się obawiać niechcianego towarzystwa. Co więcej, spacer o tej porze był niezwykle przyjemny, choć zimny wiatr czasem dawał się we znaki. Kilka razy zauważyłam starszego mężczyznę w tweedowej marynarce, który jednak nigdy nie odważył się podejść i zagaić rozmowy. Najwyraźniej nie był tak bezczelny jak inni.

Rose przyniosła parę książek z biblioteki oraz talię kart. To pomagało mi zwalczyć nudę. Posiłki jadałam u siebie. Oprócz rozmaitych dań zawsze był szampan, czekoladki i misa z owocami. Frederick przyznał, że ciągle musi odprawiać mężczyzn, którzy starają się podejść jak najbliżej moich drzwi. Często przekazywał mi wiadomości, listy miłosne oraz prezenty: kwiaty, czekoladę i wykwintne trunki. Czasem słyszałam, jak mężczyźni awanturują się na korytarzu. *Ale przecież muszę ją zobaczyć! Z pewnością mnie przyjmie. Czy przekazałeś jej kwiaty ode mnie? Powiedz, że Artie ją uwielbia!* A jeśli akurat nie Artie, to Teddy, Bertie albo wszyscy naraz. Teddy zdecydowanie wygrywał w kwiatowym wyścigu – przesyłał ciągle ogromne bukiety. Od Bertiego codziennie dostawałam dwanaście róż i pudełko czekoladek. Zastanawiałam się, jak ci mężczyźni wyglądają, i naprawdę miałam ochotę ich zaprosić, choćby tylko dla zabicia nudy. Zaczęłam się czuć jak więzień

w bardzo ekskluzywnej celi. Noszenie peruki okazało się niezwykle męczące. Było mi w niej strasznie gorąco, a skóra coraz bardziej swędziała. Nie mogłam jednak pozwolić, by Frederick zobaczył mnie bez sztucznych włosów, a odwiedzał mnie dość często, przynosząc kolejne bukiety kwiatów i pudełka czekoladek.

To był kolejny przykład na to, że trzeba uważać na marzenia. W Ballykillin oddałabym wszystko, by zostać damą i nie musieć pracować od rana do wieczora. Teraz żyłam w luksusie i nie miałam nic do roboty oprócz zajmowania się samą sobą. I co? Zaczynałam powoli umierać z nudów.

Po upływie kolejnych paru dni miałam ochotę zerwać umowę, zmyć cały makijaż, zdjąć perukę i wyjść na zewnątrz jako Molly Murphy. Co by się stało? – pytałam sama siebie. Odpowiedź była prosta. Przecież do czegoś się zobowiązałam i przyjęłam czek na sto dolarów. Postanowiłam wytrzymać jeszcze te sześć dni, które zostały do końca podróży.

Moje myśli często wędrowały do Daniela. Zdałam sobie teraz sprawę, że nie wspierałam go dostatecznie, kiedy potrzebował mojej pomocy. Poczułam straszne wyrzuty sumienia. Zrozumiałam, że Daniel się po prostu bał. Cała jego przyszłość stanęła przecież pod znakiem zapytania. Dlatego ostatnio ciągle był w złym humorze. Mówi się, że rozłąka rozgrzewa serca, i chyba coś w tym jest, bo zaczęłam tęsknić za ukochanym, puszczając w niepamięć to co złe. Napisałam do niego krótki, serdeczny list, który postanowiłam wysłać, jak tylko zejdę na ląd. Obiecałam, że postaram się szybko pozałatwiać swoje sprawy i od razu wrócić do domu.

– Dziś wieczorem odbędzie się bal przebierańców, panno Sheehan – powiedział Frederick ostatniego dnia podróży. – Pani chyba jest już w lepszej formie, więc pomyślałem, że może to dobra propozycja. W końcu na takim balu nikt pani nie rozpozna.

Zerknęłam znad talii kart...

– Bal przebierańców?

– Bal kostiumowy, tak to chyba się nazywa w Ameryce.

– Ale ja nie mam żadnego kostiumu.

– To żaden problem. Możemy wypożyczyć. Na statku jest ich mnóstwo dla tych gości, którzy nie wzięli nic ze sobą. Pokojówka może wybrać coś do przymierzenia.

– To wspaniały pomysł, Fredericku – powiedziałam. – Szczerze mówiąc, czuję się tu jak w więzieniu, ciągle w tych czterech ścianach. Zawołam Rose i zapytam, czy znajdzie się jakiś strój, w którym będę czuć się całkowicie bezpiecznie.

Dziewczyna wróciła niedługo później z wypiekami na twarzy. Najwyraźniej się zmęczyła, dźwigając pudła z kostiumami. Co to była za wspaniała zabawa! Otwierałyśmy wszystkie pudła po kolei, a ja wkładałam na siebie a to przebranie Kolombiny, a to hiszpańskiej tancerki, a to pokojówki. W końcu zdecydowałam się na kostium Marii Antoniny i dodatkowo wybrałam jeszcze czarną maskę na twarz, tak na wszelki wypadek. Teraz mogłam być kimkolwiek.

Po raz pierwszy rzeczywiście potrzebowałam pomocy przy ubieraniu, a Rose uwijała się wkoło, zawiązując gorset i upinając perukę. Zdecydowałyśmy się nawet na sztuczny pieprzyk na policzku.

– Wygląda pani przepięknie – podsumowała w końcu Rose nasze wysiłki i nagle posmutniała.

– Też możesz pójść – zaproponowałam. – Wybierz kostium. Nikt nie będzie wiedział, kim jesteś.

Spojrzała na mnie przerażona.

– Ja? Panienko! To nie uchodzi. Taki wielki bal... Jakżebym mogła?

– Jestem, jak ty, zwyczajną dziewczyną z irlandzkiej wsi. A przecież właśnie tam idę – odparłam.

– Ale panienka się inaczej zachowuje – stwierdziła Rose. – Bardziej światowo. Tak, jakby panienka była przyzwyczajona do luksusowych rzeczy.

Z trudem powstrzymałam uśmiech. Taki komplement!

– To jest coś, czego się człowiek uczy w Nowym Jorku. Wszyscy jesteśmy równi, Rose. To jak? Pójdziesz ze mną? Spłatamy im figla, nie będą wiedzieli, że tańczą z dwiema wieśniaczkami ze starego kraju.

Energicznie potrząsnęła głową.

– Nie, panienko. Nigdzie nie idę. To pani ma się dobrze bawić. Powodzenia!

W końcu wyszłam z kajuty, ale brakowało mi pewności siebie. To, co Rose nazywała światowym zachowaniem, było przecież zwykłym tupetem. W głębi duszy czułam się jak nieproszony gość. Ponieważ przez cały tydzień siedziałam zamknięta w czterech ścianach, nie miałam wcześniej okazji przyjrzeć się, jak wygląda na statku pokład pierwszej klasy. Teraz weszłam do przestronnej sali i starałam się nie gapić na wszystko, jak to mają w zwyczaju pospolite dziewczyny. Bywałam już w eleganckich restauracjach i na salonach nowojorskiej elity, ale to, co teraz zobaczyłam, przeszło moje najśmielsze oczekiwania. Przepiękne figury greckie, kolumny, wielkie rośliny w donicach, ściany całe w lustrach. Na środku stał stół, a na nim wielka rzeźba łabędzia z lodu. Czego to ludzie nie wymyślą!

Muzyka już grała, więc podążyłam za tłumem, który – trzeba przyznać – wyglądał dość osobliwie. Weszliśmy wszyscy do wielkiej sali balowej – biskupi i siostry zakonne, małpy i koty, jaskiniowcy i kurtyzany – śmiejąc się radośnie. Na parkiecie już tańczyły pary przebierańców. Nie musiałam długo się rozglądać, żeby zauważyć, że każdy jest tu częścią jakiejś grupy albo przynajmniej pary. Przestraszyłam się, że będę podpierać ścianę, i postanowiłam zawrócić. Skąd przyszło mi do głowy, że mogłabym się dobrze bawić na przyjęciu, na którym nikogo nie znam?

Już zbliżałam się do drzwi, kiedy drogę zastąpił mi jakiś mężczyzna. Od stóp do głów ubrany na czarno, na głowie miał kaptur, a na twarzy maskę.

– Czyżby chciała pani uciec, moja droga? – zagaił, wypowiadając słowa z eleganckim angielskim akcentem. – Jej wysokość królowa Maria Antonina, jeśli się nie mylę. Spotkamy się w umówionym miejscu.

– Naprawdę? – zapytałam ostrożnie. – Nie mam pojęcia, kim pan jest. Z nikim się nie umawiałam.

– Nie rozpoznaje mnie pani? Jestem katem – powiedział i pokazał topór, który trzymał za plecami.

– Pomylił się pan – odparłam, starając się zachować zimną krew. – Ja

czekam na gilotynę. Jeśli nie ma jej pan za plecami, obawiam się, że tracę czas.

Z tymi słowami zostawiłam go na środku sali i pewnym krokiem poszłam dalej, zachowując się tak, jakbym właśnie miała znaleźć swoje towarzystwo. Ucieszyłam się, dostrzegłszy miejsce siedzące przy stole na parkiecie. Ludzie na mój widok pochylali głowę. Ktoś skomplementował kostium, ale chyba nikt mnie nie rozpoznał.

Po chwili zostałam zaproszona do walca. Udało mi się zatańczyć, nie za bardzo się ośmieszając. Na szczęście na parkiecie wirowało tyle par, że nie można było wykonywać zbyt skomplikowanych figur. Potem zatańczyłam jeszcze raz i jeszcze raz, napiłam się ponczu i wdałam w niezobowiązującą rozmowę. W sumie zaczęłam się całkiem dobrze bawić. Kilku młodzieńców starało się odgadnąć moją tożsamość. Zastanawiali się też, dlaczego wcześniej się nie spotkaliśmy. Postanowiłam być do końca tajemnicza i nieprzystępna. Mówiłam im tylko, że jestem młodą Irlandką, która wraca do domu w sprawach rodzinnych. Kilku tancerzy poprosiło mnie o adres, proponując, że podczas pobytu w Irlandii złożą mi wizytę, ale zawsze grzecznie odmawiałam.

Kiedy o północy zabawa się zakończyła, poczułam się jak Kopciuszek, który w pośpiechu opuszcza bal z obawy, że karoca zamieni się w dynię. Ruszyłam w stronę kajuty, mijając po drodze tych, którzy do misy z ponczem zaglądali częściej niż ja. O tej porze Frederick był już po służbie. Spodziewałam się w korytarzyku zastać Henry'ego, który miał zawsze nocną zmianę, ale pomieszczenie było puste. Pomyślałam, że pewnie usługuje akurat komuś innemu. Weszłam do siebie, zamknęłam drzwi i odetchnęłam z ulgą. Jutro dopłyniemy do Queenstown. Wreszcie przestanę udawać, że jestem Ooną Sheehan, i zabiorę się do pracy. Cieszyłam się, że znów będę mogła być sobą. Zdjęłam perukę – jak się okazało, jeszcze cieplejszą i bardziej szorstką niż ta, na którą byłam skazana cały tydzień – i podeszłam do stojących obok szezlonga pudeł na kostiumy. Szczerze mówiąc, całe moje przebranie nie było zbyt wygodne. Nie mogłam się wprost doczekać, kiedy wreszcie się od niego uwolnię. Wtedy właśnie do mnie dotarło, że bez pomocy sobie nie poradzę.

Przecież ta suknia ma mnóstwo zapinek i tasiemek – pomyślałam, zastanawiając się, czy nie jest za późno, by wezwać Rose.

Kiedy odwróciłam się w stronę drzwi, zamarłam.

Ktoś leżał na moim łóżku. Ciało było przykryte aksamitnym prześcieradłem, ale zauważyłam rude włosy na poduszce. Czyżby Oona Sheehan uznała, że ma dość spania na niewygodnym łóżku, i postanowiła wrócić do swojej kajuty? Tłumaczyłby to także bliski koniec rejsu.

Tylko dlaczego mnie nie poinformowała? Jak mam niby teraz, w środku nocy, szukać drogi do dawnej kajuty? A ubrania? Przecież nie pójdę w stroju Marii Antoniny na pokład drugiej klasy!

Po chwili pomyślałam, że może zdenerwowała się, iż mimo jej ostrzeżeń opuściłam kajutę i wybrałam się na bal. Może chciała akurat ze mną porozmawiać lub też zamienić się miejscami, a kiedy mnie nie zastała, po prostu poszła spać...

Podeszłam i dotknęłam ramienia pod narzutą.

– Panno Sheehan – odezwałam się cicho. – To ja, Molly. Wróciłam. Proszę się obudzić i powiedzieć mi, co mam teraz zrobić.

Nie poruszyła się. Znów potrząsnęłam ją za ramię. I znów żadnej odpowiedzi. Odsunęłam prześcieradło i krzyknęłam. To wcale nie była Oona Sheehan, ale jakaś obca kobieta w stroju hiszpańskiej tancerki. Czarny szal zakrywał twarz. Uniosłam go przerażona. Na łóżku leżała Rose i wpatrywała się we mnie zimnymi oczami.

8

To niemożliwe – pomyślałam najpierw. Może zemdlała albo po prostu śpi. Dotknęłam jej ramienia. Było lodowate. W życiu już niejedno widziałam. Dobrze wiem, jak wygląda martwy człowiek. Z całą pewnością nie weszła ot, tak sobie do mojego łóżka i tam nie umarła. Była młoda i zdrowa. Zaledwie parę godzin wcześniej żartowałyśmy beztrosko. Przyglądając się cały czas Rose, zaczęłam chodzić wokół łóżka. Niech pomyślę... Nie ma żadnych śladów szarpaniny, ale z pewnością ktoś ułożył zwłoki i przykrył twarz szalem. Ten ktoś musiał być mordercą!

Serce zaczęło mi walić tak mocno, że prawie zemdlałam. A jeśli ten człowiek jest cały czas w kajucie i czyha teraz na moje życie? Ostrożnie wycofałam się w stronę drzwi, rozglądając nerwowo. Trzeba natychmiast wezwać pomoc – stwierdziłam.

Przekręciłam gałkę i wyjrzałam na korytarz. Nikogo! Pobiegłam do pomieszczenia, gdzie zawsze siedział steward, ale tam też było pusto. Teraz już na serio zaczęłam się bać.

Przyszło mi do głowy, że może mam halucynacje. Słyszałam o dziwnych proszkach dosypywanych kobietom do alkoholu. Może ktoś dodał coś do ponczu, żeby mnie upić. Zmusiłam się do powrotu. Pchnęłam drzwi kajuty i jeszcze raz rozejrzałam się uważnie. Rose ciągle leżała w tym samym miejscu. Zwróciłam też uwagę, że tak naprawdę w całym pomieszczeniu nie było dobrej kryjówki. Jedyny wyjątek stanowiła szafa, w której wisiało mnóstwo ubrań. Mimo wszystko postanowiłam jednak sama do niej nie zaglądać.

Nagle poczułam, że ktoś dotyka mojego ramienia. Serce podskoczyło mi do gardła. Nawet nie byłam w stanie krzyknąć. Odwróciłam się i ujrzałam Henry’ego – stewarda z nocnej zmiany.

– Panienka dokąd? – zapytał.

Kiedy zobaczyłam jego minę, zdałam sobie sprawę, że w tej chwili nie wyglądam jak Oona Sheehan – zamiast peruki miałam okropnie potargane włosy. A na twarzy wciąż maskę Marii Antoniny.

– To jest moja kajuta, Henry – powiedziałam głębokim szeptem Oony Sheehan. – Nie poznajesz mnie? – Ściągnęłam maskę i poprawiłam włosy.

– Przepraszam najmocniej, panno Sheehan. Przestraszyłem się, widząc, jak ktoś skrada się do drzwi. Zwłaszcza że przez jakiś czas nie było mnie w pobliżu.

– Jak długo cię nie było? – zapytałam.

– Najwyżej piętnaście minut – odparł. – Na dole zrobiliśmy sobie małe przyjęcie, żeby uczcić ostatnią noc na oceanie, i w pewnym momencie pojawił się jakiś steward z kolejnym bukietem kwiatów dla pani. Zaproponował, że je tu przyniesie i zerknie na mój rewir, abym mógł spokojnie dopić to, co miałem w kieliszku. Było miło, a czas szybko leci. Nie wykluczam, że zabawiłem trochę dłużej, niż powinienem.

– Który to był steward?

– Nie pamiętam. Bukiet zakrywał mu całą twarz.

– Nie pamiętasz?

– Przyznam się, że nie bardzo zwróciłem na niego uwagę. Na tak dużym statku nie sposób zapamiętać całej załogi. Pamiętam, że miał na sobie zwykły uniform i że trzymał ten olbrzymi bukiet. Czemu pani pyta? Czy coś się stało?

– Coś bardzo złego – odparłam. – Lepiej wejdź i sam zobacz.

Otworzyłam drzwi i usunęłam się na bok, żeby go przepuścić. Krzyknął, kiedy zobaczył, o co mi chodzi.

– O mój Boże – wyjąkał. – Czy ona...?

– Tak, nie żyje – powiedziałam. – Kiedy wróciłam do kajuty, leżała na łóżku.

– Kto to jest? – zapytał. Zauważyłam, że pot spływa mu po twarzy.

– Moja pokojówka.

Mówiąc to, zdałam sobie sprawę, że przecież kłamię. Rose nie była moją pokojówką, tylko pokojówką Oony. Wszystko zacznie się teraz komplikować – pomyślałam.

– Pokojówka... – powtórzył i przyjrzał się ciału dokładniej. – Rzeczywiście. Ale dlaczego, u licha, jest tak dziwnie ubrana?

– Może założył jej to morderca – zasugerowałam. – Nie mam pojęcia po co.

Po chwili przyszła mi do głowy pewna myśl i aż przeszył mnie dreszcz. Rose mogła dla zabawy przymierzać kostium, a kiedy morderca wtargnął do kajuty, uznał, że to Oona Sheehan.

– Ale jakim cudem ktoś w ogóle tutaj wszedł? – spytał Henry. – Przecież cały czas siedzę na posterunku pod drzwiami, szczególnie w nocy, kiedy panowie lubią sobie popić. Niejeden już chciał po alkoholu składać pani wizytę.

– Sam przyznałeś, że cię tu przez kwadrans nie było i straż przejął inny steward.

– Ale tylko na parę minut, proszę pani.

– Wystarczy, żeby dokonać morderstwa – odparłam.

Spojrzał na mnie przerażony.

– Chyba nie myśli pani, że...

– Właśnie tak myślę. Zastanawiam się jedynie, czy rzeczywiście był stewardem, czy raczej się przebrał i schował za bukietem, żeby umożliwić sobie wejście do mojej kabiny.

– Nie, proszę tak nie mówić. – Henry zakrył usta dłonią. – Jak miałbym dalej żyć ze świadomością, że...

– Skąd mogłeś wiedzieć, jakie ma plany? – zauważyłam. – Proszę, przypomnij sobie dokładnie, jak wyglądał.

– Już mówiłem. Nie zwróciłem na niego za bardzo uwagi.

– Młody czy stary?

– Na pewno miał bujną, ciemną czuprynę. To zapamiętałem.

– Wysoki?

– Wyższy ode mnie.

– A głos?

– Raczej młody, bym powiedział. I jeszcze coś. Mówił ładniej, z lepszym akcentem niż reszta załogi.

– No widzisz. To już coś.

– Chyba powinniśmy go zaraz poszukać – stwierdził Henry.

– Z pewnością już dawno pozbył się uniformu. Teraz spokojnie odpoczywa w swojej kajucie.

– Chodzi pani o zwykłą kajutę pasażerską?

– Możliwe. Zabójca Rose to członek załogi albo jakiś pasażer.

– Proszę się stąd nie ruszać – oznajmił nagle Henry stanowczo, najwyraźniej przypominając sobie, jaką funkcję pełni na statku. – Pójdę po pomoc i przyniosę pani kieliszek brandy.

– Nie zostawiaj mnie tu samej, proszę. – Złapałam go za rękaw. – A jeśli zabójca wciąż tu jest? Może gdzieś się chowa.

Henry cierpliwie przeszukał całą kajutę i nawet ostrożnie otworzył szafę, a potem zajrzał pod szezlong. Ale nie było nikogo.

– Będę tu z powrotem, zanim zdąży pani policzyć do dziesięciu – obiecał.

Kiedy wychodził, zauważyłam w lustrze swoje odbicie. Jak ja wyglądam! – pomyślałam. Biała twarz, przyklapnięte włosy, kostium nie na miejscu. Nikt nie rozpozna we mnie Oony Sheehan. Peruka! Zanim Henry wróci, koniecznie muszę ją założyć. Nie mogą poznać prawdy! Gdy nerwowo upinałam włosy, zdałam sobie sprawę, że jednak będą się musieli dowiedzieć, kim jestem. Umówiłam się z Ooną, że na czas podróży zamienimy się na statku miejscami. Ale teraz nie ma wyjścia. Muszę wyjawić swoją tożsamość, a Oona z pewnością to zrozumie. To oczywiste, że chciałaby się dowiedzieć, co przydarzyło się Rose, a następnie znaleźć mordercę i postawić go przed sądem.

Mimo wszystko dokończyłam zakładania peruki. Chyba powodowała mną próżność, bo włosy miałam przylizane i matowe. Nie chciałam, żeby ktoś oglądał mnie w takim stanie. Poza tym postanowiłam wyjawić prawdę dopiero

wtedy, gdy opowiem dokładnie o całym zdarzeniu. Po chwili usłyszałam ciężkie kroki na korytarzu i do kajuty wkroczył Henry w asyście dwóch oficerów.

– Tu, proszę pana. Leży na łóżku – powiedział.

Oficer z brodą od razu podszedł do Rose.

– Jestem lekarzem, panno Sheehan. Rozumiem, że ofiara była pani służącą. Wyrazy współczucia. Musi pani być bardzo zdenerwowana.

– Panno Sheehan – odezwał się drugi mężczyzna. – Jestem pierwszym oficerem na tym statku. Nazywam się Stratton. To pani znalazła tę młodą kobietę?

Kiwnęłam głową.

– Myślę, że została zamordowana – powiedziałam.

Spojrzał na nieruchome ciało Rose.

– Jest pani pewna? Może to zbyt pochopne stwierdzenie. Ludzie czasem umierają nagle; zawał serca, napad duszności. Takie rzeczy przydarzają się nawet młodym.

– Ale wtedy raczej nie układają się na łóżku i nie przykrywają starannie – stwierdziłam.

– Rozumiem. Wezwaliśmy kapitana. Spał, ale już do nas idzie. Proponuję, żebyśmy zostawili doktora samego, niech wykona swoją pracę. Henry, proszę, powiedz kapitanowi, że czekamy w bibliotece. O tej porze będziemy tam mogli spokojnie porozmawiać.

Wziął mnie pod łokieć i zdecydowanym krokiem zaprowadził po schodach na pokład, a potem w stronę niewielkiej sali. Stało tam kilka wygodnych foteli, parę biurek, a ściany były wyłożone drewnem. Kiedy weszliśmy, w pomieszczeniu panowała ciemność, więc Henry przeszedł się dookoła i pozapalał lampki. Rzucały teraz ciepłe światło na polerowane meble.

– Jeśli się pan zgodzi, to zaproponuję pannie Sheehan trochę brandy – powiedział Henry. – Wygląda tak, jakby zaraz miała zemdleć.

– Oczywiście. To bardzo dobry pomysł – zgodził się pierwszy oficer Stratton. I wskazał mi obity skórą fotel.

Zazwyczaj nie mdleję tak łatwo. Właśnie miałam to oznajmić wszem wobec, ale zorientowałam się, że nogi mam jak z waty. Rose bardzo mocno ścisnęła mi gorset w talii i czułam się teraz jak w klatce, w której nie ma powietrza. Z wdzięcznością opadłam na fotel, a potem pociągnęłam łyk alkoholu, zakaszlałam i znów się napiłam, czując, jak ciepło rozchodzi się po całym ciele.

Po chwili zjawił się kapitan – dystyngowany mężczyzna z siwiejącą brodą, który nawet w szlafroku i kapciach wyglądał niezwykle dostojnie. Wprost kipiał z oburzenia.

– Co tu się dzieje, Stratton? Śmierć na statku?!

– Bardzo podejrzana śmierć, proszę pana. Doktor jest już na miejscu.

– Czy znamy tożsamość zmarłej?

Otworzyłam usta, żeby coś powiedzieć, ale nie mogłam wydobyć z siebie głosu.

– Służąca tej pani – odparł za mnie Henry.

– A pani jest...? – Kapitan zawiesił na mnie wzrok.

– Oona Sheehan – odparł z dumą Henry.

– Dobry Boże! – Kapitan westchnął i znów przyjrzał mi się uważnie. – Nazywam się Hammond. Widziałem panią kiedyś w teatrze. Co to był za wieczór! Ta sztuka, w której przebiera się pani za chłopca... Jaki miała tytuł, proszę mi przypomnieć... Zwykłe romansidło, ale muszę przyznać, że grała pani znakomicie.

Na szczęście doktor przybył w samą porę i nie musiałam odpowiadać na to kłopotliwe pytanie.

– Kapitanie, melduję, że zakończyłem wstępne badanie zmarłej.

– I jaka jest pańska opinia, doktorze? Czy mamy do czynienia ze śmiercią z przyczyn naturalnych, czy są jakieś inne okoliczności?

– Mogę śmiało powiedzieć, że ofiara została uduszona, sir – oznajmił doktor. – Prawdopodobnie poduszką. Na szyi ma ślady zadrapań, napastnik musiał z całej siły przytrzymywać jej głowę. Ale... – doktor chrząknął – nie została zaatakowana w żaden inny sposób, jeśli pan wie, co mam na myśli –

dodał szybko, patrząc zawstydzony w moim kierunku.

– Do diaska! – stwierdził kapitan. – Dobrze, lepiej też tam pójdę i zerknę osobiście. Panno Sheehan, proszę o cierpliwość. Doktorze, niech mnie pan zaprowadzi na miejsce zbrodni.

– Proszę niczego nie dotykać, kapitanie! – zawołał jeszcze za nim pierwszy oficer. – Jestem pewien, że policjanci po wejściu na pokład będą robili dokładne oględziny.

– Nie jestem głupi, Stratton – rzucił za siebie kapitan. – Poza tym to ja tu jestem dowódcą i reprezentuję prawo na morzu. Zarządzę własne śledztwo. Policja może się zająć sprawą tylko wtedy, gdy ja na to pozwolę i gdy dobijemy do portu. Byłoby najlepiej, gdybyśmy rozwikłali tę zagadkę, jeszcze zanim dopłyniemy do Irlandii.

– Marne szanse – mruknął pierwszy oficer, kiedy drzwi zamknęły się za kapitanem i doktorem.

Henry znacząco pokiwał głową.

Czekałam, trzęsąc się cała z zimna, mimo że w pomieszczeniu było przyjemnie i ciepło. Ta podróż była dotąd jak marzenie – pomyślałam – a teraz nagle przerodziła się w senny koszmar. Czekaliśmy wszyscy w milczeniu – ja, pierwszy oficer i Henry. Na jednej ze ścian głośno tykał zegar, statek delikatnie kołysał się na falach. Po chwili, która wydała mi się wiecznością, kapitan i doktor wrócili.

– Potworna sprawa – mruknął kapitan już w progu. – Potworna. Biedna dziewczyna. Znajdziemy tego zwyrodnialca, jeszcze popamięta. W porządku, zabierajmy się do pracy. Ofiara była Irlandką, prawda? Kiedy przypłyniemy do Queenstown, dobrze będzie poinformować o tym policję.

– To nasz obowiązek – powiedział stanowczo pierwszy oficer.

– Możemy to zrobić, ale wcale nie musimy – odparł kapitan, patrząc na podwładnego zimnym wzrokiem. – Doskonale pan wie, że to ja reprezentuję prawo na tym statku.

– Kapitanie, płyniemy pod brytyjską banderą i podlegamy prawu brytyjskiemu. Tym morderstwem będzie musiała się zająć brytyjska policja.

Kapitan westchnął.

– Wiem, wiem. Mój Boże, mamy twardy orzech do zgryzienia. Obyśmy nie musieli na dłużej zatrzymywać się w porcie. Właściciele statku nie znoszą, kiedy się spóźniamy. Mogą obciążyć mnie winą za to, że doszło do takiej zbrodni.

Kapitan popatrzył, milcząc, w ciemną przestrzeń za oknem, a potem nagle z całej siły uderzył dłońmi o blat stołu.

– Nie ma wyjścia. Do rzeczy. Doktorze, czy będzie pan notował? Proszę wziąć papier i pióro.

– Tak jest, kapitanie – odparł doktor i usiadł przy biurku.

– Jeszcze nigdy nie prowadziłem śledztwa w sprawie morderstwa na statku, a kapitanem jestem od lat. Od czego zacząć? Na pokładzie mamy ponad tysiąc pasażerów. Trzeba jak najszybciej złapać tego człowieka. Nie mogę uwierzyć, że ten łobuz jest cały czas na wolności.

Kiedy słuchałam kapitana, przyszło mi na myśl, że zabójca wcale nie musi być mężczyzną. Ale powstrzymałam się od komentarza.

Kapitan przechadzał się powoli po bibliotece, dłonie splótłszy za plecami.

– Stratton, trzeba całą załogę poinformować o tym zdarzeniu. Jak najszybciej i jak najdyskretniej. Niech raportują, jeśli zobaczą, że ktoś zachowuje się podejrzanie. Rano zbiorę wszystkich i poproszę, żeby mi natychmiast dostarczono listę pasażerów.

Doktor oderwał się od swoich papierów.

– Kapitanie, uważam, że nie należy wtajemniczać pasażerów, nie powinni się o niczym dowiedzieć.

– Racja – odezwał się Stratton. – Gdybyśmy tylko wiedzieli, kim ten człowiek jest! Można by wyjaśnić sprawę jeszcze przed zawinięciem do portu.

– Gdybyśmy wiedzieli, kim ten człowiek jest, sprawa byłaby prosta, Stratton – zauważył chłodno kapitan. – Po prostu byśmy go aresztowali.

Zerknęłam na Henry'ego, zastanawiając się, czy powie coś na temat tajemniczego stewarda. Stał przy drzwiach, ze wzrokiem wbitym w podłogę. Może powinnam się odezwać? Problem w tym, że wtedy narobię Henry'emu

kłopotów – pomyślałam.

– Nikt nie zejdzie na ląd, dopóki nie pojawi się tu policja – ciągnął kapitan. – To się rozumie samo przez się. Jak tylko będziemy mieć łączność z Irlandią, trzeba wysłać wiadomość. Nie możemy sobie pozwolić na przestój w porcie i czekanie, aż inspektorzy przyjadą z Dublina.

– Niewykluczone, że i tak będziemy stać w porcie, dopóki śledztwo się nie zakończy – zauważył pierwszy oficer.

– Niech tylko spróbują nas zatrzymać! – mruknął kapitan. – Mogą sobie przesłuchać pasażerów, którzy wysiadają w Irlandii, a z pozostałymi porozmawiać podczas rejsu do Liverpoolu.

– Nie wiem... – zaczął pierwszy oficer, ale kapitan natychmiast mu przerwał.

– Do cholery, człowieku. Przestań! Idź lepiej porozmawiać z załogą – warknął. – Masz czekać na dalsze rozkazy. I pamiętaj, gęba na kłódkę.

– Tak jest, sir – odmeldował się pierwszy oficer.

– Dobrze. Na czym skończyliśmy? – Kapitan Hammond zwrócił się w moją stronę. – Panno Sheehan, ta nieszczęsna dziewczyna była pani służącą, czyż nie? Może ma pani jakieś przypuszczenia, kto mógł chcieć jej śmierci. Doktorze, może to pospolite przestępstwo, zwykła napaść...

– Nie sądzę, kapitanie. Gdyby tak było, mielibyśmy ślady aktu seksualnego – odparł doktor, zerkając na mnie przepraszająco.

– W takim razie musimy przypuszczać, że służąca została zamordowana z premedytacją. Panno Sheehan, czy miała jakiegoś natrętnego adoratora, którego zaloty odrzucała?

Powiedz prawdę i miej to z głowy – usłyszałam wewnętrzny głos. Nie wiedziałam jednak, jak do tego przejść. Brandy zaczęła działać. Dopiero teraz zdałam sobie sprawę, że trzęsę się jak galareta.

Pokręciłam głową.

– W porządku, po kolei – powiedział kapitan. – Pełne imię i nazwisko dziewczyny.

– Rose – odparłam. – E... nie znam jej nazwiska.

– Nie zna pani nazwiska swojej służącej?! – zapytał z niedowierzaniem kapitan.

Wzięłam głęboki oddech.

– Kapitanie, jest coś, o czym powinien się pan dowiedzieć, zanim zaczniemy rozmawiać o szczegółach. Nie jestem Ooną Sheehan.

Kapitan klasnął w ręce.

– Wiedziałem! Coś mi nie pasowało. Na przedstawieniu siedziałem w pierwszym rzędzie. O cóż więc, do diaska, chodzi? Proszę mówić!

– Jeśli mam być szczery, kapitanie, mnie też się to wszystko wydawało dziwne – wtrącił Henry. – Już wcześniej obsługiwałem pannę Sheehan, ale podczas tej podróży dziwnie się czułem. Teraz rozumiem dlaczego.

– Najmocniej cię przepraszam, Henry – powiedziałam. – Z pewnością zrozumiesz powody.

– Proszę mówić, kim, u diabła, pani jest i co się stało z panną Sheehan – warknął kapitan.

– Nazywam się Molly Murphy – oznajmiłam. – Płynę do Irlandii i zarezerwowałam sobie na ten rejs kajutę drugiej klasy. Kiedy wsiadłam na statek, posłaniec przyniósł mi liścik od panny Sheehan, z prośbą, bym niezwłocznie ją odwiedziła.

– Czy panie się wcześniej znały?

– Poznałyśmy się niedawno na przyjęciu. Poprosiła, byśmy zamieniły się kajutami.

– Zamieniły kajutami? Po co, u licha? – Kapitan patrzył na mnie podejrzliwie.

– Powiedziała, że ma dość adoratorów, którzy nie dają jej spokoju i że potrzebuje odpoczynku. Zaproponowała, że zapłaci mi za przysługę.

– I pani się zgodziła?

– Nie miałam powodu odmówić.

– Czemu poprosiła panią o coś tak dziwnego, skoro widziałyście się tylko raz?

– Uznała, że jesteśmy do siebie podobne.

Kapitan przyjrzał mi się krytycznie.

– Czy ktokolwiek podejrzewał, że nie jest pani Ooną?

– Panna Sheehan kazała mi jak najwięcej czasu spędzać w kajucie. Tak też robiłam, wychodząc jedynie wcześnie rano na krótki spacer. Aż do dziś, kiedy, jak panowie widzą, wybrałam się na bal.

– A pokojówka? Co ona o tym myślała?

– Została we wszystko wtajemniczona. Panna Sheehan poprosiła ją, by traktowała mnie podczas rejsu tak samo jak swoją chlebodawczynię.

Przerażenie i szok powoli ustępowały. Zaczynałam myśleć logicznie.

– Proszę posłuchać... Czemu nie pośle pan kogoś do mojej kajuty? Niech panna Sheehan sama opowie całą historię. Mam nadzieję, że wtedy mi pan uwierzy.

– Słusznie – odparł kapitan. – Henry, zejdź do kajuty panny Murphy i poproś uprzejmie pannę Sheehan, by zechciała do nas dołączyć. Przeproś, że fatygujemy ją o tak nieludzkiej godzinie, i wytłumacz, że sprawa jest pilna. Tylko nie mów na razie, że chodzi o śmierć służącej; lepiej sam przekażę jej tę smutną wiadomość.

– Oczywiście, proszę pana. Jaki numer kajuty?

– Dwieście trzydzieści jeden. Pokład E – powiedziałam.

Henry się oddalił.

– Po co zabijać służącą? – Kapitan przeczesywał palcami brodę. – Może ktoś zajrzał do kabiny panny Sheehan w celach rabunkowych i natknął się na tę Rose. Może ona podniosła raban, a wtedy przestępca zaczął ją uciszać... Czy to zbyt daleko posunięte wnioski? Jak pani sądzi?

– Jeśli chce pan poznać moje zdanie – zaczęłam – to należy przyjąć, że to nie pokojówka miała zginąć, ale panna Sheehan we własnej osobie. Przed balem zamówiłam do kajuty kilka kostiumów. Na wierzchu zostawiłam przebranie hiszpańskiej tancerki, bo nie mogłam się zdecydować, co założyć. Mogło być tak, że Rose przymierzyła ten kostium dla zabawy tuż po moim wyjściu i kiedy pojawił się morderca, uznał, że to ja. Albo raczej Oona

Sheehan.

Kiedy wypowiadałam te słowa, w głowie cały czas kłębiły mi się różne myśli. Może Oona Sheehan miała jakiegoś adoratora, którego wcześniej odrzuciła i który teraz postanowił się zemścić. Może widząc, jak ten mężczyzna wchodzi na pokład, wpadła w panikę i poprosiła mnie o pomoc. Wolała odbyć rejs jako osoba anonimowa. Dlatego też usilnie prosiła, bym nie opuszczała swojej kajuty.

Proszę, jaka milutka! – pomyślałam. Zapłaciła mi, żeby ktoś mnie zabił. Ale los z niej zakpił. Zginęła wierna pokojówka, świeć Panie nad jej duszą.

Nagle z impetem otworzyły się drzwi i do środka wpadł Henry. Ledwie dyszał, najwyraźniej biegł po schodach.

– Byłem na pokładzie E, kapitanie – powiedział. – Kajuta, której numer panienka mi podała, jest pusta.

9

Wpatrywałam się w stewarda, który wciąż łapał powietrze.

– Jak to pusta?! – spytałam.

– Nikt w niej nie mieszkał podczas rejsu. Nie ma żadnych śladów, żeby ktoś tam w ogóle wchodził.

– Ale co z moimi rzeczami? Na pokładzie E zostawiłam swój bagaż. Co się z nim stało?

Zastanawiając się nad tym głębiej, można by stwierdzić, że mój niewielki majątek spakowany do torby podróżnej to nic w porównaniu z morderstwem, do którego właśnie doszło. Dla mnie jednak te rzeczy dużo znaczyły i nie chciałam ich stracić.

Henry potrząsnął głową.

– Nic nie widziałem, panienko. Kajuta jest zupełnie pusta.

– Panna Sheehan gdzieś przecież musi być. Może uznała, że moja kajuta jest dla niej za mała, i przeniosła się gdzie indziej? Ktoś musi wiedzieć, co się z nią stało.

– Niesłychane! – wykrzyknął Hammond. – Czy steward, który odpowiada za tę część statku, mógłby się wypowiedzieć na ten temat?

– Zaraz sprawdzę, proszę pana – odparł Henry. – Czy mam go teraz obudzić?

– Obawiam się, że to konieczne.

– Nie będzie zadowolony – odparł Henry. – Załoga dzisiaj trochę się zabawiła, pewnie dopiero niedawno poszedł spać. Wścieknie się.

– To są wyjątkowe okoliczności, mój drogi. Nie dziwię się, że nie będzie zadowolony. Obudź również szefa pokładu drugiej klasy.

Henry jeszcze bardziej się zasępił.

– Oczywiście, proszę pana. Rozkaz to rozkaz – mruknął i odszedł.

Czułam na sobie wzrok Hammonda. Dla niego jestem pewnie podejrzaną numer jeden – pomyślałam. Pod fałszywym nazwiskiem zajmowałam kajutę pierwszej klasy, po czym zawiadomiłam wszystkich o śmierci swojej pokojówki, a właściwie pokojówki osoby, za którą się podawałam. To wszystko nie wygląda wiarygodnie. Jeśli Oona Sheehan się nie odnajdzie i nie potwierdzi moich zeznań, znajdę się w nie lada tarapatach.

Parę minut później pojawił się rozchełstany steward o mętnym spojrzeniu. Nerwowo zapinał guziki białej marynarki.

– A niech to szlag, mam nadzieję, że to coś naprawdę ważnego – wymamrotał. – Chyba bez powodu nie budzilibyście mnie w środku nocy.

– Wyrażaj się! – zwrócił mu uwagę kapitan. – W towarzystwie jest dama.

Dopiero teraz steward zauważył kapitana. Skwapliwie zasalutował.

– Przepraszam, kapitanie. To nieporozumienie. Henry przekazał mi tylko, że szybko mam się tu stawić, a... – Spojrzał na mnie. W kostiumie Marii Antoniny musiałam przedstawiać interesujący widok.

– Powtórz swoje imię – poprosił kapitan.

– Wally, proszę pana. Wally Henshaw.

– W porządku, Wally. Co nam możesz powiedzieć na temat kajuty dwieście trzydzieści jeden i osoby, która ją zajmuje?

– Dwieście trzydzieści jeden, kapitanie? – Człowieczek zmarszczył czoło. – Nikt nie mieszka w kajucie dwieście trzydzieści jeden.

– Mówisz, że odkąd wypłynęliśmy z portu, nikt z niej nie korzysta?

– Tak, dokładnie tak, proszę pana.

– Ale ja w tej kajucie zostawiłam swoje bagaże – powiedziałam. – Była zarezerwowana na moje nazwisko. W torbie mam bilet, na którym wszystko jest napisane.

– Owszem, zanim wypłynęliśmy, dotarły do kajuty bagaże – odparł Wally. – Potem jednak poinformowano mnie, że młoda dama otrzymała jakieś niepokojące wieści i w ostatniej chwili zdecydowała się zmienić plany.

Powoli docierała do mnie prawda. Oona w ogóle nie zamierzała nigdzie płynąć. Nie tylko mnie oszukała, ale również zabrała moje najcenniejsze rzeczy! Oczywiście zostawiła mi w zamian garderobę pełną pięknych kreacji, ale wszystkie te stroje są, po pierwsze, zbyt eleganckie jak na moje potrzeby, a po drugie, nie należą do mnie. Po chwili jednak pomyślałam, że ubrania to ostatnia rzecz, jaką powinnam się przejmować.

– Młoda damo, chyba nadszedł czas, byśmy wszyscy usłyszeli, kim właściwie pani jest i dokąd się wybiera – zwrócił się do mnie kapitan.

– Moje dokumenty powinny być w kajucie Oony Sheehan – odparłam. – Może pan kogoś po nie wysłać albo uwierzyć we wszystko, co powiem.

Kapitan przyjrzał mi się uważnie.

– Proszę nam przedstawić swoją wersję wydarzeń. Bez problemu ją zweryfikujemy.

Opowiedziałam wszystko po kolei. Henry przyprowadził szefa pokładu drugiej klasy, który jedynie powtórzył to, co wcześniej zeznał Wally. Dama zajmująca kabinę dwieście trzydzieści jeden dostała tuż przed odpłynięciem statku złe wieści od rodziny i w ostatniej chwili zeszła na ląd. Mężczyzna nie potrafił powiedzieć, czy tą osobą była Oona Sheehan, czy ktoś inny. Na statku panowało wówczas ogromne zamieszanie – pasażerowie narzekali na swoje kajuty, starali się je zmienić lub bez końca szukali właściwego numeru. Szef pokładu potwierdził, że kajuta była zarezerwowana na nazwisko Molly Murphy.

Kapitan popatrzył na mnie przeciągle raz jeszcze i zapytał:

– W jakim celu podróżuje pani do Irlandii?

– Jestem Irlandką, to chyba jasne. Płynę do rodziny, której długo nie widziałam. Wreszcie udało mi się odłożyć trochę pieniędzy.

Oczywiście nie mówiłam mu całej prawdy, ale uznałam, że dopóki nie będzie to konieczne, nie przyznam się, że jestem detektywem na służbie. Po co otwierać puszkę Pandory?

– Proszę w takim razie podać adres.

Matko Przenajświętsza – pomyślałam – przecież nie może teraz szukać

mojej rodziny, a tym bardziej informować wszystkich w hrabstwie Mayo, że Molly Murphy wraca do domu! Przecież to niebezpieczne. Z wiadomych względów.

– Najpierw planuję wizytę w Corku, gdzie zdaje się mieszka siostra mojego przyjaciela. Poprosił, bym ją odnalazła. Potem prawdopodobnie pojadę do Dublina spotkać się z rodziną i przyjaciółmi – odparłam szybko. – Dalszych planów na razie nie mam.

Kapitan wpatrywał się we mnie uporczywie, jakby chciał coś wyczytać z moich myśli.

Byłam zmęczona, zdenerwowana i nawet trochę zła.

– Nie rozumiem, dlaczego traktuje mnie pan w ten sposób. Ktoś mógłby pomyśleć, że jestem oskarżona o udział w morderstwie. Po co, u licha, miałabym zabić czyjąś pokojówkę? No po co?

Chyba udało mi się zbić kapitana z tropu, bo najwyraźniej nie potrafił tego skomentować. Henry pochylił się nad nim i podpowiedział mu scenicznym szeptem:

– Może najpierw zamordowała prawdziwą pannę Sheehan, kapitanie, a potem, kiedy nikogo nie było w pobliżu, wyrzuciła ciało za burtę. Wiedziała o tym tylko służąca, a kiedy zaczęła fikać, ta pani postanowiła ją uciszyć.

Popatrzyłam na niego z uśmiechem.

– Zacznij pisać kryminały, Henry. Mówię poważnie. Co by mi dało udawanie, że jestem Ooną Sheehan?

– Przede wszystkim podróż w kajucie pierwszej klasy. A później? Może chciała panienka występować w Irlandii jako słynna aktorka, licząc na to, że lokalni widzowie się nie zorientują.

– Bzdury – ucięłam jego niedorzeczne wywody. – Wszystko się wyjaśni, kiedy przypłyniemy do portu. Z pewnością zechcecie wysłać telegram do panny Sheehan z informacją o śmierci jej pokojówki. Poproście w nim również, by potwierdziła moje zeznania.

Wstałam i dodałam jeszcze:

– Jest środek nocy. Niczego teraz nie przesądzimy. Jeśli mielibyśmy zacząć

prawdziwe śledztwo, powinniśmy najpierw przesłuchać tego młodego człowieka, który przebrał się za stewarda i zajął miejsce Henry'ego.

– Co takiego? – Kapitan natychmiast spojrzał na podwładnego, a ten oblał się rumieńcem.

– E... to prawda, kapitanie. Mężczyzna, którego wziąłem za stewarda, pojawił się z ogromnym bukietem kwiatów dla panny Sheehan. Nie było w tym nic niezwykłego, bo przecież ciągle ktoś przesyłał kwiaty, czekoladki albo butelki szampana. Nie mylę się, panno Sheehan, prawda? To znaczy, panno...?

Skinęłam głową.

– To prawda – odparłam. – Panna Sheehan rzeczywiście miała mnóstwo adoratorów. Doskonale rozumiem, że mogła ich mieć dość.

– A co z tym stewardem?

– Zaproponował, że mnie zastąpi. Domyślił się, że chcę się przyłączyć do małego przyjęcia, które załoga akurat wyprawiała. Wie pan, ostatniej nocy na morzu zawsze trochę się bawimy. Nie było mnie tylko parę minut. Nie miałem złych zamiarów.

– Rozpoznałeś tego człowieka? – zapytał ostro pierwszy oficer.

– Nie, proszę pana. Twarz zasłonił kwiatami.

– Wiemy tylko, że był wyższy i młodszy niż Henry i że mówił z ładnym akcentem – powiedziałam. – Z tego można by wnioskować, że był po prostu pasażerem w przebraniu.

Popatrzyli na mnie zdziwieni.

– Cóż... Chyba muszę się panom wreszcie przyznać, że jestem z zawodu detektywem – oznajmiłam i w tym samym momencie pożałowałam swoich słów. Kiedy wreszcie nauczę się trzymać buzię na kłódkę? O ile byłoby prościej, gdybym została przy pierwotnej wersji. Zwykła dziewczyna z Irlandii wraca do domu, do rodziny.

Ich reakcja jednak wszystko mi wynagrodziła.

– Dobry Boże! – jęknął kapitan. – Kobieta detektyw. Dokąd ten świat zmierza? Czy w takim razie można też przyjąć hipotezę, że morderstwo miało związek z pani profesją, a nie z panią Sheehan? Może jest pani na tropie

jakiegoś przestępcy?

Uśmiechnęłam się i pokręciłam głową.

– Nie. Zamiana kajut nastąpiła w ostatniej chwili. Oprócz Rose nikt nie mógł wiedzieć, że nie jestem Ooną Sheehan.

– Może puściła parę – zauważył Henry. – Pokojówki nie potrafią trzymać języka za zębami.

Jeszcze raz pokręciłam głową.

– Proszę zrozumieć, jadę do Irlandii szukać siostry przyjaciela. To żadna sprawa kryminalna. Jestem pewna, że ktoś chciał zabić pannę Sheehan. Jakiś niezrównoważony młody człowiek, którego zaloty odrzuciła.

Kapitan zwrócił się do drugiego oficera.

– W takim razie od czego, u licha, powinniśmy zacząć? Nie ustawimy przecież w rzędzie wszystkich młodych mężczyzn na statku i nie sprawdzimy, czy Henry rozpoznaje ich po włosach i głosie!

– Można się dowiedzieć, kto zamawiał wieczorem duży bukiet kwiatów – zasugerowałam. – Chociaż wątpię, że morderca był na tyle głupi, by zamawiać je na swoje nazwisko.

– Mimo to warto sprawdzić – odparł kapitan.

– Jeśli mogę coś zasugerować, kapitanie – odezwał się doktor. – Kiedy dopłyniemy, proszę nie wypuszczać nikogo na brzeg i od razu przekazać sprawę policji irlandzkiej. Jeśli zaczniemy sami prowadzić śledztwo, możemy tylko pogorszyć sprawę. Takie rzeczy należy przeprowadzać z ogromną delikatnością.

– Czy sugeruje pan, do diaska, że nie wiem, co robię?! – zezłościł się kapitan.

– Przyznał pan przecież, że nigdy nie prowadził śledztwa w sprawie morderstwa – odparł spokojnie doktor. – Rozsądek podpowiada, żeby przekazać dochodzenie profesjonalistom.

– Do krocset! Jak niby mamy zabronić pasażerom schodzić na ląd?! Do tego potrzebne są uprawnienia.

– Można im powiedzieć, że muszą zostać na pokładzie ze względów

sanitarnych – zasugerował doktor. – Że jeden z pasażerów zapadł na chorobę zakaźną i nikt nie opuści statku, dopóki nie przejdzie dokładnych badań.

– Brawo, doktorze – powiedział kapitan, wreszcie zadowolony, że ktoś zaproponował konstruktywne rozwiązanie. – Dzięki temu będziemy się mogli uważnie wszystkim przyjrzeć. Badania lekarskie. To jest to! – Klasnął. – Dobrze, Henry, masz stać przed drzwiami kajuty panny Sheehan aż do rana. Nikomu nie wolno się do nich zbliżyć. Cała reszta, marsz do łóżek! Musimy złapać choć trochę snu. Jutro czeka nas trudny dzień.

– Co ze mną? – zapytałam. – Gdzie mam spać?

– Na pokładzie E, rzecz jasna – odparł kapitan.

– Najpierw muszę zabrać trochę ubrań z kajuty panny Sheehan – stwierdziłam. – Nie położę się spać w tym stroju. Poza tym muszę go zwrócić do wypożyczalni.

Kapitan westchnął.

– W porządku. Henry, idź z panną Murphy i zadbaj o to, by nie dotykała niczego niepotrzebnie. W dzisiejszych czasach policjanci pobierają odciski palców, więc sam rozumiesz...

– Odciski moich palców są w całej kajucie. Przecież przez tydzień w niej mieszkałam – powiedziałam. – I proszę się nie martwić. Niczego nie ruszę – dodałam i wyszłam.

10

To, że nie będę mogła zasnąć, było do przewidzenia. Zimna prycza okazała się bardzo wąska i twarda, a rytmiczny dźwięk silnika rozsadzał mi głowę. Miałam też dreszcze – efekt przeżytego właśnie szoku. Najpierw po prostu przejęłam się śmiercią biednej Rose, a potem do mnie dotarło, że gdybym wcześniej wróciła z przyjęcia i odesłała pokojówkę, leżałabym teraz na łóżku Oony, patrząc w sufit martwymi oczami. Otuliłam się kołdrą i przyciągnęłam kolana do brody. Nie chciałam nawet myśleć o tym, co może przynieść jutrzejszy dzień. O ironio! Przecież miałam pojawić się w Irlandii przez nikogo niezauważona – pomyślałam i po chwili zapadłam w upragniony sen.

Zbudziły mnie głośne dźwięki dobiegające z pokładu. Usiadłam raptownie, uderzając głową w pustą pryczę na górze. Natychmiast przypomniałam sobie, gdzie jestem, i przed oczami stanęły mi okropne wydarzenia minionej nocy. Najwyraźniej przybiliśmy do portu w Queenstown i statek akurat cumował. Wstałam i wyjrzałam przez okno, starając się dostrzec cokolwiek poza deskami łodzi ratunkowej. Wciąż było jeszcze wcześnie – dzień się dopiero budził, na wschodzie zobaczyłam różową zorzę. W Irlandii taki poranek zawsze oznacza nie najlepszą pogodę w ciągu dnia – pomyślałam. Mewy latały nad statkiem, wrzeszcząc przeraźliwie, i dopiero ten dźwięk mi przypomniał, że oto właśnie jestem w Irlandii. Nareszcie w domu! Mewy w Nowym Jorku brzmiały zupełnie inaczej. Krzyk, który teraz słyszałam, towarzyszył mi w dzieciństwie, kiedy wybierałam się na targ w Westport albo kiedy biegłam na spotkanie rybakom wracającym z połowu. Kolejny łomot przerwał moje rozmyślania. Usłyszałam podniesione głosy gdzieś nade mną. Domyśliłam się, że ze statku spuszczono właśnie trap. Przechyliwszy głowę, dostrzegłam w oddali niewielkie miasteczko. Położone na wzgórzu, ze zgrabnym kościołem w samym centrum. To Queenstown – port, z którego podczas wielkiego głodu uciekło do Ameryki wielu moich rodaków.

Skoro opuszczono trap, niewykluczone, że irlandzka policja jest już na statku – pomyślałam. W każdej chwili mogą chcieć mnie przesłuchać! Szybko włożyłam na siebie podróżny kostium Oony Sheehan, jedną z niewielu rzeczy zabranych w nocy ze starej kajuty. Kostium był w czarno-białe paski, do kompletu miał niewielki kapelusik ze strusim piórkiem. Trzęsącymi się rękami z trudem wsadziłam go na głowę. Wcześniej wyszczotkowałam włosy, zadowolona, że nie muszę już nosić wstrętnej peruki. W ogóle wkładanie ubrań Oony ciężko mi teraz przychodziło, zwłaszcza że w myślach rodziły się co rusz nowe pytania. A jeśli Oona w ogóle wyprze się układu, który zawarłyśmy? A jeśli oskarży mnie o kradzież swoich ubrań albo jeszcze gorzej? Na szczęście po chwili coś sobie przypomniałam – panna Sheehan dała mi czek na sto dolarów. Leżał sobie bezpiecznie w mojej torbie z wyraźnym podpisem aktorki. Przynajmniej jestem w stanie udowodnić, że zapłaciła za moją pracę – stwierdziłam z ulgą.

Z taką kojącą myślą w głowie udałam się na poszukiwanie jadalni. Ludzie dziwnie na mnie patrzyli, kiedy pytałam o drogę. Ku swojemu zdziwieniu zjadłam całkiem przyzwoite śniadanie – jajka na bekonie i tosty z dżemem. Szczerze mówiąc, po całym tygodniu żywienia się samymi delikatesami taki posiłek był czystą przyjemnością. Kiedy wracałam do swojej kajuty, przed jej drzwiami natknęłam się na Wally'ego, stewarda, którego wezwano do kapitana wczorajszej nocy. Stał razem z nieznajomym mężczyzną w tweedowej pelerynie.

– Czy panowie może na mnie czekają? – zapytałam.

– No nareszcie – odparł z ulgą steward. – Przez chwilę myślałem, że może panienka uciekła.

– Uciekła? – spytałam z niedowierzaniem. – Niby z jakiego powodu? I jak? Przez dziurkę od klucza?

Na twarzy nieznajomego pojawił się cień uśmiechu. Był w średnim wieku, miał imponujące wąsy i zaróżowioną twarz, co mogło oznaczać, że sporo czasu spędza na świeżym powietrzu i nie stroni od dobrej whisky.

– To pani jest tą młodą damą, tak? Panna Murphy? – zapytał. Mówił ładnie po angielsku, z odrobiną irlandzkiego akcentu. – Miło panią poznać. –

Wyciągnął do mnie masywną dłoń. – Inspektor Harris. Przed chwilą dotarłem tu pociągiem z Dublina. Mam wrażenie, że tylko pani potrafi rzucić trochę światła na tę dziwną historię.

– Nie jestem pewna – odparłam.

– Jeśli dobrze rozumiem, miała pani na tym statku udawać znaną aktorkę Oonę Sheehan, czyż nie?

– Zgadza się – powiedziałam i zaczęłam opowiadać całą historię od początku.

Przerwały nam podniesione głosy.

– Gdzie, u licha, jest jakiś steward? Coś podobnego?! Dlaczego nie możemy zejść na ląd? Statek przecież zacumował w porcie!

Inspektor Harris spojrzał w stronę korytarza, a następnie wskazał na drzwi mojej kajuty.

– Może wejdziemy i spokojnie porozmawiamy – zaproponował.

– Nie ma tam zbyt dużo miejsca – ostrzegłam. – Nawet dla jednej osoby.

Otworzyłam drzwi. Zerknął do środka, ale pozostał na zewnątrz.

– No tak, rozumiem, co pani ma na myśli. Trudno się tu nawet obrócić. Dobrze, to może pójdziemy do tej kajuty, którą pani zajmowała w zeszłym tygodniu? Są w niej teraz inspektorzy, może i oni będą mieli do pani parę pytań. Kolego – zwrócił się do stewarda – pokaż nam drogę.

Ruszyliśmy korytarzem. Ociągając się, szłam za mężczyznami. Nie miałam wcale ochoty oglądać ciała Rose w świetle dziennym. Nasze kroki dudniły na korytarzu pierwszej klasy, kiedy zbliżaliśmy się do kajuty Oony Sheehan i do blichtru, który królował w tej części statku. Na straży przy drzwiach stał policjant; w środku było ich aż trzech, jeden z nich klęczał przy łóżku.

– Dotychczas nic nie znaleźliśmy, proszę pana – powiedział, na nasz widok wstając z kolan. – Żadnych śladów walki. Chyba powinniśmy poprosić tutaj koronera, żeby potwierdził wersję lekarza. Wydaje się, że mogła umrzeć śmiercią naturalną i całe to zamieszanie jest zupełnie niepotrzebne. Wygląda bardzo spokojnie.

Ciało Rose prawdopodobnie było przykryte całą noc prześcieradłem, ale

teraz odsłonięto jej twarz. Wbrew samej sobie spojrzałam w tamtą stronę. Na szczęście ktoś przymknął biedaczce powieki i przestała się we mnie wpatrywać. Faktycznie wyglądała spokojnie, zupełnie jakby spała. Poczułam, że do oczu napływają mi łzy.

– Ludzie, którzy umierają z przyczyn naturalnych, nie mają zadrapań na szyi – odparł zimno inspektor. – Naczynka na gałkach ocznych nie są popękane. Może wcale nie planował jej zabić, ale uścisk był na tyle silny, że umarła. Prawdopodobnie przykrył jej głowę poduszką i przycisnął.

Poczułam gulę w gardle, zawstydzona podniosłam dłoń do ust i zamiast zaszlochać, jedynie westchnęłam. Inspektor Harris dotknął mojego ramienia.

– Rozumiem, że to wszystko jest dla pani bardzo trudne.

– Nic mi nie jest – odparłam. – Tylko tak przykro na nią patrzeć. Taka młoda dziewczyna...

Inspektor wziął mnie pod rękę.

– Proszę, usiądźmy na chwilę. Pani na kanapie, ja przysunę sobie fotel. Zacznijmy od początku. Jak odkryła pani ciało? Kiedy dokładnie to się stało? – Wyciągnął notesik i ołówek i spojrzał na mnie wyczekująco.

– Było po północy. To pamiętam. Orkiestra grała *Auld Lang Syne*[3] i razem ze wszystkimi opuściłam salę balową.

– Cofnijmy się trochę – poprosił, podnosząc rękę. – Czy całą podróż spędziła pani w tej kajucie? Rozumiem, że wczoraj wieczorem postanowiła pani wyjść na zewnątrz.

– Zgadza się, inspektorze – odparłam. – Panna Sheehan poprosiła, żebym starała się nie opuszczać kajuty. Ale wczoraj steward przekazał mi, że jest bal przebierańców, i zaproponował, bym wypożyczyła kostium i trochę się rozerwała.

– Który steward?

– Frederick. Ma zawsze dzienną zmianę.

Inspektor wszystko zanotował.

– Czyli mimo że miała pani przebywać w kajucie, zdecydowała się pani ją opuścić?

– Tak. Podczas całej podróży czułam się jak więzień. Nie chciałam zrezygnować z okazji, jaką był bal przebierańców, bo przecież mogłam się tam czuć bezpiecznie. Poprosiłam o kilka strojów z wypożyczalni i wszystkie je przymierzyłam. Zostawiłam sobie strój Marii Antoniny i drugi, hiszpańskiej tancerki, który teraz ma na sobie Rose. Zdecydowałam się na ten pierwszy ze względu na perukę i maskę. Nie było możliwości, żeby ktoś mnie rozpoznał.

– I rzeczywiście nikt pani nie rozpoznał?

Przypomniałam sobie mężczyznę w stroju kata, który zastąpił mi drogę i rozmawiał ze mną w dziwny sposób, ale szybko pokręciłam głową. Przecież nie mógł wiedzieć, kim jestem. Po prostu bawił się moim kosztem i odgrywał swoją rolę.

– Nikt. Zupełnie nikt.

– I wróciła pani po północy, tak? Czy w drodze nic pani nie zaskoczyło? Może mijała pani kogoś w korytarzu?

– Oczywiście. Wszyscy w tym samym czasie wychodzili z balu. Zastanowiło mnie tylko jedno. Pokoik na końcu korytarza był pusty, a zawsze siedział tam steward. Potem Henry mi powiedział, że jakiś inny steward pojawił się z kwiatami i zaproponował mu, by dołączył do przyjęcia dla załogi – odparłam i rozejrzałam się wkoło. – Chodzi chyba o ten ogromny bukiet chryzantem, który stoi na komodzie.

– Słyszałeś, Jonesy? – zwrócił się inspektor do jednego z policjantów. – Sprawdź ten wazon na komodzie. Może znajdziesz na nim odciski palców. Zerknij, proszę!

– Nic nie ma, proszę pana – odparł młody policjant. – Ktoś najwyraźniej starannie wytarł wazon.

– No proszę. Profesjonalny przestępca – mruknął inspektor. – Wróćmy do wczorajszej nocy. Weszła pani do kajuty i...?

– I zobaczyłam, że ktoś śpi w moim łóżku. Pomyślałam, że pewnie panna Sheehan wróciła na ostatnią noc do swojej kajuty, i zdenerwowałam się, że mnie nie uprzedziła. Podeszłam, żeby ją delikatnie obudzić, i wtedy się zorientowałam, że to Rose.

– Dlaczego pomyślała pani, że to panna Sheehan?

– Obie mają rude włosy. Narzuta na łóżku leżała tak jak teraz, nie było żadnych śladów walki.

– I co pani wtedy zrobiła?

– Poszłam po pomoc, naturalnie. Zawołałam Henry'ego, a on pobiegł po pierwszego oficera i lekarza. To wszystko.

Przechylił głowę i patrzył na mnie z ukosa.

– Kto wiedział, że wybiera się pani na bal?

– Tylko Frederick i Henry. No i Rose, oczywiście.

– I pracownicy wypożyczalni kostiumów.

– No tak. Oni też.

– Czyli nietrudno było się zorientować, że jest pani poza kajutą.

– Nie, raczej nie. Ale po co wchodzić do kajuty, w której nikogo nie ma? Jaki trzeba mieć motyw?

– Rabunkowy, rzecz jasna. Rozumiem, że panna Sheehan jest zamożną kobietą. Prawdopodobnie ma sporą kolekcję biżuterii.

– Nawet jeśli tak jest, zapewniam pana, że nic na statku nie zostawiła – odparłam. – Chyba że gdzieś dobrze ukryła precjoza. Najprawdopodobniej jednak zabrała biżuterię ze sobą albo schowała ją w sejfie, albo być może przekazała pod opiekę Rose.

– Za chwilę dokładnie obejrzymy kajutę pokojówki – powiedział inspektor. – I moi ludzie sprawdzą też, czy panna Sheehan nie zostawiła czegoś w sejfie. W każdym razie Rose musiała wiedzieć, gdzie są precjoza. Rabuś wchodzi, stara się wyciągnąć z niej informacje, straszy ją poduszką, a potem sytuacja wymyka mu się spod kontroli i niechcący zabija dziewczynę. Wtedy szybko opuszcza miejsce zbrodni i ucieka.

– Naprawdę myśli pan, że to było takie proste? – zapytałam.

– Na ogół tak to właśnie wygląda. Większość zbrodni, z którymi miałem do czynienia, to nieudane próby kradzieży – odparł, obgryzając końcówkę ołówka. – Ale pani z pewnością ma swoją teorię. Proszę się nią ze mną

podzielić.

– Uważam, że to Oona Sheehan miała zginąć. W chwili morderstwa Rose była ubrana w drugi kostium, który wypożyczyłam z myślą o balu.

– Tak, to bardzo dziwne. Czy kiedy wychodziła pani z kajuty, pokojówka miała go już na sobie? Czy myśli pani, że chciała się pokazać w towarzystwie?

Pokręciłam głową.

– Nie. Zaproponowałam nawet, żeby poszła na bal razem ze mną, ale to się jej nie mieściło w głowie. Moja propozycja ją przeraziła. Podejrzewam, że włożyła ten kostium ot, tak po prostu, kiedy nikt nie patrzył. Moim zdaniem morderca czyhał na pannę Sheehan, a przez pomyłkę zabił Rose.

– A dlaczego, pani zdaniem, ktoś mógł chcieć zabić pannę Sheehan?

– Zraniona duma? Panna Sheehan miała wielu adoratorów; niektórzy wręcz szaleli na jej punkcie. Może jednego z nich odtrąciła i mężczyzna poczuł się urażony? Rozumie pan, uznał, że skoro nie chce jego, nikt inny już się do niej nie zbliży.

– Rozumiem. – Znów patrząc na mnie, przechylił głowę. – Adoratorzy. Czy mówiąc o nich, wymieniła któregoś z imienia?

– Nie, ale skarżyła się, że męczą ją te ciągłe zaloty. Kiedy sama spotkałam kilku takich mężczyzn, zrozumiałam dlaczego.

Inspektor uniósł brew.

– Przecież miała pani nie ruszać się z kajuty na czas rejsu. Gdzie niby spotkała pani jakichś adoratorów?

– Nie powiedziałam nigdy, że w ogóle nie opuszczałam kajuty. Panna Sheehan zasugerowała, żebym udawała chorą i starała się wychodzić jak najmniej. Kiedy parę razy udałam się na przechadzkę, zrozumiałam, z czym na co dzień borykała się panna Sheehan. Mężczyźni podchodzili do mnie nieustannie.

– Zapamiętała pani jakieś nazwiska?

Westchnęłam, usilnie starając się odtworzyć w pamięci spacery na pokładzie.

– Jeden z nich dość zabawnie się nazywał. Artie Cośtam. Rottweiler?

Niemieckie nazwisko. Już wiem! Fortwrangler. Artie Fortwrangler. Ale wydawał się raczej nieszkodliwym młodzieńcem.

– Fortwrangler – powtórzył inspektor, zapisując nazwisko w kajecie. – Czy w jakikolwiek sposób pani groził?

– Nie. Zupełnie nie. Zapewniał tylko o swojej dozgonnej miłości. Zachowywał się jak zakochany uczniak.

– Ktoś jeszcze?

– Pewien przystojny mężczyzna, który mówił z amerykańskim akcentem, choć z pewnością miał irlandzkie korzenie. Typ ciemnego Irlandczyka, jeśli pan wie, co mam na myśli. Niech sobie przypomnę... Fitzwilliam może? Nie, Fitzpatrick. Zachowywał się trochę inaczej niż ten poprzedni. Bardzo uprzejmy człowiek. Powiedział, że zmartwił się na wieść o mojej niedyspozycji, i wyraził nadzieję, że spotkamy się wkrótce w Irlandii.

Inspektor Harris pokiwał głową.

– I co dalej?

– Później go już nie spotkałam.

– Ktoś jeszcze?

– Po tych spotkaniach postanowiłam spacerować wcześnie rano, kiedy kawalerowie jeszcze śpią. Wówczas na statku było pusto. Zauważyłam jedynie starszego mężczyznę, który śledził mnie z daleka. Tweedowa peleryna i wąsy. Trochę podobny do pana. Ale nigdy do mnie nie podszedł. W gruncie rzeczy to mógł być jedynie przypadek; obydwoje po prostu chodziliśmy na spacery w tym samym czasie.

– I to wszystko? Żaden z młodzieńców nie próbował się wedrzeć do kajuty?

– Wszyscy próbowali. Ale steward ich powstrzymywał. Był jakiś młodzieniec o imieniu Teddy i drugi, Bertie. Cały czas dostawałam od nich kwiaty. Teddy przysyłał wielkie bukiety z miłosnymi liścikami. Bertie codziennie obdarowywał mnie tuzinem czerwonych róż. Przynoszono też do kajuty kwiaty, czekoladki i szampana od jeszcze innych wielbicieli.

– Zachowała pani jakieś bileciki?

– Po przeczytaniu zawsze trochę pośmiałam się z tego, co tam wypisywali,

a potem wyrzucałam liściki. Może jeden czy dwa wciąż leżą gdzieś na wierzchu albo są w koszu na śmieci.

– Sprawdź kosz, Jonesy – poprosił inspektor. Wyciągnął nogi, rozparł się w fotelu i przyjrzał mi się uważnie. – Proszę opowiedzieć mi trochę o sobie, panno Murphy. Niecodziennie pasażerka drugiej klasy spotyka znaną aktorkę, która proponuje jej zamianę miejsc. Znała pani wcześniej pannę Sheehan, prawda? To nie był przypadek, że otrzymała pani taką propozycję?

– Spotkałyśmy się niedawno na pewnym przyjęciu. Prawdopodobnie ktoś jej przekazał, że będziemy podróżować tym samym statkiem.

– Dlaczego właściwie udała się pani w ten rejs, panno Murphy?

Przez chwilę zastanowiłam się, do jakiego stopnia mam być szczera, i uznałam, że lepiej będzie nie wchodzić w szczegóły.

– Zamierzam odwiedzić rodzinę i przyjaciół w Irlandii. Jest jeszcze jeden powód; przyjaciel z Nowego Jorku poprosił mnie, bym odnalazła tu jego siostrę.

– Rozumiem, że nie jest pani mężatką?

– Nie, nie jestem.

– W takim razie dosyć dobrze sobie pani radzi w Ameryce, skoro stać panią na podróż do domu.

– Owszem, dość dobrze sobie radzę – odparłam krótko.

– A panna Sheehan zaproponowała zamianę miejsc tak po prostu, spontanicznie?

– Owszem, ponoć jesteśmy do siebie na tyle podobne, że mogłybyśmy uchodzić za siostry.

– Naprawdę? – zapytał z powątpiewaniem.

Zdałam sobie sprawę, że po nieprzespanej nocy i z włosami w nieładzie w ogóle nie przypominam znanej aktorki.

– A ta dziewczyna, ta Rose... Czy ona została w to wszystko wtajemniczona? – zapytał, zanim zdążyłam dodać, że Oona odpowiednio mnie ubrała i umalowała, dzięki czemu podobieństwo było rzeczywiście duże.

– Tak, proszę pana.

– I jak zareagowała?

– Nie mam pojęcia. Odnosiła się do mnie z szacunkiem i była zawsze uprzejma. Zwierzyła się kiedyś, że panna Sheehan wydała jej konkretne polecenie. Rose miała mnie traktować jak swoją chlebodawczynię i tak właśnie postępowała podczas całego rejsu.

Inspektor Harris pochylił się w moją stronę.

– Sprawia pani wrażenie inteligentnej kobiety, panno Murphy. Czy prośba panny Sheehan kiedykolwiek wydała się pani dziwna?

– Owszem. Zastanawiałam się, dlaczego ktoś chciałby zamieniać luksusową kajutę na małą dziuplę? Ale potem zobaczyłam, jak bardzo prześladują pannę Sheehan natrętni adoratorzy, i spojrzałam na sprawę innym okiem.

– Ach, tak. – Nie spuszczał ze mnie wzroku. – Czyli prawie nie wychodziła pani z kajuty i zawsze jadała posiłki w samotności?

– Tak, proszę pana.

– To dlaczego panna Sheehan nie postąpiła tak samo? Też mogła nie wychodzić z kajuty i poprosić o przynoszenie posiłków. Dlaczego koniecznie chciała zamienić kajuty?

Zakryłam usta dłonią.

– Rozumiem, co ma pan na myśli. Musiała...

– Co musiała?

– Musiała przypuszczać, że ktoś czyha na jej życie. Dlatego poprosiła, żebym zajęła jej miejsce – dokończyłam szeptem.

– Nigdy wcześniej nie przyszło to pani do głowy?

– Dopiero jak znalazłam ciało Rose. Pomyślałam wtedy, że morderca prawdopodobnie chciał zabić Oonę Sheehan. No bo kto przy zdrowych zmysłach ryzykowałby tak bardzo, żeby zabić pokojówkę?!

– Mam takie same przemyślenia – podsumował inspektor Harris. – Niezbyt miła ta panna Sheehan. Zaproponowała pani podróż w luksusie i czek na skromną sumę w zamian za pani życie.

– Z pewnością nie tak to sobie... – zaczęłam.

– Przecież nie ma jej na pokładzie. Dlaczego zeszła na ląd w ostatniej chwili? Albo nigdy tak naprawdę nie zamierzała wyruszyć w podróż i potrzebowała jakiegoś alibi, albo zobaczyła wśród pasażerów kogoś, komu nie ufała, i w ostatnim momencie zdecydowała się zmienić plany.

Nie mogłam się z nim nie zgodzić. Panna Sheehan okazała się wstrętną osobą.

– Z pewnością będzie jej przykro, kiedy się dowie, że zamiast mnie zginęła jej pokojówka – zauważyłam.

11

Przerwaliśmy rozmowę, bo inspektor Harris usłyszał, że policjanci o czymś rozmawiają.

– Co tam macie, Shaw?

– Szkło i mokrą plamę pod łóżkiem.

Shaw podniósł kawałek szkła owinięty czystą chusteczką.

– Wygląda jak fragment karafki, w której zawsze trzymałam wodę przy łóżku – zauważyłam.

– Możliwe, że podczas szarpaniny dziewczyna strąciła karafkę, a ta się zbiła – powiedział inspektor Harris. – Ciekawe, czy znajdziemy pozostałe odłamki, panowie.

– Są tutaj, w koszu na śmieci – odparł policjant. – Jest tego całkiem sporo.

– Morderca, który lubi porządek. – Harris się zamyślił. – Ciekawe dlaczego...

– Chciał, żeby kajuta jak najdłużej wyglądała tak, jakby nic się w niej nie wydarzyło – zasugerowałam. – Gdyby zajrzał do niej steward, uznałby pewnie, że śpię, i aż do rana nikt o niczym by się nie dowiedział.

– Racja – zgodził się inspektor.

– A jeśli w kajucie jest zbite szkło, to całkiem możliwe, że morderca się nim zranił. Kiedy będziecie kontrolować pasażerów, warto zwrócić uwagę, czy ktoś ma bandaż na ręku.

Inspektor Harris znów przechylił głowę. Odniosłam wrażenie, że zupełnie nie panuje nad tym odruchem.

– To dzięki swojemu sprytowi przetrwała pani w Nowym Jorku, panno Murphy. Zaczynam się zastanawiać, czy przypadkiem nie mam do czynienia z intrygantką. Może namówiła pani Oonę Sheehan, by zrezygnowała z podróży.

– Chwileczkę – przerwałam. – Gdybym była tak przebiegła, jak pan sugeruje, jakim cudem dałabym się wplątać w całą tę sytuację? Przecież to ja mogłam zginąć!

Wzruszył ramionami.

– Mogę to wytłumaczyć na wiele sposobów. Morderca jest pani wspólnikiem. Pokłóciliście się o coś i on zabił Rose, myśląc, że to pani. Albo Rose dowiedziała się o wszystkim i postanowiliście ją uciszyć.

– Nic z tego – powiedziałam. – Wczorajszy wieczór spędziłam na balu. Mam na to wielu świadków. Potwierdzą, że ze mną tańczyli i widzieli, jak wracam do kajuty.

– Nikt tego nie potwierdzi – prychnął Harris. – Świadkowie widzieli tylko przypudrowaną perukę, maskę i resztę przebrania. Sam przecież zapytałem, czy ktoś panią rozpoznał, a pani odparła, że nikt. Według mnie nie ma pani żadnego alibi.

– To śmieszne – podniosłam głos, choć wcale nie byłam pewna, czy rzeczywiście o coś mnie podejrzewa, czy tylko rozważa na głos różne możliwości.

Inspektor Harris ostro zareagował na moją irytację.

– Czy jest coś, o czym chciałaby mi pani powiedzieć? Może o prawdziwym powodzie, dla którego zamieniła się pani na kajutę z panną Sheehan. Co tak naprawdę się wydarzyło, że podróżowała pani pierwszą klasą?!

– Już panu mówiłam. Wsiadłam na statek. Panna Sheehan wezwała mnie do siebie. Zaoferowała pieniądze za przysługę, a ja postanowiłam je przyjąć i przystać na jej propozycję. Uznałam, że to wspaniała okazja, by podreperować budżet. Nie będę też ukrywać, że perspektywa dostatniego życia przez tydzień wydała mi się kusząca.

– I twierdzi pani, że wcześniej tylko raz spotkałyście się na przyjęciu, ale jakimś cudem Oona Sheehan od razu uznała, że idealnie nadaje się pani do tej roli?

– Prawdopodobnie jesteśmy do siebie na tyle podobne, że jej zdaniem takie oszustwo uszłoby nam na sucho. Założyła mi na włosy perukę, umalowała,

a kiedy spojrzałam w lustro, rzeczywiście widać było pewne podobieństwo.

– Rozumiem – zaczął i dokończył przez zaciśnięte zęby: – A teraz proszę pozwolić Jonesowi zdjąć swoje odciski palców.

– Odciski palców? – Starałam się zachować spokój. Najwyraźniej o coś mnie podejrzewa! – Dobrze – dodałam szybko. – Proszę tylko pamiętać, że moje odciski palców są wszędzie.

– Oczywiście. – Pokiwał głową. – Zdaję sobie z tego sprawę.

Przybrałam obojętną pozę i cierpliwie czekałam, aż policjant wypełni swój obowiązek. Najpierw kazał mi przycisnąć palec do poduszeczki z tuszem, a następnie do kartki papieru.

– Inspektorze – odezwałam się po chwili – jeśli chce pan poznać prawdę, proszę wysłać telegram do panny Sheehan. Na pewno potwierdzi to, co mówię, a może nawet rozwieje inne pańskie wątpliwości.

– Już to zrobiłem, panno Murphy. Mam nadzieję, że odpowie jeszcze dziś. Oczywiście pod warunkiem, że wysłaliśmy telegram pod dobry adres.

– Dobry adres?

– To, że w ogóle była na tym statku, wiemy tylko od pani – powiedział niewinnie.

Czułam cały czas, że uważa mnie za główną podejrzaną.

– Oczywiście, że była na tym statku – odparłam zdenerwowanym tonem. – Ktoś zarezerwował kajutę na jej nazwisko i to na pewno nie byłam ja. Może i nieźle sobie radzę w Nowym Jorku, ale nie aż tak, by podróżować pierwszą klasą. Oona Sheehan powie panu całą prawdę, zobaczy pan.

– Mam nadzieję – odparł krótko.

Czas, bym ruszyła trochę głową – uznałam.

– Wie pan, tak sobie myślę... – zaczęłam ostrożnie. – Jeśli Rose siłowała się z napastnikiem... skoro zbili karafkę... to niewykluczone, że w trakcie szarpaniny zostawiła trochę włosów na ubraniu tego człowieka. Rudy włos łatwo zauważyć, prawda?

Zmrużył oczy.

– W jaki sposób dorobiła się pani w Ameryce?

Musiałam się uśmiechnąć.

– Szczerze mówiąc, prowadzę w Nowym Jorku agencję detektywistyczną. Ale nie jest to zbyt dochodowy interes.

– Do diaska! – mruknął i natychmiast przeprosił.

Dziwne, że przeklinanie w obecności kobiety mężczyźni uważają za ciężki grzech. Przecież ci sami mężczyźni ciągle kobietom rozkazują, traktują je jak służące, a czasem nawet jak niewolnice. Nie po raz pierwszy w życiu uznałam, że świat, w którym żyję, stoi na głowie.

– Gdyby ta sprawa trafiła do pani agencji, jak by ją pani potraktowała? – zapytał inspektor.

– Nie przyjmuję tego typu zleceń – powiedziałam szybko. – Zajmuję się drobnymi, rodzinnymi sprawami. Ale naprawdę uważam, że trzeba szukać rudych włosów na ubraniu.

– Proponuje pani zebrać wszystkich mężczyzn na statku i obejrzeć ich dokładnie?

– Nie czuję się upoważniona, by pouczać pana, jak prowadzić śledztwo – odparłam.

– Czy mogę zapytać o konkrety dotyczące pani pobytu w Irlandii? Domyślam się, że nie chodzi tylko o spotkanie z rodziną.

– Już wcześniej panu mówiłam. Znajomy poprosił, bym odnalazła jego siostrę. Stracili ze sobą kontakt, na którym bardzo mu zależy. To wszystko.

– A jak się nazywa ten pani znajomy?

Ołówek inspektora zawisł w powietrzu.

– Tommy Burke. Impresario.

– To ci dopiero! – oznajmił. – Obraca się pani w wyższych sferach.

Postanowiłam, że nie będę temu zaprzeczać. Może potraktuje mnie ulgowo, jeśli uzna, że mam koneksje.

Rozległo się pukanie i do kajuty szybkim krokiem wszedł pierwszy oficer.

– Przepraszam, że niepokoję, inspektorze, ale pasażerowie są wściekli

i dopytują się, kiedy pozwolimy im zejść na ląd. Powiedzieliśmy, że zatrzymujemy ich tutaj ze względów sanitarnych, ale musimy wreszcie podać jakiś termin. Co mam im powiedzieć?

Inspektor Harris wstał z fotela.

– Panno Murphy, obawiam się, że będziemy musieli kontynuować naszą rozmowę już na lądzie – stwierdził, po czym zwrócił się do oficera: – Czy pasażerowie zebrali się na swoich korytarzach, tak jak prosiłem? Dobrze. W takim razie będzie mi potrzebna lista z nazwiskami. Moi ludzie zerkną na nią szybko i sprawdzą, w których kajutach podróżowali mężczyźni.

– Mam przygotować listę kajut zajmowanych przez samotnych mężczyzn?

– Żonaci rzadko pakują się w tarapaty, ale ich też trzeba sprawdzić – powiedział Harris i odwrócił się w moją stronę. – Proszę zaprowadzić mnie do kajuty pokojówki. Może znajdzie tam pani coś, co należało do panny Sheehan, albo coś, czego w ogóle nie powinno tam być.

– Czego nie powinno tam być?

– Pokojówki mają zwyczaj przywłaszczać przedmioty należące do chlebodawców.

– Dam sobie rękę uciąć, że Rose była lojalną służącą – odparłam, spoglądając ukradkiem na łóżko. Ktoś znów przykrył ciało prześcieradłem.

Na palcach przeszłam do drzwi.

Zeszliśmy razem na dół. Każdy kolejny fragment schodów był skromniejszy od poprzedniego. Na samym dole wskazano nam drogę do pomieszczenia, które okazało się jeszcze mniejsze niż moja kajuta drugiej klasy. Przez sufit przechodziły grube rury. Panował tu zaduch i brakowało powietrza. W tej klitce spały w sumie cztery dziewczęta, dwie na górnych pryczach, a dwie na dolnych. Trzy lokatorki już na nas czekały. Ktoś musiał im przekazać smutną wiadomość lub też usłyszały jakieś plotki, bo te młodziutkie Irlandki, wszystkie podobne do Rose, stały przerażone i zdezorientowane.

Pokazały palcem pryczę, którą zajmowała ich nieżyjąca już koleżanka, i szufladę ze skromnym dobytkiem, ale były tak zdenerwowane, że na każde pytanie inspektora odpowiadały szeptem. Nie, Rose nie miała na statku

adoratora. Tej kajuty nie odwiedził żaden mężczyzna. Nie, Rose nigdy się nie wygadała, że kobieta, której usługuje, nie jest Ooną Sheehan. Raz powiedziała: „Jak oni wszyscy kiedyś się zdziwią!”, i mówiła trochę o adoratorach panny Sheehan. Ale kiedy inspektor zapytał o nazwiska tych mężczyzn, dziewczęta pokręciły głowami. Mało miały czasu na rozmowę, całe dnie spędzały w kajutach pierwszej klasy, gdzie usługiwały swoim paniom.

Inspektor Harris obejrzał pryczę Rose, potem otworzył jej szufladę. Kiedy zobaczyłam ten skromny dobytek, znów zrobiło mi się przykro – para pocerowanych pończoch, zszarzała bielizna, czysta wykrochmalona bluzka, chusteczka do nosa i modlitewnik z zakładką ze wstążki. W szafie wisiało jeszcze zapasowe ubranie. I oczywiście żadnego śladu biżuterii panny Sheehan. Potem, na samej górze, wśród piętrzących się walizek dojrzałam swoją torbę podróżną.

– Ta należy do mnie – powiedziałam, wskazując ją palcem. – Zastanawiałam się, co się z nią mogło stać. Nie było jej w mojej kajucie.

Inspektor ściągnął torbę na dół.

– Pamięta pani, jak mówiłem o przywłaszczaniu rzeczy? – oznajmił z satysfakcją.

– Nie sądzę, by Rose mogła się zainteresować moimi rzeczami. Nie w sytuacji, kiedy panna Sheehan miała tyle kosztowności.

– W takim razie co tutaj robi ta torba?

Pokręciłam głową.

– Nie mam pojęcia. Prawdopodobnie panna Sheehan wydała Rose instrukcje. Kazała zabrać tę torbę z mojej kajuty i schować. Nie mam pojęcia dlaczego.

Inspektor zrobił miejsce na podłodze i położył tam moją torbę. Kiedy ją otworzyłam, okazało się, że w środku leżą nietknięte ubrania, a na samym wierzchu zaadresowana do mnie koperta. Otworzyłam ją, czując na sobie baczne spojrzenie Harrisa.

Droga Panno Murphy. Dziękuję! Świetnie się Pani spisała. Ze względu na niespodziewane okoliczności nie mogę teraz odebrać swojego bagażu. Proszę

zlecić Rose, by starannie spakowała moje rzeczy, i przechować je razem ze swoim bagażem. Wkrótce prześlę Pani kolejne instrukcje.

U dołu widniał podpis: *Oona Sheehan*.

Wręczyłam inspektorowi kopertę.

– Teraz przynajmniej ma pan potwierdzenie, że mówiłam prawdę. To wszystko zaplanowała Oona Sheehan. Nie wyrzuciłam jej za burtę ani nie pozbawiłam życia w inny sposób. I nie mam nic wspólnego ze śmiercią Rose.

Przeczytał liścik, kiwnął głową i wręczył mi go z powrotem.

– Powinnam teraz pójść spakować rzeczy panny Sheehan. Rose mi w tym nie pomoże. Puści mnie pan? Tam jest tyle ubrań! Jeśli natychmiast nie zacznę ich pakować, nie zdążę zejść ze statku.

– Statek nie wyjdzie z portu, dopóki nie dokończę swojej pracy – odparł ponuro Harris. – A w kajucie nie wolno niczego ruszać aż do przyjścia fotografa. Poza tym moi ludzie jeszcze tam pracują.

– A co z moimi rzeczami? – zapytałam. – Nie będę mogła ich zabrać?

– Dopiero jak pani pozwolę. I tak chyba daleko się pani nie wybiera. Będzie pani musiała stawiać się na przesłuchania.

– Nie wybieram się nigdzie daleko – oznajmiłam. – Poszukiwania zaginionej kobiety rozpocznę w okolicach Corku. Prawdopodobnie właśnie tam wynajmę pokój.

– Dobrze się składa – odparł Harris. – Przesłuchania pewnie będą się odbywać w sądzie koronerskim. Jak już znajdzie pani lokum, proszę nam podać adres.

Popatrzył na mnie z tym swoim uśmieszkiem, który na początku wydawał mi się przyjazny, a teraz zaczynał działać na nerwy.

– Na szczęście nie jest łatwo uciec z wyspy, w dodatku nieźle strzeżonej.

– Nie mam powodów uciekać – powiedziałam szybko. – Żadnych.

Inspektor rozejrzał się po raz ostatni i w końcu pokręcił głową.

– Nic tu więcej nie znajdziemy – stwierdził i podniósł moją torbę. – Idziemy na górę, a wy, dziewczęta, poczekajcie jeszcze na policjanta, który

spisze wasze zeznania.

– Musimy wracać do kajut w pierwszej klasie i pomóc naszym paniom przy pakowaniu. Dostaniemy niezłą burę, jeśli się nie pospieszymy – zauważyła jedna ze służących. – Przysięgam na swoją matkę, proszę pana, nie mamy nic wspólnego ze śmiercią Rose.

– Oczywiście, że nie macie z tą śmiercią nic wspólnego – powiedział Harris wyjątkowo ciepłym tonem. – Wracajcie do pracy. Tylko koniecznie zostawcie nam swoje nazwiska i adresy.

Popatrzyły na niego z wdzięcznością i wybiegły z kajuty. Wracając na pokład pierwszej klasy, natknęliśmy się na kolejnego policjanta w cywilu.

– Nie wiem, inspektorze, jak niby mamy sprawdzić wszystkie kajuty. Znaczna część pasażerów tutaj kończy podróż. Bagaże mają spakowane i przyszykowane do transportu na ląd.

Inspektor westchnął.

– Nie mamy wyjścia. Do roboty. Zacznijmy wreszcie z tymi badaniami. Panno Murphy, będę pani potrzebował. I tych dwóch stewardów też. Jak oni się nazywali?

– Henry i Frederick – powiedziałam.

– Henry i Frederick. Zapisałeś, Connelly? Gdzie, do cholery, jest pierwszy oficer? Przecież musimy się jakoś zorganizować.

Niechętnie poszłam za Harrisem. Brak snu i zmęczenie, a także szok po wczorajszych wydarzeniach i świadomość, że będę musiała stanąć twarzą w twarz z mordercą, sprawiły, że zrobiło mi się słabo. Dotknęłam ramienia inspektora.

– Czy naprawdę muszę tam być? Nie czuję się za dobrze.

– Niech się pani nie denerwuje – uspokoił mnie inspektor, najwyraźniej dostrzegając moje zdenerwowanie. – I pani, i steward staniecie gdzieś z boku. Może nawet za zasłoną. Chciałbym, żebyście mogli obserwować ludzi, ale sami nie byli widziani. Jeśli zauważy pani kogoś, kto panią niepokoił podczas podróży, proszę dać mi znać. Sprawdzimy dokładnie jego bagaż.

Zaprowadzono nas do dużego holu. Ja, Henry i Frederick schowaliśmy się

za wielką palmą, która rosła w donicy. Inspektor Harris razem z doktorem usiedli za stołem.

– W porządku. Przyprowadźcie pierwszą grupę – zarządził inspektor.

Wpuszczono kilkunastu pasażerów.

– Jak długo to wszystko potrwa? – zapytał dystyngowany mężczyzna w długim płaszczu. – Mam po południu przewodniczyć ważnemu spotkaniu.

– Zaraz opuści pan statek, tylko doktor szybko pana zbada. Nie chcemy, by choroba się rozprzestrzeniała – odparł spokojnie pierwszy oficer.

– Choroba? Proszę na mnie spojrzeć. Jestem zdrów jak ryba. To jakieś nieporozumienie. No trudno, proszę się pospieszyć.

Lekarz obejrzał mu gardło, dłonie, oczy, a potem pozwolił przejść dalej.

– Chodź, Martho – powiedział mężczyzna do drobnej kobiety, która dreptała tuż za nim.

Do lekarza podchodzili kolejni pasażerowie. Kobiety z dziećmi i starsze pary odsyłano gestem ręki. Henry i Frederick wskazywali na pojedynczych mężczyzn, którzy prosili o spotkanie z panną Sheehan. Tak jak przewidział inspektor, niektórzy z nich rzeczywiście byli żonaci i w podróży towarzyszyły im małżonki. Nie były zadowolone z zaistniałej sytuacji.

Wkrótce pojawił się pan Fitzpatrick. Podał swój adres zamieszkania – Yonkers niedaleko Nowego Jorku. Wyznał, że do Irlandii podróżuje służbowo. Nie poszedł na bal wczoraj wieczorem, bo nie lubi tego typu rozrywek. Spędził czas w towarzystwie znajomych, w barze. Rozmawiali o wyścigach i szansach na wygraną.

Wyjrzałam zza palmy, kiedy usłyszałam, że rozmawiają o pannie Sheehan.

– Ma pan na myśli tę aktorkę? – zapytał inspektora Fitzpatrick. – Chyba widziałem ją raz na pokładzie. To ona zapadła na chorobę, o której ciągle teraz słyszymy? Mogę tylko panów zapewnić, że czuję się świetnie i nie widzę powodów, dla których ktoś miałby mnie tu zatrzymywać. Dziś po południu chciałbym zobaczyć wyścigi.

Policjant zapisał adres i po chwili Fitzpatrick odszedł od stołu. W myślach wróciłam do naszej rozmowy. Dlaczego o niej nie wspomniał? Powiedział, że

widział mnie tylko raz... Pewnie na statku rozeszła się jakaś plotka. Tak zawsze się dzieje w zamkniętych grupach. Być może usłyszał od kogoś o śmierci Rose i bał się, że zostanie dłużej na pokładzie.

Minęło parę minut i na scenie pojawił się Artie Fortwrangler. Z uśmiechem na twarzy podał dwa adresy – w Nowym Jorku i w Newport na Rhode Island. Podkreślił, że jest synem Artura Fortwranglera III i że jak tylko ukończy studia w Yale, przejmie interesy ojca. Przyznał, że był na balu w przebraniu Mefistofelesa. Bez wahania odpowiedział na wszystkie pytania dotyczące zdrowia. Dodał, że czuje się bardzo dobrze i że nie miał styczności z żadnym chorym oprócz panny Sheehan, której dokuczał ból gardła. Przyznał się do fascynacji aktorką, a nawet do tego, że chodził na wszystkie przedstawienia *Wieczoru Trzech Króli*, w których Oona grała Wiolę, mimo że niespecjalnie lubi sztuki Szekspira. Wyznał również, że wybrał ten statek ze względu na Oonę Sheehan. Wiedział, że będą nim razem płynąć do Irlandii. Miał nadzieję, że uda mu się nawiązać z nią bliższy kontakt podczas rejsu.

– Mówi się przecież, że romanse rozkwitają na pełnym morzu – dodał rozbrajająco.

Zdziwił się, kiedy inspektor poprosił, by został na statku i poczekał w sali obok, ale posłusznie udał się we wskazanym kierunku. Usłyszałam, jak Harris prosi tragarza, by ten przyniósł kostium Mefista oraz bagaże Fortwranglera. Patrzyłam na poczciwego Artiego i nie mogłam uwierzyć, że mógłby skrzywdzić choćby muchę. Pewnie nie znosił widoku krwi.

Do kontroli podeszła kolejna grupa osób. Teddy okazał się czcigodnym Edwardem Mulhane'em, a Bertie – Albertem Everingham-Smythe'em. Obaj byli młodzi i wyglądali łagodnie; obaj wyrazili ubolewanie, że Oona Sheehan nie chciała udzielić im audiencji. Następnie do stołu podszedł starszy mężczyzna, ubrany mniej starannie niż pozostali. Miał tweedową marynarkę i długie, imponujące wąsy. Zdałam sobie sprawę, że to jego widywałam na pokładzie wcześnie rano.

– To jest człowiek, który chyba mnie śledził – szepnęłam, a moje słowa przekazano inspektorowi.

Panowie zaczęli rozmawiać ściszonymi głosami, po czym inspektor pokiwał

głową, podał rękę mężczyźnie z wąsami, a tamten spokojnie odszedł w stronę wyjścia.

– Chwileczkę! – zawołałam, wychylając się zza palmy.

Zobaczyłam, że inspektor patrzy na mnie i wzdycha zdegustowany. Przecież sam mówił, że wśród podejrzanych mogą być też starsi mężczyźni, niekoniecznie samotni. Po chwili przeszył mnie dreszcz – może nie traktuje tych rozmów tak poważnie jak ja. Może nie chodziło mu wcale o przesłuchanie mężczyzn, ale o moją reakcję na ich widok. Może to mnie obserwuje, nie ich.

Kiedy zaczęły się kolejne przesłuchania, dostałam liścik: *Mężczyzna, którego Pani wskazała, to detektyw Scotland Yardu prowadzący dochodzenie w sprawie kradzieży biżuterii. Poprosiłem go o pomoc.*

Wspaniale! Czyli na statku był również złodziej biżuterii! Nic dziwnego, że inspektor Harris podejrzewał zabójcę Rose o kradzież kosztowności. Jedyna osoba, która mogła nam powiedzieć, czy panna Sheehan miała ze sobą jakieś precjoza, leżała teraz przykryta prześcieradłem. Poczułam dziwną ulgę. Jeśli ta zbrodnia była tylko częścią jakiegoś większego planu, mogę być spokojna. Wkrótce zejdę ze statku i zajmę się poszukiwaniem siostry Tommy’ego Burke’a.

12

Kiedy fala opuszczających statek pasażerów zmieniła się w strumyczek, inspektor Harris podniósł się zza stołu i podszedł do nas.

– Jest pani wolna, panno Murphy. Nie będziemy już dziś pani męczyć.

Przez chwilę chciałam zasugerować, że skoro jestem detektywem, mogę w czymś jeszcze pomóc, ale potem uświadomiłam sobie, że raczej jestem podejrzaną, która równie dobrze mogła być ofiarą. Panna Sheehan z premedytacją naraziła mnie na niebezpieczeństwo i teraz powinnam wreszcie skorzystać z okazji i trochę odpocząć.

– Czy w takim razie mogę zabrać swoje rzeczy z kajuty panny Sheehan? To dosłownie parę drobiazgów, ale takich, które każda kobieta musi mieć pod ręką.

Ponuro kiwnął głową.

– Dobrze. Policjant będzie pani towarzyszył. Proszę podać adres, pod który wyślemy bagaże, i pamiętać, że na czas śledztwa nie wolno pani opuszczać miasta.

– To znaczy? Przecież nie mogę w nieskończoność siedzieć w Irlandii.

– Wszystko powinno się wyjaśnić w ciągu tygodnia. Jestem pewny. Będę się z panią kontaktował w sprawie szczegółów. Komenda policji w Corku jest od dziś moim domem. Nie ruszę się z miasta, dopóki nie rozwiążemy zagadki. Wie pani, gdzie mnie szukać.

– Dziękuję – powiedziałam i sięgnęłam po torbę, którą udało mi się zabrać z kajuty Rose.

Zeszłam na ląd w pasiastym kostiumie Oony Sheehan. Po tym, co przez nią przeszłam, eleganckie ubranie było marnym zadośćuczynieniem. Niebywałe, jak strój zmienia człowieka. Natychmiast zaczęli mnie nagabywać właściciele powozów, oferując kurs na dworzec kolejowy.

– Gdzie reszta pani bagaży, szanowna pani? – zapytał jeden z nich, próbując przejąć moją torbę.

Szanowna pani? To duży postęp – pomyślałam. Uśmiechnęłam się z wdzięcznością, odparłam, że zostaną dostarczone do hotelu, i pozwoliłam się zaprowadzić do malutkiego powozu. Woźnica pomógł mi wsiąść, a potem dołączyliśmy do reszty pojazdów, które próbowały wyjechać z portu. Kiedy wreszcie wygodnie usiadłam, rozejrzałam się po okolicy. Ogarnęły mnie wspomnienia – zapach wodorostów i ryb w powietrzu, suszące się na płotach sieci, mewy krążące nad głowami i rzępolenie dobiegające z otwartych okien. Nie przypuszczałam, że to wszystko wzbudzi we mnie tak silne emocje. Odkąd dwa lata temu opuściłam Irlandię, często wracałam do niej myślami. Szczerze powiedziawszy, byłam zadowolona, że już tu nie mieszkam. Nie podejrzewałam, że kiedykolwiek będę płakać ze wzruszenia na ojczystej ziemi, ale teraz łzy zaczęły napływać mi do oczu.

– Słucham? – zwróciłam się do woźnicy, zdając sobie sprawę, że coś do mnie mówi.

– Mówiłem, że wybrała pani piękny dzień na powitanie Irlandii. W Ameryce nie ma takiego nieba, prawda?

Popatrzyłam do góry na puszyste obłoki na błękitnym tle i pokiwałam głową.

– Domyślam się, że wybiera się pani wkrótce pociągiem do Dublina – zasugerował.

– Nie, przez parę dni zostanę w Corku – odparłam. – Mam tu sprawę do załatwienia.

– To może mógłbym zostać pani stangretem na ten czas? – zaproponował. – Moja staruszka Dolly jest wciąż żwawa i chętna, a zapłaci pani mniej więcej tyle samo co za śmierdzący pociąg.

Po raz pierwszy od dawna szczerze się roześmiałam.

– Uważa pan, że nie poznam się na tych waszych irlandzkich gadkach tylko dlatego, że trochę czasu spędziłam w Ameryce? – zapytałam, a woźnica zaśmiał się razem ze mną.

Był piękny jesienny dzień, a mnie nigdzie się nie spieszyło. Przecież spokojnie mogę przejechać kolejne osiem kilometrów na świeżym powietrzu – pomyślałam.

– Dobrze – odparłam. – Tylko z góry ustalmy cenę.

Niestety, wkrótce miało się okazać, że byłam poza ojczyzną bardzo długo. Zapomniałam o kilku podstawowych rzeczach, na przykład o tym, że pogoda potrafi się tutaj zmienić dramatycznie zaledwie w ciągu jednej godziny. Okazało się również, że Dolly nie jest wcale chętna ani żwawa i że strasznie się wlecze pod górkę prowadzącą z Queenstown do Corku. Podziwiałam z góry port i wielki statek otoczony łódkami oraz mniejszymi statkami, ale po chwili uświadomiłam sobie, że gdzieś tam w dole leży w luksusowej kajucie dziewczyna, którą ktoś zamordował, i że zabójca jest wciąż na wolności. Gdybym nie zdecydowała się iść na bal... Gdybym odesłała Rose i została w kajucie sama, pewnie teraz nie jechałabym w stronę Corku. Muszę uciec stąd jak najdalej i odpocząć – pomyślałam, choć w innej sytuacji chętnie pomogłabym szukać mordercy. Kiedy Dolly jeszcze bardziej zwolniła ze zmęczenia, zaniepokojona wychyliłam się z powozu.

– Mówił pan, że Dolly jest żwawa – zauważyłam. – Chciałabym dojechać do Corku, zanim zmieni się pogoda.

Zerknęłam na niebo. Nad naszymi głowami wisiały drobne obłoczki, ale od zachodu nadciągały w szybkim tempie ciemne chmury. Wzmagał się chłodny wiatr. Kiedy poczułam na twarzy pierwsze krople deszczu, byliśmy dopiero w połowie drogi.

– Ma pan zadaszenie w tej dwukółce? – zapytałam.

Woźnica skrzywił się i pokręcił głową.

– Odrobina deszczu jeszcze nigdy nikomu nie zaszkodziła – zauważył. – Pewnie jak każda dama ma pani przy sobie parasolkę.

– Moje bagaże zostały na statku – przypomniałam mu. – Parasolka też.

Wyciągnął starą derkę, którą pewnie przykrywał konia. Próbowałam się nią szczelnie okryć, ale w końcu dałam za wygraną i poprosiłam, byśmy zatrzymali się w najbliższej gospodzie i przeczekali ulewę. Deszcz jednak nie

ustał i do Corku dotarliśmy całkowicie przemoczeni.

– W którym hotelu pani zamieszka? – zapytał.

O dziwo, zapomniał o przymiotniku „szanowna”, więc postanowiłam utrzeć mu nosa i nie mówić, że najchętniej zatrzymam się w czystym i niedrogim przybytku. Przecież nie płacę za swój pobyt z własnej kieszeni – pomyślałam.

– Nie byłam nigdy w Corku – odparłam – ale jestem pewna, że są tu przyzwoite hotele.

– A co ja tam wiem! Nie odróżniam ich od siebie – stwierdził. – W życiu ani jednej nocy nie spędziłem w hotelu, ale zawiozę panią na ulicę Świętego Patryka. Podobno Victoria jest najlepszym hotelem w mieście. Zatrzymują się tam osoby z towarzystwa.

Kiedy zbliżaliśmy się do ulicy Świętego Patryka, szerokiego bulwaru z reprezentacyjnymi budynkami po obydwu stronach, nadciągnęły kolejne chmury. Weszłam do hotelu przemoknięta do suchej nitki, zupełnie nie przypominałam damy z towarzystwa.

– Kto mógł przypuszczać, że pogoda zmieni się tak gwałtownie – skomentował mój wygląd recepcjonista.

Pokazałam mu list kredytowy i po chwili zaprowadzono mnie do przestronnego pokoju. Jego wystrój nie zrobił już na mnie wrażenia, bo przecież cały tydzień podróżowałam w kajucie pierwszej klasy i przyzwyczaiłam się do luksusów. Mimo to, czekając, aż pokojowa napełni wannę w ogromnej łazience z białą glazurą na ścianach, z przyjemnością obejrzałam sufit ze stiukami, ciężkie welurowe zasłony i zdobną tapetę. Szkoda, że nie mogę tu przyjąć rodziny – pomyślałam, zdając sobie w tej samej chwili sprawę ze swojej próżności. Tak naprawdę nawet nie powinnam się z nimi kontaktować. Nikt z hrabstwa Mayo nie może się dowiedzieć, że przebywam w Irlandii, bo przecież wciąż jestem tu poszukiwana listem gończym. Do tej pory szczęście mi dopisywało, ale ostatnio naprawdę kuszę los... Przyjechałam tutaj w konkretnym celu. Załatwię sprawę i wracam do domu, do Ameryki – postanowiłam.

Przypomniałam sobie o Danielu. Od dwóch dni w ogóle o nim nie myślałam. To chyba zły znak... Kochankowie przecież o sobie pamiętają,

a kiedy nie są razem, wyczekują z utęsknieniem momentu, kiedy padną sobie w ramiona. Moja relacja z Danielem została wystawiona na próbę tyle razy, że nauczyłam się o nim zapominać i chyba w ogóle przestałam brać pod uwagę naszą wspólną przyszłość. Po prostu nie potrafiłam jej sobie wyobrazić.

Usiadłam przy biurku i skreśliłam parę słów do kapitana Sullivana. Poinformowałam go, że bezpiecznie dotarłam na ląd i że zostanę w Corku przez parę najbliższych dni. Nie wspomniałam o śmierci Rose ani o żadnych wydarzeniach na statku. Nie ma potrzeby stresować go swoimi sprawami w momencie, kiedy sam ma tyle kłopotów na głowie – pomyślałam. Zawahałam się przez chwilę, czy podpisać list *Twoja Molly*, i zdecydowałam, że wystarczy samo imię. Podobną wiadomość napisałam również do Sid i Gus, a następnie do inspektora Harrisa, informując go, gdzie się zatrzymałam.

Wreszcie deszcz przestał padać, więc postanowiłam się wybrać na poszukiwanie posterunku policji. Cork okazało się dość eleganckim miastem z pięknymi kamienicami, choć w porównaniu z Nowym Jorkiem było prowincjonalne i senne. Na ulicach nie dostrzegłam ani jednego samochodu, nie mówiąc już o tramwajach konnych. Czasem przemknął tylko jakiś powóz. Na chodnikach nie było tłoku, do którego przyzwyczaiłam się w Ameryce. Wokół panowała głucha cisza, przerywana tylko krzykami mew i dudnieniem końskich kopyt na bruku. Czułam się tak, jakbym nagle znalazła się w wyludnionym mieście.

Dotarłam do szerokiej rzeki. Stanęłam na moście, rozkoszując się chłodną bryzą na twarzy i włosach. Poczułam, jak ogarnia mnie dobry humor – jestem w domu, mam przy sobie pieniądze i konkretne zadanie do wykonania. Jestem wolna i niezależna – czego chcieć więcej?

Szkoda, że życie nie jest takie proste. W jaki sposób policja rozwiąże sprawę Rose? Czy mają już jakichś podejrzanych? I – co najważniejsze – czy panna Sheehan zatelegrafowała z Nowego Jorku w sprawie swojego dziwnego zachowania? Ciekawe, czy czuje się w jakikolwiek sposób odpowiedzialna za to, co przytrafiło się Rose? Być może miała taki sam stosunek do pokojówek jak i do innych kobiet, na przykład tych, które zajmują się pracą detektywistyczną. Czy rzeczywiście zamieniła się ze mną miejscami, bo czuła,

że jej życie jest zagrożone? Dlaczego w takim razie nie poszła przed podróżą na policję? Im więcej myślałam, tym mniej wiedziałam, o co tu chodzi.

Zeszłam z mostu i poszłam dalej. Znalazłam posterunek policji i zostawiłam tam wiadomość dla inspektora Harrisa. Młody policjant na dyżurze obejrzał mnie od stóp do głów i zapytał, kiedy przyjechałam do miasta i gdzie mieszkam. Mina mu zrzedła, gdy usłyszał, że zatrzymałam się w hotelu Victoria.

Następnie wróciłam do hotelu, w samą porę na podwieczorek, który zjadłam w otoczeniu egzotycznych roślin w donicach, przy dźwiękach orkiestry składającej się z samych starszych panów. Było to wszystko bardzo eleganckie. W środku posiłku, kiedy akurat zajadałam się czekoladowym eklerem, powiadomiono mnie, że dotarł ze statku mój bagaż i czeka na mnie w pokoju. Od razu pobiegłam na górę i już w progu zamarłam zdumiona. Moja torba podróżna stała na stoliku kawowym, a całą podłogę zajmowało pięć wielkich kufrów. Panna Sheehan najwyraźniej nie wyznawała zasady, że mały bagaż ułatwia podróżowanie.

I co mam teraz począć? Należy mieć nadzieję, że słynna aktorka zechce wkrótce odebrać swoje rzeczy. W przeciwnym wypadku nie będę nawet w stanie swobodnie poruszać się po pokoju. Spróbowałam przesunąć jeden z kufrów pod ścianę, ale okazał się zbyt ciężki. Dwa były zamknięte na kłódkę, a żadnych kluczy przecież nie miałam. Trzeci okazał się otwarty. Szybko zajrzałam do środka, ale były tam same ubrania. Wyszywane peleryny i suknie z weluru ważyły chyba tonę. Patrzyłam na nie zdziwiona. Skoro w ogóle nie zamierzała wybierać się w podróż, dlaczego spakowała tyle ubrań? To potwierdza raczej teorię, że zobaczyła kogoś na statku i w ostatniej chwili zdecydowała się zmienić plany.

Postanowiłam ponownie zajrzeć na posterunek policji i zapytać o postępy w śledztwie. Schodząc na dół, wpadłam na inspektora Harrisa, który najwyraźniej szedł do mnie z wizytą.

– Inspektorze, co za zbieg okoliczności! Właśnie wybieram się do pana. Jakieś nowe wieści?

Pokręcił głową.

– Nic, co by mogło panią zainteresować.

– Czyżby przesłuchanie na statku nie wyłoniło podejrzanych? Nie znaleźliście rudych włosów na niczyjej marynarce ani stroju stewarda na dnie jakiejś walizki?

Uśmiechnął się i pokręcił głową.

– Niestety. Pamięta pani, jak nasz morderca starannie po sobie sprzątnął w kajucie? Nie zostawił żadnych odcisków palców. Jest ostrożny i najwyraźniej bardzo skrupulatny. Będzie trudno go złapać. Ale nie zamierzam się poddawać. – Inspektor rozejrzał się dookoła. – Rozumiem, że to pan Burke funduje pani pobyt w tym eleganckim miejscu.

– Owszem. Dostałam pewien budżet na czas podróży – przytaknęłam. – Lecz to nie powinno pana interesować.

Nie zamierzałam wcale być niegrzeczna, ale czułam się zmęczona i poirytowana.

– Wręcz przeciwnie. To mnie bardzo interesuje – powiedział inspektor. – Jest pani młodą kobietą, która raczej nie urodziła się w złotym czepku i nie ma bogatego sponsora. Mimo to może sobie pozwolić na pokój w najdroższym hotelu w mieście. Mam kilka teorii. – Swoim zwyczajem odchylił na bok głowę. – Na przykład jest pani w zmowie ze złodziejem biżuterii albo z mordercą Rose. Może po cichu pozbyła się pani Oony Sheehan. Czy mam ciągnąć dalej?

– Proszę bardzo. Już mówiłam, kim jestem i dlaczego przypłynęłam do Irlandii. Opowiedziałam panu dokładnie, dlaczego zamieniłam się miejscami z panną Sheehan. Jeśli mi pan nie wierzy, proszę poczekać na jej zeznania. Potwierdzi, że wszystko sama zainicjowała.

Cień uśmiechu pojawił się na jego twarzy.

– Właśnie przyszła od niej wiadomość – oznajmił.

– I?

Poczułam, jak serce zaczyna mi szybciej bić. Może przyszedł mnie aresztować...

– Oona Sheehan potwierdza pani wersję wydarzeń. Przeprasza, że

w ostatniej chwili zeszła na ląd, i zapewnia, że wiadomość o tym, co przytrafiło się Rose, bardzo ją zmartwiła. Chciała przyjechać na pogrzeb, ale niestety wkrótce zaczyna próby do nowej sztuki. Dziwny zbieg okoliczności, nie sądzi pani?

– Czy wspomniała, że ktoś jej groził albo że ktoś mógł chcieć zamordować Rose?

– Nie. Będziemy musieli poprosić o wsparcie nowojorską policję.

Wspaniale – pomyślałam. Nowojorską policję! Gdyby nie wydarzenia ostatnich paru miesięcy, sprawą pewnie zająłby się Daniel Sullivan. Już prawie otwierałam usta, żeby oznajmić, iż osobiście znam kapitana Sullivana, ale przypomniałam sobie, że Daniel nie jest już kapitanem, tylko zwykłym panem Sullivanem, w dodatku podejrzanym o popełnienie przestępstwa. W moim życiu dzieje się tyle dziwnych rzeczy...

– A co z jej bagażem? – zapytałam. – Te wszystkie kufry prawie się nie mieszczą w pokoju. Planuję wkrótce wyjechać z miasta. Przecież nie wezmę ich ze sobą.

Sięgnął ręką do kieszeni i wyjął kartkę papieru.

– To przyszło do pani.

Telegram. Z moim nazwiskiem, zaadresowany na posterunek policji w Cork:

> WYSŁAĆ KUFRY. HOTEL SHELBOURNE, DUBLIN. POD WŁASNYM NAZWISKIEM. KTOŚ JE ODBIERZE. DZIĘKUJĘ. ZAPŁATA DODATKOWA. OS.

Ze zdziwieniem spojrzałam na inspektora.

– Nie przeprasza mnie wcale za to, przez co musiałam przejść. Nie pisze nic na temat śmierci Rose – zauważyłam.

– W telegramie płaci się za każde słowo – zauważył trzeźwo inspektor.

– Mam wysłać kufry do Dublina – powiedziałam.

– Widziałem. Czy planowała pani tam się wybrać?

– Owszem, ale najpierw zobaczę, jak pójdą poszukiwania w okolicach Corku. Zamierzam zacząć już jutro. Może się zdarzyć, że nie wrócę na noc do

hotelu. Wszystko zależy od transportu. Ale to chyba nie będzie panu przeszkadzało?

– Nie zaczniemy śledztwa wcześniej niż pod koniec tygodnia. Chwilę potrwa, zanim przeprowadzimy sekcję zwłok i zarezerwujemy salę w sądzie. Proszę nam tylko dokładnie powiedzieć, dokąd się pani wybiera.

– Sama chciałabym wiedzieć. Szukam osoby, która ostatnio mieszkała w Clonakilty, ale to było podczas wielkiego głodu.

– To ponad pięćdziesiąt kilometrów stąd – zauważył. – Marna wioszczyna. Najlepiej dotrzeć tam koleją z przesiadką w Bandon.

– To wspaniale, że mogę pojechać pociągiem. Prawdę mówiąc, myślałam, że będę musiała jakiś odcinek podróży przebyć na piechotę.

– Nie jesteśmy aż tak zacofani – powiedział z uśmiechem. – Czy wie pani, że ryby złowione przez irlandzkich rybaków trafiają na londyński targ rybny w Billingsgate już następnego dnia rano? Po to właśnie wybudowano trakcję kolejową. Z powodu ryb. Jutro z pewnością pani to poczuje.

– Na szczęście przyzwyczaiłam się do podobnych zapachów w Nowym Jorku. Wrócę za parę dni. I wtedy będę już znać swoje plany.

– Życzę powodzenia – odparł Harris. – Ma pani przed sobą trudne zadanie.

Miał rację. Pożegnałam się z inspektorem i zeszłam do recepcji, żeby umówić transport kufrów do hotelu w Dublinie. Miałam nadzieję, że więcej już ich nie zobaczę i że Oona Sheehan wreszcie zniknie z mojego życia.

13

Do Clonakilty wyruszyłam z samego rana. Na ulicy usłyszałam nawoływanie młodego gazeciarza:

– Morderstwo na statku! Zabito pokojówkę znanej aktorki! Cała historia w dzisiejszym wydaniu!

Zerknęłam przerażona i szybko przeszłam obok.

Na stacji wsiadła ze mną do żółto-zielonego pociągu spora grupka pasażerów. Odniosłam wrażenie, że wszyscy dobrze się znają. A nuż wiadomość o dziecku oddanym pod opiekę księdza jest wciąż żywa w okolicy? – pomyślałam. Kiedy pociąg ruszył, podróżni zaczęli rozmawiać o sprawach, które już od dawna mnie nie zajmowały – o żniwach, kradzieżach trzody, wyprawach na ryby, chrzcinach i pogrzebach, nieszczęśliwych wypadkach podczas burzy i sztormu. Tak wygląda proste życie na wsi, niewiele się tu zmienia oprócz pór roku, a ja już prawie o tym zapomniałam.

Za oknami przemieszczał się znajomy krajobraz – pola, a na nich krowy i konie. Od czasu do czasu mignął za drzewami jakiś dom. Jechaliśmy przez tę część kraju, gdzie przyroda służy człowiekowi, a ziemia daje obfite plony. Tam, skąd pochodzę, jest inaczej – wszędzie góry i torfowiska. Trzeba mieć sporo szczęścia, by zebrać choć trochę kartofli i wykarmić nimi rodzinę i przyjaciół. Często nawet i kartofli było jak na lekarstwo, a podczas wielkiego głodu nie wyrosło zupełnie nic.

Wzdłuż torów biegła droga. Dawno temu może właśnie tędy w stronę portu w Queenstown zmierzali Burke’owie. Raczej nie jechali pociągiem, nawet jeśli trakcję wybudowano rzeczywiście w 1848 roku. Ludzie w tamtych czasach opuszczali swoje domostwa, nie mając praktycznie żadnych środków do życia. Zabierali ze sobą tylko to, co zdołali unieść. Wyobraziłam sobie tę samą drogę pełną maszerujących ludzi, czasem wiozących dobytek na

wózkach, czasem tak chorych lub głodnych, że dalsza droga okazywała się niemożliwa. Czyżby rodzice zostawili Mary Ann, uznawszy, że nie da się jej uratować? Może mimo wszystko wyzdrowiała i jacyś ludzie przyjęli ją pod swój dach. Tommy powiedział, że zajął się nią ksiądz, dlatego starałam się zapamiętać wszystkie kościoły, które pociąg mijał po drodze.

Tak mało mam informacji! Znam jedynie rok i miejsce urodzenia Mary Ann Burke, a i te dane nie są pełne. To historia sprzed ponad pięćdziesięciu lat. Teraz, kiedy tu wreszcie przyjechałam, dotarło do mnie, że szukać Mary Ann to szukać igły w stogu siana.

Moi współpasażerowie oddawali się niezobowiązującym pogawędkom. Wokół słychać było tylko dźwięczny dialekt z Corku. Traktowali mnie uprzejmie, z zaciekawieniem, ale też lekko podejrzliwie. Byłam przybyszem z zewnątrz, w dodatku elegancko ubranym. Czułam, że w mojej obecności nie zachowują się całkiem swobodnie. Ja sama już prawie zapomniałam, że kiedyś byłam jedną z nich. Ktoś w końcu zapytał, dokąd zmierzam, i kiedy wymieniłam nazwę osady za Clonakilty, jeden z pasażerów poinstruował mnie, gdzie najlepiej przesiąść się na inny pociąg.

Po chwili padło pytanie dotyczące motywów mojej podróży:

– Czy wybiera się pani nad morze ze względów zdrowotnych? W naszej okolicy nie ma dobrych pensjonatów. Lepiej jechać w modne miejsce, takie jak Bantry, gdzie jest dużo eleganckich hoteli.

– Szczerze powiedziawszy, szukam pewnej osoby – odparłam. – Dlatego przyjechałam tutaj aż z Ameryki.

Ta wypowiedź zainteresowała wszystkich dookoła. Zwrócili się w moją stronę i zaczęli dopytywać, czy przypadkiem nie znam członków ich rodzin, którzy również wyemigrowali za ocean. Kiedy wreszcie doszłam do głosu, wyjaśniłam, że szukam krewnej, którą rodzina porzuciła podczas wielkiego głodu.

– Miała na nazwisko Burke. Mary Ann Burke.

Przez chwilę wszyscy wymieniali swoich znajomych o tym nazwisku, ale w końcu okazało się, że większość moich towarzyszy podróży nie pochodzi wcale z Clonakilty. Kiedy dojechaliśmy do stacji przesiadkowej, pomogli mi

wysiąść, jakbym była małym dzieckiem, a jeden z mężczyzn, który akurat też wysiadał, odprowadził mnie na sąsiedni peron. W pociągu zapytałam, jak dostać się do osady Ardfield.

– To kawał drogi na piechotę. Będzie ciężko, jeśli nie jest panienka zaprawiona – usłyszałam.

Zdałam sobie sprawę, że jestem tu obca. Mój ubiór i maniery pasowały teraz do damy z wyższych sfer, a nie do zwyczajnej dziewczyny z prowincji. Szczerze powiedziawszy, sprawiało mi to nawet przyjemność.

Znów opisałam cel mojej podróży. Znów wszystkie oczy zwróciły się na mnie, ale nikt nie słyszał o porzuconym dziecku.

– Wielce prawdopodobne, że skończyła w przytułku. Tak to wówczas było. W owych czasach wiele dzieci tam umierało.

W końcu dojechaliśmy do stacji w Clonakilty. Współpasażerowie pokazali mi, w którą stronę mam się udać. Wkrótce trafiłam w sam środek targu. Zaczęłam przedzierać się między straganami; przy jednym przystanęłam i kupiłam czerwone jabłko od dziecka o zaróżowionych policzkach, a potem przyspieszyłam kroku. Na placu był kościół. Już chciałam do niego wejść, gdy postanowiłam, że jednak zrobię to w drodze powrotnej.

Opuściłam miasteczko. Dzień był chłodny, ale pogodny, więc idealny na spacer. Przypomniałam sobie, jak w dzieciństwie godzinami wędrowałam z rozwianym włosem, często boso. W kostiumie Oony Sheehan mogłam stawiać nieduże kroki, a buty lekko mnie uwierały. Uniosłam spódnicę i spróbowałam iść trochę szybciej. Spotkane po drodze osoby pytałam o rodzinę Burke’ów, ale nikt nie miał nic do powiedzenia. W końcu starszy mężczyzna siedzący przed drzwiami swojego domu przyznał, że jak przez mgłę przypomina sobie taką rodzinę, ale nie pamięta, by mieli córkę Mary Ann.

– Czy mieszka tu w pobliżu ktoś, kto mógłby jeszcze pamiętać czasy wielkiego głodu?

Chwilę myślał, po czym splunął.

– Paddy Riley – odparł. – Mieszka niedaleko, jeśli w ogóle jeszcze żyje. Ostatnio go nie widuję, ma niesprawną nogę i rzadko kiedy wychodzi z domu.

Prawie podskoczyłam. Paddy Riley! Tak nazywał się mój nauczyciel i mentor w Nowym Jorku. To on uczył mnie fachu detektywa. Szkoda, że zginął, gdy dopiero rozpoczynałam karierę. Być może lepiej znałabym dziś tajniki swojego zawodu i nie działała po omacku. Co za zbieg okoliczności, że teraz znów na swojej drodze mam spotkać Paddy'ego Rileya! W Irlandii wierzymy we wszelkiego rodzaju znaki, więc na sam dźwięk nazwiska przyjaciela przeszył mnie dreszcz. Zamiast przypomnieć sobie, że to po prostu często spotykane nazwisko i że pewnie w każdym irlandzkim mieście mieszka jakiś Paddy Riley, uznałam wiadomość za dobrą wróżbę.

Poszłam dalej. Okolica bardziej przypominała miejsca, w których dorastałam – przyroda była dzika, widać było morze. Tylko gdzieniegdzie mignęło mi jakieś gospodarstwo. Minęłam też ruiny najpierw jednego, potem drugiego domu, pierwszy miał kawałki dachu, drugi same gołe ściany. Ani śladu życia. Wreszcie dotarłam do chatki, przed którą na sznurku suszyły się pieluchy i słychać było głosy bawiących się dzieci. Do drzwi podeszła kobieta z dzieckiem na biodrze. Zauważyłam, że jest w kolejnej ciąży. Powiedziała, że nic nie wie o rodzinie Burke'ów i potwierdziła, że Paddy Riley jest jedyną osobą w okolicy, która może cokolwiek pamiętać.

Podążyłam dalej, w kierunku zatoki Clonakilty. Przy brzegu stało kilka chatynek, na falach kołysała się łódka, ale znów – ani śladu życia. Dostrzegłam jednak dym z komina i poczułam znajomy, przyjemny zapach palącego się torfu. Podeszłam do drzwi i zapukałam. Zaszczekał pies i z ogródka na tyłach domu wychylił się mężczyzna. Miał ogorzałą twarz, a zmarszczki ułożyły mu się tak, jakby cały czas się złościł. I chyba rzeczywiście tak było.

– Czego chcesz? – zapytał ostro. – Jeśli jesteś jakąś nawiedzoną kościelną jędzą, odwróć się i wracaj, skąd przyszłaś. Nie będę chodził na żadne msze ani czytał Biblii.

– Czy pan się nazywa Paddy Riley? – zapytałam.

– A bo co? – odparł. Nie był ani trochę podobny do Paddy'ego, którego znałam.

– Przyjechałam tu, bo muszę się czegoś dowiedzieć o rodzinie Burke'ów, która kiedyś mieszkała w tej okolicy.

– Już nikt o takim nazwisku tutaj nie mieszka – odparł szybko. – Nie ma nikogo. Albo poumierali, albo uciekli do Ameryki podczas wielkiego głodu.

– Pamięta ich pan?

– Tak – powiedział i popatrzył na mnie podejrzliwie. – Czy pani jest krewną?

– Przyjaciółką rodziny. Gdzie mieszkali?

Wskazał palcem kierunek.

– Na wzgórzu. Wszystko poszło z dymem. Pan na włościach nawet nie czekał, aż zabiorą swój dobytek, tylko kazał im się wynosić, a budynki szybko podpalił. Porozwalał ściany. Jeśli ktoś wrócił po rzeczy, zginął w płomieniach. Pamiętam jeszcze ten smród spalenizny.

– To straszne. – Kiwnęłam głową. – Przypuszczam, że u nas było podobnie. Ja pochodzę z hrabstwa Mayo.

– Straszne czasy. Człowiek człowiekowi wilkiem. Tu kiedyś mieszkało ze trzysta osób. Mieliśmy mały port. Teraz zostało nas tylko paru. Czekamy na śmierć.

– A co się stało z pana rodziną? Dlaczego nie uciekliście?

Prychnął.

– Nie powiedziałem, że nie uciekliśmy. Ja to natychmiast zrobiłem. Ojciec dawno nie żył, zginął na morzu. Dostałem pracę na statku, który pływał do Ameryki Południowej po wołowinę. Dobrze mi się powodziło. Wróciłem dopiero na stare lata, kiedy wszystkich zabrakło. Nikogo znajomego już nie ma.

– Ale musi pan pamiętać nazwisko Burke! Tommy Burke.

– Tommy? Tak nazywał się jeden z synów. Ta rodzina miała gromadkę dzieci. Jak każda w tej okolicy.

Skinęłam głową.

– Czwórka dzieci, o ile wiem. Najstarszy był chłopak, potem dziewczynka. Tommy miał cztery lata, kiedy musieli uciekać. Była jeszcze najmłodsza siostrzyczka, Mary Ann.

Pokręcił głowa.

– Nie pamiętam. Słyszałem, że popłynęli do Ameryki. Rodzice umarli, dzieci przetrwały. Tak to było w tamtych czasach.

– Ale najmłodsza dziewczynka została tutaj – powiedziałam. – Zachorowała, więc musieli ją zostawić. Tommy poprosił mnie, bym ją odnalazła.

Popatrzył na mnie zdziwiony.

– Przecież zostawiliby ją tylko wtedy, gdyby już nie było żadnych szans.

– Muszę się dowiedzieć, czy rzeczywiście umarła. Gdzie jest najbliższy cmentarz?

Pokazał głową na prawo.

– Za starą kaplicą i tymi sosnami na wzgórzu. Tam chowamy wszystkich zmarłych z okolicy. Ale szkoda fatygi. Podczas wielkiego głodu za dużo ich umarło, żeby wszystkich chować po bożemu. Po prostu kopało się głębokie doły i zapełniało je ciałami. Ksiądz odmówił modlitwę i na tym się kończyło. Żadnych nagrobków, żadnych pamiątkowych płyt.

– To gdzie znajdę jakieś informacje na temat tych ludzi?

Spojrzał na mnie spode łba.

– W tamtych czasach nikt nie miał głowy do tego, żeby rejestrować zgony, narodziny i śluby. Nas, katolików, traktowano jak bydło. Nic nie znaczyliśmy za życia, a po śmierci jeszcze mniej.

Spróbowałam podejść go z innej strony.

– Tommy Burke twierdzi, że dziecko zostało z jakimś księdzem po drodze do Queenstown. Gdzie jest najbliższy kościół?

– Najbliżej jest ten elegancki w Clonakilty. Musiała panienka obok niego przechodzić. Wygląda prawie tak jak te, które budują anglikanie.

– Czyli nie przychodzi panu do głowy żaden starszy ksiądz, który mógłby mieszkać w pobliżu i pamiętać tamte czasy?

Wzruszył ramionami.

– Ja się trzymam z daleka od kościołów. I tak pójdę do piekła. Te wszystkie

świętoszki już mi nie pomogą. Nic więcej nie powiem, proszę już iść. Nie mieszkają tu żadni Burke'owie.

Odwrócił się na pięcie, a ja pomaszerowałam w stronę sosen na wzgórzu. Chciałam mimo wszystko rzucić okiem na cmentarz. Znalazłam tam nawet groby jakichś Burke'ów, ale nie Mary Ann. Nie leżał tam nikt, kto umarł w czasie wielkiego głodu. Jeśli złożyli ciało w grobie rodzinnym, i tak się o tym nie dowiem – pomyślałam. Stałam tak pośrodku ruin jakiegoś opactwa, słuchając wiatru w drzewach, i poczułam nagle ogromny smutek. Przygnębiające miejsce. Powinnam jak najszybciej stąd uciekać.

14

Ze starej chałupy Burke'ów pozostało tylko wielkie rumowisko. Przez chwilę przyglądałam się mu w milczeniu, po czym ruszyłam w drogę powrotną do Clonakilty, żeby pogawędzić z proboszczem. Okazał się młodym, miłym i rozmownym człowiekiem, ale nie potrafił mi za wiele powiedzieć o swoich poprzednikach z okresu wielkiego głodu.

– Jestem chyba czwartym albo nawet piątym proboszczem od tamtego czasu – zauważył i dodał, że dokumenty parafii sięgają jedynie lat osiemdziesiątych minionego wieku. – Nigdzie nie znajdzie pani żadnych istotnych rejestrów z wcześniejszych lat. Nikt nie przejmował się wtedy życiem katolików w Irlandii, ich narodzinami ani pogrzebami. Trzoda chlewna była ważniejsza.

– Nie kojarzy ksiądz żadnej Mary Ann, która mieszkałaby w pobliżu? – zapytałam. – Mogła przyjąć nazwisko po mężu, ale imię przecież zostało.

Myślał przez chwilę.

– Znam kilka Mary Ann, ale żadna nie jest w wieku kobiety, której pani poszukuje. Sugeruję odwiedzić przytułek. Tam od zawsze trafiały opuszczone przez rodziców dzieci.

– Przytułek? – powtórzyłam. – W Clonakilty, tak?

– Owszem, jeden wciąż u nas działa, choć niegdyś bardziej znane były te w Bandon i Corku – odparł. – Podczas wielkiego głodu sieroty trafiały do takich domów, ale pewnie nie każde dziecko rejestrowano. Jak niby mieli to robić przy takim przeludnieniu? I do tego te wszystkie choróbska... Nie, ja bym raczej zakładał, że ta dziewczynka nie miała żadnych szans na przeżycie.

Podziękowałam i poszłam w swoją stronę. Nikt nie wierzy, że Mary Ann żyje! Jeśli rzeczywiście umarła, i tak nie znajdę na to dowodów. Skierowałam kroki w stronę przytułku – ponurego szarego budynku z kratami w oknach, przypominającego więzienie. W środku było ciemno i wilgotno. Słyszałam, jak

ktoś kaszle. Nie dowiedziałam się niczego więcej ponad to, co już słyszałam – nikt nie prowadził w tamtych czasach rejestrów; ludzie umierali codziennie, grzebano ich w masowych grobach.

Popytałam jeszcze w miasteczku tu i ówdzie, a potem udałam się w drogę powrotną. Nie zamierzałam jednak pojechać do Queenstown pociągiem, mimo że akurat czekał na stacji. Postanowiłam przebyć ten sam szlak co rodzina Burke'ów wiele lat temu. W miasteczku żyli jeszcze ludzie pamiętający trasę do portu w czasach wielkiego głodu. Pokazali mi właściwy kierunek. Minęło już południe, byłam zmęczona, głodna i spragniona. Nogi, nieprzyzwyczajone do długich marszów w takim terenie, dawały o sobie znać. Moje poszukiwania nie przyniosły żadnych rezultatów. Idąc, rozmyślałam – jak mam się dowiedzieć, czy dziewczynka przeżyła, czy też nie? Jest wielce prawdopodobne, że jej ciało spoczywa w jednym z masowych grobów. Tommy Burke nigdy się nie dowie, co tak naprawdę stało się z jego siostrą.

Nie poddam się, postanowiłam. Jak mogłam zakładać, że odnajdę Mary Ann pierwszego dnia? Jest jeszcze tyle miejsc do sprawdzenia! Kupiłam w piekarni placek z mięsem i udałam się w stronę Bandon, sporego miasta położonego przy głównej drodze. Zdołałam przejść niespełna pięć kilometrów. Potem nogi odmówiły mi posłuszeństwa. Byłam zmuszona zatrzymać się na noc w Gospodzie pod Kobyłką, niewielkim budynku na skraju drogi. Nie była to dobra noc – niewygodne łóżko i wiatr huczący przez szpary w ścianach. Zniecierpliwiona czekałam na poranek i dalszą drogę.

Wyruszyłam z pierwszym brzaskiem, pytając o Mary Ann każdą napotkaną osobę. Niestety, w większości ludzie byli za młodzi, by pamiętać czasy wielkiego głodu; nikt nie słyszał o rodzinie, która przyjęła do siebie małą dziewczynkę. Starszych osób prawie nie widziałam. Najwyraźniej rodzice i dziadkowie wyjeżdżali w tamtych czasach w pierwszej kolejności, poświęcając przydziały żywieniowe na rzecz młodszych członków rodziny. Kobiety, które spotykałam, tylko kręciły głowami.

– Chore dziecko porzucone przez rodzinę uciekającą przed głodem? – spytała jedna z nich. – Było ich tak dużo, moja droga, że za każdym razem, kiedy wychodziłam z domu, widziałam albo orszak pogrzebowy, albo po

prostu jakieś ciała leżące pokotem. Zatrudniano grabarzy, którzy zbierali zmarłych z ulicy. Najwięcej było dzieci. Im młodsze i słabsze, tym mniejsze miało szanse na przeżycie. Sama straciłam dwóch synów. Umierali na moich oczach, a ja w żaden sposób nie mogłam im pomóc.

Westchnęła i owinęła się szalem.

Niczego więcej się nie dowiedziałam. Wszyscy powtarzali jak mantrę: „Ludzie padali jak muchy. Ciała porzucano".

Przed powrotem do miasta czekała mnie jeszcze jedna noc. Wieczorem znów poszłam popytać w pobliskim kościele. Tamtejszy proboszcz zasugerował, że powinnam odwiedzić biskupa i poprosić go o dostęp do wszystkich dokumentów parafialnych w okolicy. Ale ksiądz, który przyjął Mary Ann, ma teraz siedemdziesiąt, osiemdziesiąt lat i prawdopodobnie już nie pracuje – pomyślałam.

Trzeciego dnia wróciłam do Corku. Buty miałam w strasznym stanie, nogi w niewiele lepszym. Nie byłam pewna, co dalej począć. Prześledziłam drogę, którą rodzina prawdopodobnie przemierzyła do Queenstown, choć niewykluczone, że Burke'owie wybrali inną trasę – trudniejszą i mniej uczęszczaną, przez zatoczki, nad brzegiem oceanu. Gdybym chciała działać zgodnie z zasadami swojego zawodu, powinnam teraz zapukać do wszystkich domków pomiędzy Corkiem i Clonakilty, a to przecież zupełnie nie wchodziło w rachubę.

Po powrocie do Corku marzyłam tylko o gorącej kąpieli, świeżej garderobie i wygodnym łóżku. W recepcji czekała na mnie wiadomość od inspektora Harrisa: przesłuchanie odbędzie się następnego dnia. Dobrze, że nie zabawiłam dłużej na wsi – pomyślałam. Umyłam się, przebrałam i z radością wypiłam filiżankę herbaty oraz zjadłam dwie babeczki ze śmietaną. Wzmocniwszy się, postanowiłam, że resztę dnia poświęcę na wizytę w katedrze.

Kiedy zbliżałam się do celu, ujrzałam niecodzienną procesję. Dziewczynki w parach, ubrane w jednakowe czarne stroje, maszerowały grzecznie pod okiem dwóch surowych zakonnic. Siostry wyglądały jak czarne ptaszyska trzepoczące skrzydłami. Jedna z nich zawołała w pewnej chwili:

– Nie guzdrzemy się! Adeline, stawiaj równo nogi.

Wtedy doznałam olśnienia. Co zrobiłby ksiądz, gdyby ktoś powierzył mu dziewczynkę pod opiekę? Jasne jak słońce! Oddałby ją natychmiast pod opiekę sióstr zakonnych. Przecież to one prowadzą sierocińce i przytułki dla ubogich.

Jak szalona pobiegłam do grupy dziewczynek.

– Przepraszam! – zawołałam. – Czy to są dzieci z sierocińca?

Siostry spojrzały na mnie przerażone.

– Z sierocińca? Ależ skąd! To uczennice szkoły imienia Świętej Katarzyny. Przyjmujemy do niej wyłącznie dziewczynki z dobrych domów. Z całej Europy, nie tylko z Irlandii.

Druga siostra prychnęła z politowaniem.

– Z sierocińca. Też mi coś!

– Najmocniej przepraszam – powiedziałam. Dziewczynki zachichotały, a ja sama ledwo powstrzymałam się od śmiechu. – A jest tu w pobliżu jakiś sierociniec?

– Owszem. Imienia Świętego Wincenta. Prowadzą go siostry szarytki. Na drugim brzegu rzeki. Trzeba przejść mostem, potem iść prosto jeszcze niecały kilometr. Nie można tego domu przegapić.

Obydwie siostry odprowadziły mnie wzrokiem, prawdopodobnie zastanawiając się, z jakiego to powodu tak bardzo interesuje mnie sierociniec. Potem znów zajęły się podopiecznymi. Pomaszerowałam w przeciwnym kierunku i wkrótce przeszłam przez most na drugą stronę rzeki. Usłyszawszy głosy bawiących się dzieci, wiedziałam, że jestem na miejscu. Budynek sierocińca był surowy, ale z zachowania wychowanków można było wnosić, że są szczęśliwsi niż uczennice szkoły imienia Świętej Katarzyny. Kiedy jednak poznałam matkę przełożoną, zmieniłam zdanie. Jakże surowa i nieprzystępna wydała mi się ta kobieta o twarzy zupełnie bez wyrazu!

– Zastanawiam się, czy może była tu siostra w tamtych czasach – powiedziałam na zakończenie, kiedy już wytłumaczyłam, jaki jest powód mojej wizyty.

Obrzuciła mnie oburzonym spojrzeniem.

– Przyjechałam tu jako młoda nowicjuszka dopiero w roku tysiąc osiemset siedemdziesiątym piątym.

– Przepraszam. Zawsze mam ten sam problem. Patrzę na zakonnicę i nie potrafię ocenić jej wieku. Dla mnie wszystkie wyglądacie bardzo młodo.

Cień uśmiechu pojawił się na jej twarzy w odpowiedzi na tę nieudolną próbę wybrnięcia z trudnej sytuacji.

– To dzięki życiu w czystości, jakie prowadzimy. Grzechy zewnętrznego świata nas nie nadwątlają.

– Może któraś z pracujących tu sióstr pamięta tamte czasy – zasugerowałam.

– Owszem, jest parę starszych zakonnic, ale mieszkają w naszym domu opieki. Nie niepokoimy ich bez potrzeby, bo mamy wszystko starannie zapisane w dokumentach. Jeśli jakieś dziecko do nas trafiło, znajdziemy je w księgach po nazwisku.

– Wspaniale! Czy mogłabym zajrzeć do tych rejestrów?

– Oczywiście. Chciałabym jednak zapytać, dlaczego po tylu latach brat poszukuje kontaktu z siostrą.

– Dopiero niedawno odkrył jej istnienie. I chce jej zabezpieczyć przyszłość. Jest bardzo bogatym człowiekiem.

– Rozumiem. To dobra wiadomość. W takim razie proszę za mną.

Szybkim krokiem skierowała się w stronę długiego korytarza, w którym pachniało jakimś środkiem dezynfekującym. Otwierając przede mną szklane drzwi, odwróciła się i powiedziała:

– Muszę tylko zaznaczyć, że jeśli dziecko było bardzo chore, raczej nie zostało tu przyjęte. Zawsze mamy na uwadze zdrowie pozostałej setki dzieci. Niewykluczone, że mała trafiła do ochronki, gdzie prawdopodobnie zmarła.

Mijały mnie dzieci idące w parach korytarzem, spoglądające nieśmiało w kierunku swoich opiekunek. Jeden z chłopców pokazał mi język, zupełnie jak moi bracia, kiedy byli młodsi. Ciekawe, jak teraz wyglądają – pomyślałam. Joseph i Liam to już pewnie młodzi mężczyźni, mały Malachy też wkrótce się zmieni. Poczułam nagle ogromną tęsknotę za domem. Kiedy

opuszczałam Irlandię, do głowy mi nie przyszło, że będę chciała tu kiedykolwiek wrócić. A teraz wskoczyłabym natychmiast do pierwszego pociągu jadącego w stronę hrabstwa Mayo. Musiałam sobie przypomnieć, że moi bracia to banda niewdzięcznych łobuzów. Dobrze, że nie muszę się nimi przejmować!

Kiedy weszłyśmy do ciemnego, zatęchłego pomieszczenia, przeorysza wyciągnęła księgi z rejestrami. Wskazała na jedną z nich, mówiąc:

– Tu są lata, które panienkę interesują.

Zaczęłam przeglądać gęsto zapisane strony. Od roku 1845 do sierocińca przyjęto bardzo dużo dzieci, co z pewnością miało związek z pogarszającą się sytuacją w kraju. Wypatrzyłam kilka Mary Ann i kilka dziewczynek o nieznanym imieniu, z dodatkową notatką: *rodzice nieznani*. Skoro Burke'owie ją porzucili, może nie podali księdzu swojego nazwiska. A może podali, ale ksiądz zapomniał.

I wreszcie zauważyłam właściwą rubrykę: *Mary Ann Burke, wiek około dwóch lat. Przywieziona ze szpitala św. Wincenta, 1849.*

– To ona! – powiedziałam radośnie i wczytałam się w dalsze wpisy, które ciągnęły się przez całe dwie strony: *data komunii świętej, zachowanie odpowiednie, zdrowie w normie* i wreszcie *umieszczona na służbie w Ormond Hall, hrabstwo Waterford, 3 września 1861.*

Spojrzałam na przeoryszę.

– Wysłana na służbę. Jest tu nawet adres.

Siostra kiwnęła głową.

– Większość naszych dziewcząt idzie na służbę. Przyuczamy je do prac domowych. Lepiej, żeby trafiły do zacnej rodziny, niż gdyby miały na przykład pracować w fabryce, gdzie na kobiety czyhają różne niebezpieczeństwa.

Przed oczami stanął mi Justin Hurtley. I on należał do zacnej rodziny, a mimo to próbował mnie zgwałcić w mojej własnej kuchni tylko dlatego, że byłam prostą służącą. Przyszło mi do głowy, że Mary Ann Burke mogła mieć podobne doświadczenia, ale postanowiłam nie dzielić się z przeoryszą swoimi przemyśleniami. Wyjęłam notatnik i spróbowałam prosto trzymać w ręku

ołówek.

– Muszę to wszystko zanotować – powiedziałam. – Ciekawe. To znaczy, że jednak przeżyła i być może uda mi się z nią spotkać.

Przeorysza skinęła głową.

– Miejmy taką nadzieję.

Poczułam nagle, że dłużej nie zniosę atmosfery tego zakurzonego pomieszczenia z półkami pełnymi rejestrów. Czas się zbierać. Przeorysza stała się trochę bardziej serdeczna i z przejęciem zapewniała, że życzy Mary Ann wszystkiego co najlepsze – odnalezienia po latach nieznanego bogatego brata. Niewykluczone, że chętnie przyjęłaby od dawnej wychowanicy sierocińca darowiznę na jego rzecz – pomyślałam. Posunęła się nawet do tego, że zaproponowała mi podwieczorek w towarzystwie sióstr, ale szybko znalazłam wymówkę, podziękowałam i z ulgą opuściłam smutny przybytek.

15

Przesłuchanie dotyczące śmierci Rose odbywało się w sądzie koronerskim, w ciemnej, ponurej sali o ścianach wyłożonych drewnianą boazerią. Przez witrażowe okna wpadało niewiele światła. Poranek był słoneczny i w powietrzu wirowały drobinki kurzu, czyniąc wnętrze sądu nieco odrealnionym. Szczerze powiedziawszy, zapomniałam już trochę o całej sprawie i skupiłam się na poszukiwaniu Mary Ann, ale kiedy weszłam i zobaczyłam ławników za stołem z ciemnego dębu, obleciał mnie strach.

W myślach powtarzałam sobie, że nie jestem podejrzana. Gdy jednak inspektor Harris składał raport, wszystkie głowy zwróciły się w moją stronę. Ciało młodej kobiety znaleziono w kajucie zarezerwowanej na nazwisko sławnej aktorki, panny Oony Sheehan, w wieczór poprzedzający przybycie statku „Majestic” do portu w Queenstown. W kajucie nie przebywała jednak wcale Oona Sheehan, tylko ktoś inny – Molly Murphy, która podczas rejsu podawała się za wzmiankowaną aktorkę. To właśnie panna Murphy, dziewczęta dzielące kajutę z ofiarą oraz steward trzeciej klasy zidentyfikowali ciało Rose McCreedy, osobistej pokojówki panny Sheehan.

Odczytano zeznania lekarza i szczegóły medyczne dotyczące zgonu.

Koroner był niskim, łysiejącym mężczyzną o pomarszczonej twarzy i haczykowatym nosie. W czarnej todze wyglądał jak kruk.

– Dlaczego lekarz nie stawił się osobiście? – zapytał.

W odpowiedzi usłyszał, że statek już odpłynął, bo zatrzymanie go w porcie na dłużej spowodowałoby opóźnienia na pozostałych trasach.

– Jeśli konieczne będzie dalsze śledztwo – wtrącił inspektor Harris, patrząc w moją stronę – mamy od przewoźnika deklarację, że odda do naszej dyspozycji oficerów, którzy uczestniczyli w tym rejsie.

Miejscowy lekarz przeczytał raport z sekcji zwłok. Nie było w nim nic

nowego. Wszystko wcześniej stwierdził lekarz pokładowy. Duże stężenie dwutlenku węgla we krwi świadczy o tym, że śmierć nastąpiła przez uduszenie. Zadrapania na szyi były jednak niewielkie, a tchawica nie została uszkodzona. Należy w związku z tym domniemywać – wyjaśniał lekarz – że morderca przyłożył do twarzy dziewczyny poduszkę i przycisnął ją z dużą siłą.

Nadeszła moja kolej. Musiałam dokładnie opisać okoliczności, w jakich znalazłam ciało. Potem padło pytanie, dlaczego zajmowałam kajutę zarezerwowaną na nazwisko Oony Sheehan. Starałam się udzielać wyczerpujących odpowiedzi. W pewnym momencie usłyszałam jakiś ruch za swoimi plecami i zobaczyłam, że z sali w pośpiechu wychodzi wysoki mężczyzna. Pewnie dziennikarz – pomyślałam. Przyszedł tu, by napisać coś na temat panny Sheehan, i zaraz puści tę wiadomość w świat. Czyli również moje imię znajdzie się w prasie. To akurat wcale nie jest mi potrzebne.

Spodziewałam się, że koroner postawi mnie w ogniu pytań, ale on tylko przyglądał mi się długo tym swoim ptasim spojrzeniem i w końcu powiedział:

– Nie jest moim obowiązkiem dopytywać się, dlaczego podawała się pani za kogoś innego. Jeśli jednak sprawa trafi na wokandę, być może odpowiedź na to pytanie okaże się istotna dla śledztwa.

Spojrzał znacząco na ławników, którzy również wpatrywali się we mnie z zaciekawieniem. Pozwolono mi wrócić na miejsce. Odczytano zeznania wszystkich stewardów i oficerów na statku. Spodziewałam się, że inspektor Harris powie coś na temat naszych podejrzeń i opisze mężczyzn, którzy mnie nagabywali, sądząc, że jestem Ooną Sheehan. A już na pewno powinien wspomnieć o młodzieńcu, który przebrał się za stewarda – pomyślałam. Jednak ku mojemu zdziwieniu inspektor Harris milczał. Koroner podsumował wszystko dokładnie, a ławnicy stwierdzili: okrutnego morderstwa dokonała nieznana osoba lub osoby.

Byliśmy wolni. Opuściłam budynek sądu. Ledwie zdążyłam odetchnąć świeżym powietrzem rześkiego poranka, gdy nagle znalazłam się w centrum zamieszania. Zostałam otoczona przez grupę młodych mężczyzn – każdy miał w ręku notatnik lub aparat fotograficzny.

– Panna Murphy? Proszę o krótką wypowiedź!

– Panno Murphy, czy to prawda, że na prośbę Oony Sheehan zamieniły się panie kajutami na statku? Dlaczego podawała się pani za pannę Sheehan? Czy wie pani, gdzie przebywa teraz panna Sheehan? Jak pani myśli, kto zabił służącą?

Zakryłam ręką twarz, widząc, że ktoś chce mi zrobić zdjęcie. Odwróciłam się na pięcie i zebrałam do ucieczki, ale dziennikarze ruszyli za mną jak stado wilków.

– Gazeta zapłaci za wywiad z panią na wyłączność. W którym hotelu się pani zatrzymała?

Zobaczyłam nadjeżdżającą dorożkę. Pomachałam w stronę powożącego, przebiegłam szybko na drugą stronę ulicy i wskoczyłam do środka. Kiedy koń ruszył z kopyta, stado wilków zostało w tyle, a ja poczułam, że cała się trzęsę. Miałam nadzieję, że przyjadę do Irlandii incognito, zrobię, co mam do zrobienia, a następnie szybko wrócę do Nowego Jorku. A teraz wychodzi na to, że w każdej gazecie znajdzie się informacja: *Molly Murphy przebywa w Irlandii*. Już nie jestem bezpieczna – pomyślałam. Najrozsądniej byłoby wykupić bilet na najbliższy statek do Ameryki, ale przecież nie mogę tego zrobić. Dochodzenie się nie zakończyło i nie wolno mi wyjechać z kraju. W tej sytuacji pozostało tylko przybrać jakiś pseudonim.

Wróciłam do hotelu, spodziewając się w każdej chwili najazdu wścibskich dziennikarzy. Pomyślałam, że najrozsądniej będzie opuścić miasto, zanim się dowiedzą, gdzie przebywam. Poprosiłam woźnicę, by na mnie zaczekał, i szybko pobiegłam na górę po rzeczy. Rozglądając się uważnie i nadsłuchując, zapłaciłam rachunek w recepcji, po czym wróciłam do dorożki i dopiero, kiedy znów ruszyliśmy, poczułam ulgę i podekscytowanie. Zanim się zorientują, zniknę z Corku!

– Na dworzec. Co koń wyskoczy! – zawołałam do woźnicy.

Kiedy dotarliśmy na miejsce, zegar wskazywał południe. Uznałam, że spokojnie powinnam dotrzeć dziś do Waterfordu i tam przenocować. Wchodząc pospiesznie na peron, zdałam sobie sprawę, że powinnam była o swoich planach poinformować inspektora Harrisa. Czyż jednak nie jest sam sobie winny? W końcu nie zapewnił mi właściwej ochrony przed budynkiem

sądu. Postanowiłam, że wyślę mu z Waterfordu list z informacją, gdzie się zatrzymałam. Spodziewałam się ponownie wsiąść do żółto-zielonego pociągu na parę, ten jednak, który obsługiwał połączenie z Waterfordem, okazał się porządną, dużą maszyną z silnikiem. Jadąc szybko przez łąki, straszył konie i krowy pasące się przy torze. Wysiadłszy na dworcu w Waterfordzie, zapytałam się o Ormond Hall. Dowiedziałam się, że posiadłość znajduje się około trzynastu kilometrów za miastem, tuż przy wiosce Dunhill. Nie kursował tam żaden pociąg, ale codziennie rano jeździł w tamtym kierunku wóz pocztowy i zabierał pasażerów. Nie zamierzałam iść do Ormond Hall na piechotę. Prawdopodobnie dotarłabym późnym wieczorem, podobna do stracha na wróble. Przy głównej ulicy znalazłam skromny pensjonat i postanowiłam w nim przenocować. Niestety, słabo spałam – co rusz budziły mnie podniesione głosy, głośne śpiewy i inne podejrzane dźwięki.

Rano ruszyłam w stronę poczty. Dzień był mglisty i chłodny, więc wszyscy pasażerowie przykryli się kocem, w który zawinięte były listy i paczki. Wspólnie uznaliśmy, że nasze zdrowie jest ważniejsze. Od współtowarzyszy podróży dowiedziałam się, że posiadłość Ormond Hall od pokoleń należy do rodziny Conroyów. Starszy pan Henry Conroy odszedł z tego świata parę lat temu i zostawił wszystko Toby'emu Conroyowi. Nikt nie powiedział nic wprost, ale odniosłam wrażenie, że nowy pan na włościach nie cieszy się sympatią sąsiadów. Podobno podczas służby wojskowej narobił strasznych długów. Nie był jeszcze żonaty, wszyscy mieli nadzieje, że się ustatkuje, kiedy znajdzie odpowiednią kandydatkę.

Współpasażerowie byli niezwykle ciekawi, jaki jest cel mojej wizyty. W stroju, który miałam na sobie, nie wyglądałam ani na służącą, ani na damę z wyższych sfer. Zaspokoiłam ich ciekawość, opowiadając, że kiedyś w Ormond służyła moja ciotka. Rodzina w Ameryce, która jakiś czas temu straciła z nią kontakt, postanowiła ją teraz odnaleźć.

– Naprawdę? – spytała jedna z kobiet. – A jak się nazywała? Ja też kiedyś służyłam w Ormond Hall.

– Mary Ann Burke – odparłam.

– Nie przypominam sobie. Czym dokładnie się zajmowała?

– Niestety, nie wiem. Szmat czasu. Chyba zaczęła pracę w tysiąc osiemset sześćdziesiątym pierwszym roku.

Kobieta parsknęła śmiechem.

– W tysiąc osiemset sześćdziesiątym pierwszym? Wtedy miałam zaledwie pięć lat. Raczej się nie spotkałyśmy.

Wóz pocztowy zatrzymał się przy długiej alei wysadzanej topolami.

– Proszę bardzo, serce – powiedział woźnica. – I uważaj na siebie. Ten tam to ponoć pies na damy.

Powóz odjechał, a ja stanęłam na wprost imponującej bramy strzeżonej z dwóch stron przez kamienne lwy. Każdy trzymał jedną łapę na wielkiej kuli. Zaczerpnęłam głęboko powietrza i ruszyłam szeroką żwirową aleją, która wkrótce skręciła w prawo i moim oczom ukazał się wspaniały dom – zupełnie jak zamek z bajki: miał wieżyczki i mur obronny, i nawet mały staw przed wejściem. Mary Ann musiała się tu czuć jak w raju – pomyślałam. Zwłaszcza że dzieciństwo spędziła w sierocińcu. Ze stawu zerwało się stado kaczek, a gdzieś z tyłu za domem słychać było krzyki gawronów buszujących w gałęziach drzew. Popatrzyłam na dym unoszący się z komina i poczułam dziwne kłucie w sercu. Dopiero po chwili sobie uświadomiłam, co je wywołało. Wspomnienia! Posiadłość Hartleyów wyglądała dość podobnie. Może nie była aż tak wspaniała, ale obydwa miejsca miały podobną atmosferę. Te luksusy! Jako dziecko zawsze się dziwiłam, że można palić jednocześnie w dwóch piecach w kuchni. U Hartleyów bywałam częstym gościem. Pani Hartley, matka panienek Henrietty i Vanessy, postanowiła, że będę pobierać nauki razem z jej córkami. Usłyszała kiedyś przypadkiem, jak rezolutnie rozmawiam z zarządcą, który chciał usunąć moją rodzinę z naszego kawałka ziemi, i uznała, że warto zająć się moją edukacją. Doświadczenie to było dla mnie źródłem zarówno radości, jak i rozczarowania. Radości, bo miałam dostęp do książek i do wiedzy, którą mogłam czerpać garściami. Guwernantka prawiła mi komplementy, podkreślając, że praca ze mną to sama przyjemność, i opowiadała o swojej miłości do sztuki, podróżowania i literatury. Rozczarowanie natomiast wynikało ze świadomości, że to wspaniałe życie nie może być moim udziałem. Córki Hartleyów robiły

wszystko, by na każdym kroku mi przypomnieć, że nie należę do towarzystwa, a lekcje zawdzięczam charytatywnym ciągotom ich matki. No i oczywiście był tam jeszcze Justin, przez którego musiałam później uciekać z domu.

Spojrzałam za siebie w kierunku bramy ukrytej wśród topoli. Zapewniłam wcześniej Daniela i wszystkich przyjaciół, że nie grozi mi w Irlandii żadne niebezpieczeństwo, a jednak właśnie weszłam z własnej woli do paszczy lwa. Przecież tutaj wszyscy się znają, w towarzyskich kręgach Irlandii niczego nie da się ukryć. Chociaż posiadłość ta znajduje się z dala od hrabstwa Mayo, jest wielce prawdopodobne, że Toby Conroy zna Hartleyów. Być może nawet słyszał o „wypadku" Justina, a moje imię i nazwisko obiło mu się o uszy. Postanowiłam w związku z tym, że na wszelki wypadek przedstawię się jako Mary Delaney. Używałam już tego nazwiska przy innych okazjach, kiedy bałam się podać swoją prawdziwą tożsamość.

Przeczesałam palcami włosy, strzepnęłam kurz z kostiumu i udałam się do głównego wejścia.

– Słucham, w czym mogę pomóc? – Służąca popatrzyła na mnie zdziwiona. Zerknęła ponad moją głową, ale nie dojrzała żadnego powozu.

– Przyjechałam z Nowego Jorku w sprawie pewnej kobiety, która kiedyś była tu na służbie – powiedziałam. – Chciałabym na ten temat porozmawiać z kimś, kto potrafiłby mi udzielić informacji. Nazywam się Delaney.

– Powinna pani porozmawiać z kamerdynerem. Proszę za mną.

Poprowadziła mnie długim korytarzem, potem przez podwójne drzwi, a następnie zeszłyśmy po schodach do pomieszczeń gospodarczych, gdzie zawsze przebywa służba. Dziewczyna zapukała i po chwili zostałam poproszona do niewielkiego pokoju. Jedno spojrzenie na kamerdynera wystarczyło, by stwierdzić, że rozmowa z nim na niewiele się zda. Był za młody. Opowiedziałam o celu swojej wizyty – rodzina z Ameryki poprosiła mnie, bym się dowiedziała, czy Mary Ann Burke jeszcze żyje. Przyjrzał mi się uważnie, prawdopodobnie oceniając moje pochodzenie. Widać było, że się zastanawia, czy powinien być miły, czy raczej mnie zbyć. Najwyraźniej odnotował jednak krój kostiumu należącego do panny Sheehan i elegancki kapelusik w kolorze wina.

– Jest pani pewna, że ta osoba była tu na służbie?

– W sierocińcu w Corku zapewniono mnie, że zaczęła pracę, mając czternaście lat, ale nie wiem zupełnie, jak długo tu pozostała. To wszystko wydarzyło się dawno temu, w latach sześćdziesiątych.

Prychnął.

– Nie mamy teraz na służbie nikogo, kto pamiętałby tamte czasy, panno Delaney. Ale prowadzimy rejestry. Powinno być w nich napisane, kiedy u nas zamieszkała i kiedy odeszła. Zerknijmy.

Podszedł do półki z zakurzonymi księgami i wyciągnął jedną z nich. Szukał palcem odpowiedniej rubryki. Tusz był wyblakły, ale imiona i daty zostały zapisane bardzo starannie.

– Jest – powiedział w końcu. – Mary Ann Burke. Ma pani rację. I proszę, wiemy, kiedy odeszła: „osiemnastego lipca tysiąc osiemset siedemdziesiątego trzeciego roku, nie wydano żadnych referencji”.

– Czy jest tam napisane, dokąd się przeniosła?

Potrząsnął głową.

– Niestety, nie. Ale nic nie wskazuje na to, że był z tym związany jakiś skandal. Raczej po prostu wyszła za mąż i dlatego nie wydano referencji.

– I nie ma teraz już nikogo, kto by pamiętał tamte czasy?

– Przykro mi, ale nie. Dzisiaj to nawet nikt nie chce iść na służbę. Młodzi próbują szczęścia w dużych miastach. Wiem, że fabryki w Dublinie zatrudniają tysiące młodych dziewcząt. Nie rozumiem, dlaczego takie życie jest lepsze niż praca na świeżym powietrzu i dobre jedzenie. Ale to już nie moja sprawa. Przepraszam, panno Delaney, że nie mogłem pani pomóc. Odprowadzę panią do wyjścia.

Ledwie otworzył przede mną drzwi, gdy usłyszeliśmy kroki na marmurowej posadzce i wkrótce naszym oczom ukazał się młody mężczyzna. Bez wątpienia był to pan domu. Poruszał się z nonszalancją charakterystyczną dla ludzi wysoko urodzonych. Miał na sobie strój do jazdy konnej, a pod pachą trzymał ustrzeloną kaczkę. Ubłocone buty zostawiały ślady na białej posadzce. Zauważył mnie i natychmiast otaksował spojrzeniem.

– Mamy gościa, Phipps? – zapytał.

– Nie, proszę pana. Panna Delaney przyjechała z Ameryki. Szuka śladów krewnej, która była tu kiedyś na służbie.

– Rozumiem. I co, pomogłeś? – zapytał, patrząc raczej na mnie niż na Phippsa.

– Nazwisko tej kobiety jest zapisane w księgach, ale nie ma wzmianki na temat jej dalszych losów, a odeszła od nas w roku tysiąc osiemset siedemdziesiątym trzecim. To stare dzieje.

– Byłem wtedy małym chłopcem – odparł mężczyzna. – Teraz nie mamy chyba na służbie nikogo, kto by pamiętał tamte czasy, prawda, Phipps?

– Niestety, nikogo takiego nie ma.

– Szkoda. Taka długa droga, a my nie jesteśmy w stanie pani pomóc – powiedział gospodarz, przyglądając mi się tak, że poczułam się niezręcznie. – Czy to bliska rodzina?

– Nie. Rodzina mojego wuja. Poprosił mnie o przysługę – odparłam. – Nazywała się Mary Ann Burke.

Twarz mężczyzny się rozjaśniła.

– Mary Ann! Pamiętam Mary Ann. Pomagała mojej niani. Zmartwiłem się, kiedy jej zabrakło, bo potrafiła się ze mną bawić znacznie lepiej niż niania.

– Może pamięta pan okoliczności, w jakich odeszła? – spytałam.

– Niania powiedziała mi, że mam zapomnieć o Mary Ann, więc wywnioskowałem, że to tajemnica. Siostra będzie znacznie więcej pamiętać. Jest sześć lat ode mnie starsza i bardzo lubiła Mary Ann.

– Czy pańska siostra mieszka gdzieś niedaleko?

– Dobry Boże! Nie! Wyszła za mąż i jest teraz wielką damą. Należy do śmietanki towarzyskiej. Podobno spędza czas pomiędzy Londynem, Paryżem i Dublinem. Udziela się w pewnych kręgach, wspiera artystów i bohemę. Lady Ashburton. Jeśli akurat jest w Dublinie, może będzie w stanie jakoś pomóc. Oczywiście pod warunkiem, że złapie ją panienka pomiędzy ważnym spotkaniem a balem dobroczynnym.

Zakończył słabym uśmiechem, który miał wyrazić podziw dla siostry, ale

bardziej przypominał skargę.

– Dziękuję. Spróbuję się skontaktować z pańską siostrą – odparłam.

Phipps chrząknął.

– Przepraszam najmocniej, ale czy nie powinien się pan przebrać? Panna Henrietta przyjedzie niedługo na lunch.

– Co? No tak, masz rację, Phipps. Lepiej pójdę na górę.

– Panna Henrietta? – zapytałam, choć było to całkiem niestosowne. Dlaczego tak często zapominam, żeby trzymać buzię na kłódkę?

– Moja narzeczona. Czeka na brata, który wkrótce przypłynie z Ameryki. Wybaczy pani, ale muszę szybko się przebrać.

– Oczywiście, proszę pana. Dziękuję, że poświęcił mi pan czas – odpowiedziałam, starając się zapanować nad głosem.

Skłoniłam grzecznie głowę. Dostrzegłam zainteresowanie w jego oczach, więc szybko się wyprostowałam. Ciekawe, jak by się zachowywał, gdyby nie czekał na narzeczoną. Narzeczoną o imieniu Henrietta, która jest siostrą mężczyzny powracającego właśnie z Ameryki... Starałam się prosto i dostojnie kroczyć do wyjścia.

Nie dotarłam jeszcze do drzwi, kiedy Toby Conroy zawołał:

– Właśnie coś mi przyszło do głowy, panno Delaney! Stary Harry. Mieszka na terenie naszej posiadłości. Kiedyś zarządzał u nas stajniami. Jest tu od zawsze i być może będzie wiedział, co się stało z Mary Ann. Phipps panią do niego zaprowadzi.

Wbiegł po schodach, przeskakując po dwa stopnie, i tyle go widziałam. Kamerdyner tłumaczył mi, jak mam iść, ale nie słuchałam uważnie. Tak bardzo chciałam się jak najszybciej znaleźć z dala od tego domu. Próbowałam sobie wytłumaczyć, że niepotrzebnie się denerwuję, że to zwykły zbieg okoliczności. Co z tego, że narzeczona Toby'ego ma na imię Henrietta i że jej brat wraca właśnie z Ameryki? Na wszelki wypadek lepiej jednak będzie szybko się stąd ewakuować – uznałam. Czyż nie mam już wystarczająco dużo problemów na głowie?

16

Ponieważ nie słuchałam, kiedy Phipps tłumaczył, jak dotrzeć do domku starego Harry'ego, zgubiłam się między budynkami gospodarczymi i upaćkałam sobie buty w błocie i jeszcze czymś gorszym. W końcu spotkałam człowieka, który pracował w polu, i ten pokierował mnie do celu.

Staruszek siedział przed paleniskiem w swoim domku. Był niemal całkowicie głuchy, ale na szczęście zrozumiał moje pytanie i pokiwał głową.

– Oczywiście, wszystko doskonale pamiętam. Pan bardzo się zdenerwował. I pani też. Rory był dobrym stajennym. Miał rękę do koni.

– Rory?

– Tak się nazywał ten mężczyzna – odparł stary Harry, szczerząc się w bezzębnym uśmiechu.

– Uciekli razem, żeby wziąć ślub?

– Tak się mówiło. Nie pytali nikogo o pozwolenie. Pstryk i już ich nie było.

– A wie pan może, dokąd wyjechali?

Pochylił się i szepnął:

– Ktoś mi mówił, że Rory jest kowalem w Tramore, nad morzem. Ale to było lata temu. Trudno powiedzieć, czy jeszcze tam mieszkają.

Podziękowałam.

– I tak bardzo mi pan pomógł.

Popatrzył na mnie wyczekująco i pomyślałam, że może chodzi mu o zapłatę. Zajrzałam do torebki i znalazłam szylinga. Ale kiedy chciałam wręczyć mu pieniądze, delikatnie odsunął moją dłoń.

– Nie chcę twoich pieniędzy, złociutka. Zatrzymaj je na swoje potrzeby. Ja już ani nie piję, ani nie jem zbyt dużo. Jedyna rzecz, na której mi zależy, to ogień w kominku, a opał i tak dostaję za darmo. Niczego mi nie trzeba,

dziękuję.

Cały czas dotykał mojej dłoni, więc instynktownie pochyliłam się i pocałowałam go w czoło. To rozbawiło staruszka.

– Taka zapłata to co innego – powiedział.

Pożegnałam się i wyszłam zadowolona. W drodze powrotnej do Waterfordu zdałam sobie sprawę, że idę ogromnie szybko. Tak bardzo nie miałam ochoty natknąć się na powóz wiozący gościa!

To niedorzeczne – pomyślałam. Przecież nie da się żyć w ten sposób! Czego się, do diaska, boję?! Podałam się za Mary Delaney i nikt już o mnie nie myśli. Podczas pobytu w Irlandii będę się tak przedstawiać, i tyle!

Wkrótce zatrzymał się przy mnie skromny powóz, a woźnica zaoferował, że mnie podwiezie. Wskoczyłam, ale okazało się, że jedziemy straszliwie wolno. Kiedy powóz dotarł na miejsce, ruszyłam dalej na piechotę, ciesząc się, że wreszcie przemieszczam się z odpowiednią prędkością. Po jakimś czasie dotarłam do małej miejscowości i w lokalnym sklepie zapytałam o drogę do Tramore. Okazało się, że nie muszę wcale wracać do Waterfordu. Znów podjechałam jakimś wozem, a potem poszłam pieszo aż do celu – niewielkiej osady nad samym oceanem.

Miejsce okazało się urocze. Na spokojnej tafli wody kołysały się łodzie rybackie, a w centrum znalazłam przyjemną gospodę o bielonych ścianach. Tam skierowano mnie do kowala. Po chwili stałam przed skromną chatką z napisem R. KELLY – KOWAL nad wejściem. Weszłam do ciemnego wnętrza i po chwili dostrzegłam postać mężczyzny na tle wielkiego paleniska. Ramię człowieka poruszało się rytmicznie. Wielki młot uderzał w rozgrzane żelazo, wydając głośne dźwięki.

– Pan Kelly? – spytałam.

– Tak. O co chodzi?

Odwrócił się w moją stronę. Po szerokiej twarzy spływały strugi potu zmieszanego z brudem. Mężczyzna miał na sobie stary skórzany fartuch, w ręku wciąż trzymał młot. Nieświadomie cofnęłam się do drzwi.

– Pan ma na imię Rory? Pracował pan kiedyś dla rodziny Conroyów?

– Jeśli tak, to co?

– Szukam pani Mary Ann, z domu Burke – odparłam. – Powiedziano mi, że byliście małżeństwem.

Popatrzył na mnie przeciągle.

– Mary Ann nie ma ze mną od wielu lat – burknął. – Odeszła dawno temu. Opłakałem ją, pogrzebałem i już o niej nie pamiętam.

Odwrócił głowę i mocno uderzył młotem w rozżarzone żelazo. W górę trysnęły iskry. Nie musiał mnie odprowadzać do drzwi. Szybko wyszłam bez pożegnania. No to koniec – pomyślałam. Zachciało mi się płakać z żalu nad samą sobą. Wszystko na nic! Prawdopodobnie umarła w połogu; przecież taki jest los wielu matek. Po chwili uświadomiłam sobie, że powinnam była zapytać o dzieci. Tommy Burke z pewnością będzie chciał uwzględnić w swoim testamencie potomstwo Mary Ann. Popatrzyłam w głąb chatki na postać mężczyzny i unoszące się wszędzie iskry. Czy dam radę jeszcze raz tam wejść?

Za to mi płacą – uznałam. Nie ma takiej pracy, w której zawsze jest miło i przyjemnie. Wzięłam głęboki wdech i zawróciłam.

– Przepraszam, że znów przeszkadzam – powiedziałam.

Pomyślałam, że zainteresuje go historia o nieznanym bogatym krewnym zmarłej żony. Z tego, w jaki sposób zareagował na moje pytanie, można się było domyślać, że pamięć o Mary Ann nosi w sercu.

Spojrzał na mnie z ręką uniesioną do góry.

– Chciałam zapytać, czy mieli państwo dzieci. Rodzina w Stanach zbiera informacje.

– Nie mieliśmy dzieci. Nie potrafiła mnie nawet obdarzyć potomstwem. Bezużyteczna kobieta. I żadnej rodziny nie miała, więc to jakaś pomyłka. Jako dziecko trafiła do sierocińca. Wynocha stąd, mówię, i masz mi już nie wracać! – wrzasnął i znów walnął z całej siły młotem w żelazo.

Cofnęłam się i stałam chwilę, patrząc, jak pracuje. Biedna Mary Ann, nie zazdroszczę jej życia z tym człowiekiem – pomyślałam. Zastanawiające, czemu dla kogoś takiego postanowiła porzucić stosunkowo wygodne życie.

Musiał być niezłym przystojniakiem, skoro wpadła po uszy.

Znalazłam stację kolejową i postanowiłam wrócić do Corku. Może uda mi się dotrzeć do hotelu jeszcze przed zmrokiem? Oby tylko inspektor Harris uznał, że nie jestem potrzebna... Od razu wsiądę na statek powrotny do Ameryki!

Po chwili namysłu zmieniłam plany. Skoro już tu jestem, warto poszukać grobu – pomyślałam.

Dokładnie obeszłam wszystkie alejki na cmentarzu, szukając odpowiedniego napisu na kamieniu, ale minęła godzina, a ja na nic nie trafiłam. Z ociąganiem postanowiłam iść na stację i skierowałam się do wyjścia. Wtedy usłyszałam za sobą czyjeś kroki na żwirowej ścieżce. Starszy ksiądz, który najpewniej wyszedł właśnie z kościoła, postanowił uciąć sobie ze mną pogawędkę.

– Dzień dobry. W odwiedziny na nasz przepiękny cmentarz? Sam chciałbym tu kiedyś spocząć na wieki. Czy szukała panienka jakiegoś konkretnego grobu?

– A i owszem – odparłam. – Ale go nie znalazłam. Czy zna ksiądz kowala, pana Kelly'ego? Chodzi mi o jego żonę. Mary Ann. Wie może ksiądz, czy została tu pochowana?

– Mary Ann Kelly? – zdziwił się ksiądz.

– Tak.

– Powiedział panience, że nie żyje, tak? To w jego stylu. Dumny stary Rory. Wcale nie umarła. Wiele lat temu od niego odeszła; uciekła z miejscowym nauczycielem. Nazywał się Terrence Moynihan. Utalentowany człowiek – poeta, dramaturg, mówca. Nic, co irlandzkie, nie było mu obce. Taki był ten nasz Terry. Tu się tylko marnował. Nie dziwota, że Ann wolała go od tego pijaka. Jako ksiądz powinienem ją za to potępić, ale nie potrafię. Wyjechali razem do Dublina ze dwadzieścia lat temu. Od tamtej pory słuch o nich zaginął.

– Do Dublina, mówi ksiądz...

Znów poczułam, że żyję. W dzieciństwie marzyłam o podróży do Dublina, marzyłam, by przechadzać się jak dama szerokimi ulicami. Teraz mój sen może

się wreszcie spełnić – pomyślałam. Jeśli inspektor Harris się zgodzi, jutro wybiorę się do Dublina!

17

Inspektor Harris nie miał nic przeciwko mojej podróży. Dochodzenie w sprawie morderstwa utknęło w martwym punkcie i trzeba było teraz czekać, aż „Majestic” wróci do Queenstown i stewardzi stawią się na dodatkowe przesłuchania. Pojawiły się spekulacje, że być może Rose miała romans z którymś z marynarzy i postanowiła zaprosić go do kajuty panny Sheehan, wiedząc, że nikt im nie przeszkodzi w schadzce. Sytuacja wymknęła się spod kontroli, mężczyzna zażądał czegoś, na co Rose nie była przygotowana, i podczas szarpaniny udusił dziewczynę poduszką. To by wyjaśniało, kim był dziwny steward, którego spotkał Henry – relacjonował Harris. Najwyraźniej inspektor uznał, że taki przebieg zdarzeń wydaje się bardziej prawdopodobny niż teoria o podróżnym przebranym za stewarda. Miałam również wrażenie, że jest inspektorowi zdecydowanie bardziej na rękę od wersji z nieznanym mordercą czyhającym na życie panny Sheehan. Młodziutkie pokojówki to przecież łakomy kąsek, a zabójstwo na tle seksualnym zdarza się często w dzisiejszych czasach – tłumaczył inspektor.

Sęk w tym, że ta historia wcale mnie nie przekonywała. Nie wyobrażałam sobie, by jakikolwiek marynarz zdobył się na tak ogromne ryzyko i odwiedził swoją przyjaciółkę w kajucie pierwszej klasy. Byłam pewna, że chodziło o Oonę Sheehan. Na miejscu Harrisa poprosiłabym o pomoc nowojorską policję i kazała sprawdzić, kto w ostatnim czasie naprzykrzał się aktorce. Następnie spróbowałabym się dowiedzieć, dlaczego panna Sheehan opuszczała statek w takim pośpiechu. Odpowiedź na to pytanie była dla mnie kluczem do rozwiązania zagadki. Aktorka miała ze sobą bagaże i najwyraźniej planowała odbyć podróż, ale w ostatniej chwili z niej zrezygnowała. Być może policja to wszystko sprawdza, tylko ja o tym nie wiem – rozmyślałam. Wszystko jedno! Uznałam, że nie będę dyskutować z Harrisem, bo jego wersja działa na moją korzyść – oznacza, że nie jestem w kręgu podejrzeń i mogę się

swobodnie przemieszczać po kraju.

Spakowałam swoje rzeczy i ruszyłam ekspresowym pociągiem do Dublina. Nawet deszczowa, ponura pogoda nie była w stanie zepsuć mi humoru. Kiedy pociąg zatrzymał się wreszcie na stacji Kingsbridge, poczułam, że rozpiera mnie radość. Pierwsze kroki skierowałam na brzeg rzeki Liffey. Od Morza Północnego wiał silny wiatr i ze wzruszenia zachciało mi się płakać. Nie potrafiłam sobie odmówić spaceru po mieście, które od zawsze pragnęłam zwiedzić, i na piechotę udałam się do hotelu. Przede wszystkim należało sprawdzić, czy wysłane przeze mnie kufry już dotarły. Istniała wprawdzie obawa, że jeśli nikt po nie się nie zgłosił, hotel obciąży mnie kosztami przechowywania bagaży, ale pokusa, by zobaczyć miejsce, o którym tyle słyszałam, była bardzo silna. To w hotelu Shelbourne zatrzymywali się sławni i bogaci. Nie miałam złudzeń, że będę mogła sobie pozwolić na wynajęcie tam pokoju, ale już samo wejście do środka przez obrotowe drzwi i nawet krótka wizyta w tym modnym miejscu wydały mi się wielce kuszące.

Idąc Victoria Quay, ledwie się powstrzymywałam, by nie skakać do góry z radości. Czułam się jak debiutantka, która właśnie zmierza na swój pierwszy bal. Oto ja, biedna dziewczyna z irlandzkiej wsi, spaceruję po Dublinie, mieście swoich marzeń, wolna jak ptak, z pieniędzmi w kieszeni! Rozpierały mnie duma i radość, że oto jestem z powrotem na łonie ojczyzny i mogę robić, co mi się żywnie podoba.

Nie wszystkie budynki, które mijałam po drodze, były piękne. Moją uwagę zwróciła brzydka fabryka z kominami buchającymi w powietrze ciężkim dymem. Nad wielką bramą z mosiądzu wisiał szyld BROWAR GUINNESS.

Jednak zaraz potem moim oczom ukazało się miasto, które widziałam w swoich snach. Po drugiej stronie rzeki dostrzegłam wspaniałą budowlę z zieloną kopułą na szczycie, podpartą kolumnami. Widziałam kiedyś zdjęcia tego miejsca, więc od razu je rozpoznałam – Four Courts – budynek sądu. To tam Anglicy sądzą Irlandczyków, którzy zadarli z prawem.

Odległość od dworca do hotelu okazała się większa, niż przypuszczałam, i wkrótce torba podróżna zaczęła mi bardzo ciążyć. Nie chciałam wejść do Shelbourne zmęczona i spocona, więc zatrzymałam w końcu dorożkę i już po

chwili podziwiałam miasto z jej okien. Minęliśmy piękny kościół i kiedy zapytałam woźnicę o jego nazwę, dowiedziałam się, że to katedra Świętej Trójcy.

– Irlandzki kościół – dodał z przekąsem. – Zabrali sobie najlepsze budynki w tym mieście.

Muszę przyznać, że nigdy wcześniej nie widziałam równie wspaniałej świątyni. Tuż za nią dostrzegłam fragment zamku – siedziby brytyjskiej administracji w Irlandii, centrum władzy oraz miejsce odosobnienia dla tych, którzy próbowali się jej sprzeciwić. Na samą myśl o tym przeszył mnie dreszcz.

Kiedy w końcu dotarliśmy do mostu O'Connella, moim oczom ukazała się słynna Sackville Street, ciągnąca się na północ, z pomnikiem zasłużonego polityka na samym środku. Poprosiłam, by woźnica się zatrzymał, i wyskoczyłam z dorożki. Nie mogłam sobie odmówić tej przyjemności. Po prawej stronie miałam teraz żółte budynki Trinity College, a dalej wzdłuż brzegu – dostojne budowle w stylu gregoriańskim. Pode mną szalały ciemne wody rzeki, a dookoła toczyło się wesołe życie miasta. Mostem jechały tramwaje konne, studenci w czarnych togach, niczym stada ptaków, gromadzili się przed wejściem do Trinity, głośno o czymś rozprawiając. Eleganckie pary podróżowały w powozach. I w samym środku tego wszystkiego ja – Molly Murphy. Wprost nie mogłam uwierzyć w swoje szczęście.

Ociągając się, wsiadłam z powrotem do dorożki. Pojechaliśmy Grafton Street, gdzie pełno było sklepów i restauracji, o tej porze wyjątkowo zatłoczonych. W końcu woźnica zatrzymał się przed bramą starego parku. W głębi widać było elegancki budynek.

– Jesteśmy na miejscu, panienko. Hotel Shelbourne – oznajmił, przyglądając mi się uważnie. Prawdopodobnie sądził, że się pomyliłam i podałam mu zły adres. Czekał teraz na moją reakcję.

Kiedy płaciłam za kurs, obok nas zaparkował powóz, z którego wysypało się szykowne towarzystwo – damy ubrane były według wskazań ostatniej mody, z piórkami strusia wetkniętymi w zgrabne kapelusiki.

– Tak to jest z tą służbą. W ogóle nie można na niej polegać – perorowała

jedna z kobiet afektowanym tonem angielskiej klasy wyższej. – To nie do pomyślenia, skarbie; po prostu nie wiem, co powinnam zrobić.

– Chodź z nami na lunch i przestań sobie tym zaprzątać głowę – zaproponowała przyjaciółka, po czym zwróciła się w stronę eleganckiego szpakowatego mężczyzny, który jej towarzyszył, i położyła mu szczupłą dłoń na ramieniu. – Niech zje z nami lunch, kochanie, proszę. Będę niepocieszona, jeśli się nie zgodzisz.

– Jakże mógłbym się nie zgodzić, Graniu? Przecież wiesz, że jestem w tobie zakochany po uszy.

Ruszyli w stronę hotelu, a ja stałam chwilę, patrząc za nimi i zastanawiając się, co mam teraz zrobić. Nie mogę tak od razu wejść do środka – rozmyślałam. Oni czują się w hotelu Shelbourne jak ryby w wodzie, podczas gdy ja jestem tu zwykłym intruzem. Do pięt im nie dorastam! Po chwili opamiętałam się. Tego typu myślenie nie jest w ogóle w moim stylu! Wręcz przeciwnie, zawsze staram się mierzyć wysoko... Woźnica powinien zobaczyć, jak pewnym krokiem wchodzę do hotelu, poza tym muszę się upewnić, czy przypadkiem nie trzeba zapłacić za przechowywanie bagażu. Dziwne to wszystko, bo przecież kufry nawet do mnie nie należą. Panna Sheehan niby obiecała za opiekę nad nimi dodatkowe wynagrodzenie, ale przecież dała się także poznać jako osoba, na której polegać nie można. Wszystko jedno – zdecydowałam. Zebrałam się na odwagę, poprosiłam woźnicę, by wręczył boyowi mój bagaż, i przestąpiłam próg hotelu.

– W czym mogę pomóc, panienko? – zapytał młody mężczyzna w recepcji niezbyt przyjaznym tonem. Widziałam, jak taksuje mnie spojrzeniem, sprawdzając, czy nadaję się do tego przybytku.

Poinformowałam go, że niedawno powinny były przyjść tu kufry na moje nazwisko, i zapytałam, czy już je ktoś odebrał.

W tym momencie jego twarz przybrała inny wyraz.

– Panna Murphy? Od tygodnia na panią czekamy. Pokój stoi pusty.

– Jaki pokój?

– Powiedziano nam, że mamy przygotować dla pani pokój. Bagaż jest

w środku i wszystko tam na panią czeka. Czy ma pani ze sobą coś jeszcze? – Popatrzył na małą torbę podróżną, którą postawiłam przy nodze.

– To chyba jakaś pomyłka – powiedziałam. – Nie zamierzałam u was wynajmować pokoju. Znajoma poprosiła mnie o przysługę. Jej bagaże miały tu być dostarczone na moje nazwisko.

Spojrzał na mnie zdziwiony.

– Czy to znaczy, że nie zatrzyma się pani w ogóle w Dublinie? Pokój nie jest potrzebny?

– Nie wykluczam, że zostanę w mieście parę dni, ale obawiam się, że nie tutaj. Hotel Shelbourne jest zbyt kosztowny jak na moją kieszeń – oznajmiłam.

– Ale przecież pani pokój został opłacony. Dwa tygodnie temu.

– Jak to? Kto za niego zapłacił?

– Nie mam pojęcia, proszę pani. – Popatrzył na mnie znacząco, jakby chciał mi dać do zrozumienia, że to nie jego interes, bo pewnie całe to zamieszanie z pokojem wynika z jakichś tajemniczych męsko-damskich konszachtów.

To było tak absurdalne, że musiałam się uśmiechnąć.

– Ach, tak! Prawdopodobnie to sprawka mojego amerykańskiego pracodawcy – zauważyłam zdecydowanym tonem.

– Rozumiem – odparł. – Czy zechce pani złożyć podpis w księdze gości? Potem poproszę boya, by zaprowadził panią na górę.

Składając podpis, zauważyłam, że w rejestrze występuję jako Molly Murphy. Gdyby ktokolwiek mnie śledził, miałby wyjątkowo ułatwione zadanie – pomyślałam.

– Pani pozwoli, oto klucz – powiedział recepcjonista.

Ale zanim mi go wręczył, do kontuaru podszedł jakiś mężczyzna i w ogóle nie zwracając na mnie uwagi, zapytał:

– Może wreszcie coś do mnie przyszło?

– Obawiam się, że nie, panie Fortwrangler.

Bardzo chciałam zapaść się pod ziemię.

– I ciągle nie wiadomo, gdzie zatrzymała się panna Sheehan?

– Nie wiadomo, proszę pana.

– Zupełnie tego nie rozumiem. Wyparowała czy co?

– Ma tu w kraju pewnie mnóstwo krewnych i znajomych – odparł spokojnie recepcjonista. – Może po prostu nie chce, by ludzie wiedzieli, gdzie przebywa.

– W porządku, Freddie – powiedział Artie Fortwrangler. – Tu jest dwadzieścia dolarów. Dostanie je ten, kto mi zdradzi, gdzie się zatrzymała panna Sheehan. Powiedz o tym swoim kolegom, dobrze?

– Oczywiście, panie Fortwrangler. A teraz pan wybaczy, ale muszę zaprowadzić tę damę do jej pokoju.

Artie Fortwrangler nawet nie raczył na mnie spojrzeć. Odetchnęłam z ulgą. Pewnie się nie zorientował, bo przecież nie miałam ani peruki, ani makijażu. Co za zbieg okoliczności, że mieszkamy pod jednym dachem. Muszę na niego uważać!

Recepcjonista pstryknął palcami. Boy hotelowy wziął moją torbę i po szerokich schodach poprowadził mnie na górę, na pierwsze piętro, do przestronnego pokoju z widokiem na park. Byłoby jeszcze przyjemniej, gdyby nie te ogromne kufry na podłodze.

– Ma pani bardzo dużo bagaży – zauważył chłopiec.

– Należą do mojej znajomej – powiedziałam. – Myślałam, że już dawno je odebrała. Czy macie tu jakąś przechowalnię?

– Zapytam – obiecał.

Przyjął ode mnie napiwek i odszedł.

Zostałam sama. Dosłownie nie miałam jak przejść. Pożałowałam, że nie poprosiłam chłopca, by pomógł mi przesunąć kufry w róg pokoju, i postanowiłam zrobić to samodzielnie. Kiedy zaczęłam pchać jeden z nich, usłyszałam dziwny metaliczny odgłos. Ubrania nie wydają takich dźwięków – pomyślałam. Co to może być? Spróbowałam uchylić wieko, ale kufer okazał się zamknięty. Jak go otworzyć?! Przecież muszę sprawdzić, co jest w środku – uznałam. W sukurs przyszła mi niezawodna spinka do włosów. Po chwili usłyszałam wyraźne „klik” i uniosłam wieko. Na wierzchu leżała piękna

suknia balowa w kolorze kawy. Warstwa pod spodem była owinięta starannie kocem. Kiedy go zdjęłam, moim oczom ukazał się równy rząd pistoletów.

18

Myślałam, że zemdleję. Zaczęłam sięgać dalej. Pod pierwszą warstwą leżała kolejna, też owinięta w koc. Kufer był pełen broni! Kiedy otworzyłam następne, okazało się, że na wierzchu są zawsze ubrania, a pod spodem, pod dodatkowym dnem – pistolety i amunicja.

Niezłe ziółko z tej panny Sheehan! Ale zaraz, zaraz... Chyba zaczynam rozumieć. W Ameryce działają przecież organizacje, które popierają walkę Irlandczyków o niepodległość. Słyszałam, że wspomagają bojowników, wysyłając im broń i pieniądze. Nigdy jednak nie przyszłoby mi do głowy, że panna Sheehan jest tak wielką patriotką. Tchórzliwą patriotką – dodałam w myślach. Gdyby sprawa przemytu broni wyszła na jaw, podejrzenie padłoby na mnie, bo przecież bagaże przybyły do Irlandii na moje nazwisko. Pannie Sheehan nic nie grozi po drugiej stronie Atlantyku. No, chyba że ona również nie wiedziała o zawartości kufrów – rozmyślałam dalej. Może ktoś zadrwił z nas obu? Nie, to niemożliwe! Pewnie właśnie dlatego opuściła statek w ostatniej chwili i poprosiła mnie o przysługę.

Muszę natychmiast powiadomić policję – postanowiłam, trzęsąc się ze złości. W tej całej zamianie kajut nie chodziło wcale o adoratorów, tylko o przemyt broni! Podenerwowana przemierzałam pokój wzdłuż i wszerz. Nie pozwolę, by te wstrętne kufry zostały tu choć minutę dłużej! Gdyby wpadli policjanci, natychmiast wsadziliby mnie do więzienia, i tyle.

Po chwili uspokoiłam się trochę i przysiadłam na łóżku. Pewnie i tak jestem podejrzana w sprawie morderstwa Rose McCreedy. Czy da się te dwie sprawy połączyć? Niech pomyślę... Do tej pory uważałam, że pokojówka zginęła z rąk szaleńca, który był nieszczęśliwie zakochany w Oonie Sheehan. Ale może Rose po prostu za dużo wiedziała... Być może ci sami ludzie opłacili mój pokój i choćby z tego powodu nie powinnam nikomu mówić o swoim odkryciu. Przecież nie chcę skończyć jak Rose.

Oona beztrosko sobie spaceruje po Nowym Jorku, podczas gdy ja nie mam żadnej gwarancji, że potwierdzi moje zeznania w sprawie bagaży. Może się wszystkiego wyprzeć i wystrychnąć mnie na dudka.

A co z moim patriotyzmem, co z moją miłością do ojczyzny? Parlament brytyjski odrzuca każdą ustawę dotyczącą praw Irlandczyków i wszystko wskazuje na to, że pokojowo nie da się odzyskać wolności. Ale czy mam się opowiedzieć za eskalacją przemocy? Za tym, by ginęli ludzie? Żołnierze, policjanci, a nawet niewinni obywatele?

Wstałam i znów zaczęłam chodzić w tę i z powrotem. To nie była łatwa decyzja. Po czole spływała mi strużka potu. Każdy, kto kocha Irlandię, powinien się sprzeciwiać Anglikom! To oni są winni temu, że wychowywałam się bez kuzynów, dziadków i ciotek. Cała moja rodzina ucierpiała podczas wielkiego głodu. Szlachta angielska tylko paliła wioski i wypędzała z nich mieszkańców. Jeśli zdradzę policji, co jest w kufrach, być może wydam bojowników o wolność i tym samym zaprzepaszczę nadzieję na lepsze jutro.

Postanowiłam na razie nic nie robić. Może ktoś w końcu zgłosi się po te rzeczy. Nie będę zadawała żadnych pytań, nie będę kłamać, po prostu zajmę się swoimi sprawami. Nie mam z tym nic wspólnego! Przypłynęłam do Irlandii, żeby wyjaśnić, co się stało z Mary Ann Burke. Zamknęłam pierwszy kufer, słysząc kliknięcie. Potem starannie ułożyłam w pozostałych wszystko na swoim miejscu i też zatrzasnęłam wieka. Następnie doprowadziłam się do ładu i zeszłam na dół. Postanowiłam, że skoro pokój został opłacony, a ja mam przy sobie pieniądze, zjem porządny obiad w hotelowej restauracji. Maître d'hôtel nie był zachwycony moją prezencją i robiąc miny, poprowadził mnie do stolika za palmą w donicy. Chyba uznał, że nie jestem dość elegancka, by jeść w hotelu Shelbourne. Ale moje miejsce bardzo mi pasowało – miałam na widoku całą salę, a sama pozostawałam w cieniu.

Wesoła grupa przyjaciół, która zameldowała się w hotelu tuż przede mną, zajęła wielki stół na środku sali. Rozmawiali swobodnie i głośno, tak jak to mają w zwyczaju ludzie wysoko urodzeni. Kobieta w modnym kostiumie rozprawiała o czymś z zapałem ku uciesze swoich towarzyszy.

– Ależ ty masz pomysły, Graniu – powiedział jeden z mężczyzn, kiedy

wszyscy przestali się śmiać.

– Skądże! Opowiadam tylko to, co usłyszałam od kogoś, kto ma lepsze pomysły i większy talent niż ja – odparła kobieta. – Sami jutro zobaczycie na premierze. Przedstawię was i poznacie go osobiście. Mogę się założyć, że już za chwilę całe miasto będzie o nim mówić.

– Nie wiem, czy wszyscy to wiedzą, moja droga, ale twoje słowa zawsze okazują się prorocze – zauważył inny dżentelmen. – Tak było rok temu na wyścigach.

– Oczywiście, przecież znam swoje konie – stwierdziła kobieta.

– Jesteś niesamowita.

– Pochlebiasz mi, Dermott.

Młody mężczyzna przysunął się bliżej.

– Powiedz, Graniu... Uważasz, że pan Yeats jest dobrym dramaturgiem? Poetą, a i owszem, ale czy jego sztuka przejdzie do historii?

– Przecież gra w niej ta boska Maud. Czy chociaż z tego powodu nie możesz się poświęcić i pójść z nami do teatru?

Młodzieniec westchnął.

– Skoro muszę, to trudno, ale powiem ci szczerze, że wolałbym spędzić ten wieczór w operetce, oglądając kankana.

– Dermott, tak się bawią plebejusze.

– Przepraszam. Tylko jeden dramaturg zrobił na mnie wrażenie. Cullen Quinlan. Jego sztuk nigdy nie zapomnę.

– Drugiego takiego artysty już nie będzie – odparła Grania. – To wielka strata.

Ostatnia wypowiedź kobiety najwyraźniej zrobiła na wszystkich wrażenie. Jedli teraz w milczeniu, a ja dokładnie przeczytałam menu i zamówiłam zupę, rostbef i leguminę z chleba. Kuchnia nowojorska nie jest zła, ale nic nie przebije rostbefu po irlandzku i mojego ulubionego deseru.

Posiliwszy się, poszłam do recepcji zapytać o teatry w mieście. Powiedziałam, że mam ochotę zobaczyć dziś wieczorem dobre

przedstawienie. Skoro Terrence Moynihan był kiedyś znanym dramaturgiem, może jakiś wielbiciel teatru coś mi o nim opowie...

– Do teatru? – zapytał recepcjonista. – A do którego konkretnie? W Gaiety wystawiają musical, a w teatrze Olympic można podobno obejrzeć ciekawą inscenizację *Opowieści wigilijnej* Dickensa. Jeśli natomiast ma pani bardziej wyrafinowany gust, może warto poczekać do jutra. W Ambassadorze szykują premierę sztuki napisanej przez samego Yeatsa. To gościnne występy jego trupy Irish Literary Theatre. I oczywiście główną rolę gra panna Maud Gonne.

– Dlaczego oczywiście?

Pochylił się nad kontuarem.

– Cały Dublin o niej mówi. Słyszałem, że on jest w niej szaleńczo zakochany. Ciągle się oświadcza, a ona odmawia. Publiczność siedzi jak zaczarowana. Oglądają przedstawienie nie ze względu na sztukę, ale na te emocje, które wiszą w powietrzu.

– Teatr Ambassador, tak?

Skinął głową.

– A dzisiaj proponuję, by poszła pani do Gaiety. Ten musical podobno podbił Broadway. Oona Sheehan grała w nim główną rolę. Zatrzymuje się u nas od czasu do czasu. Cóż za piękna kobieta!

– Naprawdę się tu zatrzymuje? A czy ktoś o nią ostatnio pytał?

– Po co miałby pytać? Kiedy panna Sheehan u nas gości, wszyscy o tym wiedzą, a kolejka młodych mężczyzn ciągnie się aż na zewnątrz.

Zmieniłam temat.

– A czy słyszał pan kiedyś może o dramaturgu, który nazywa się Terrence Moynihan?

Mężczyzna skrzywił się.

– Ja tam się nie znam na dramaturgach. Z trudem odróżniam Szekspira od Oscara Wilde'a. Wiem tylko, że jeden z nich umarł w więzieniu. – Zaśmiał się z własnego żartu.

Podziękowałam, życzyłam mu miłego dnia i wyszłam przed hotel, zastanawiając się, kto będzie coś wiedział o Terrensie Moynihanie. Ksiądz

w Tramore nazwał go poetą, dramaturgiem, oratorem i patriotą, jeśli dobrze pamiętam. Tylko w intelektualnych kręgach Dublina czegoś się dowiem – pomyślałam. A jedyne takie miejsce, które tu kojarzę, to Trinity College, zaraz przy Grafton Street. Zatem w drogę!

Kiedy zbliżałam się do celu, znów ujęła mnie uroda gmachów uniwersyteckich. Młodzież przechadzała się beztrosko, nie zwracając uwagi na architekturę. Przeszłam przez bramę i właśnie zbliżałam się do głównego wejścia, kiedy zatrzymał mnie strażnik w czarnym uniformie i zapytał groźnie:

– A dokąd to panienka się wybiera?

– Porozmawiać z profesorami na temat pewnego dramaturga – odparłam swobodnie.

– A to dobre! – Strażnik się roześmiał. – Dobrze wiesz, moje dziecko, że kobietom wstęp wzbroniony. I to się nigdy nie zmieni, choćbyście nie wiem jak się starały. No już. Do widzenia.

Nie miałam wyjścia. Jakie to niesprawiedliwe! – pomyślałam i potulnie zawróciłam. Nie zdawałam sobie sprawy, że tak wygląda edukacja, choć przecież mamy dwudziesty wiek. Wydawało mi się, że kobiety nie powinny być odsuwane od nauki. Najwyraźniej się myliłam. Pochyliłam głowę i ruszyłam w stronę wyjścia, zastanawiając się, co powinnam zrobić w tej sytuacji. Pogrążona w myślach, prawie wpadłam na młodą dziewczynę.

– Widziałam, że natknęła się pani przy wejściu na strażnika porządku publicznego – stwierdziła z błyskiem w oku. Była niska, dość tęga i mówiła czystym angielskim.

– Chciałam tylko o coś zapytać jednego z profesorów – powiedziałam. – Nie miałam pojęcia, że tak tu się traktuje kobiety.

– Nawet na łożu śmierci nie zmienią zdania – odparła z uśmiechem. – Na szczęście istnieje grupa, która wspiera nas w walce o dostęp kobiet do edukacji. Panna Alice Oldham jest wielką orędowniczką praw kobiet. Zna ją pani może?

– Dopiero niedawno przyjechałam do Irlandii. Obecnie mieszkam w Ameryce.

– Słyszałam, że tam macie lepiej.

– Wciąż nie możemy głosować – odparłam. – I nie wolno nam wchodzić do barów.

– Czyli jest jednak tak samo jak tutaj. Rozumiem, że nie miała pani jeszcze okazji uczestniczyć w spotkaniu Inghinidhe na hÉireann?

– Czego? Przepraszam, ale nie znam irlandzkiego.

– Cór Irlandii. To stowarzyszenie walczące o równouprawnienie kobiet i wyzwolenie Irlandii. Założyła je Maud Gonne.

– Ta aktorka?

Dziwne, pomyślałam. Coś często ostatnio słyszę to nazwisko.

– Aktorstwo to tylko jedno z jej licznych zajęć – odparła młoda kobieta. – Jest wizjonerką. Marzy o wolnej Irlandii i o tym, by kobiety były traktowane na równi z mężczyznami.

– W takim razie bardzo chętnie przyjdę na jakieś spotkanie.

– Jeśli zostanie pani dłużej w Dublinie, z przyjemnością was sobie przedstawię – zaproponowała.

– Nie zabawię tu długo, ale może nadarzy się okazja.

– Miło mi. Nazywam się Alice. Alice Wester. – Wyciągnęła do mnie rękę.

– Jestem... M... Mary Delaney. – W ostatniej chwili przypomniałam sobie, jak powinnam się przedstawić. – Miło mi panią poznać, panno Wester.

– Proszę mi mówić po imieniu. W stowarzyszeniu Cór Irlandii wszystkie jesteśmy równe. Królowa Mab przyjmie cię z otwartymi ramionami.

– Królowa Mab? – zdziwiłam się. – Władczyni wróżek?

– Rzeczywiście nazywa się tak samo jak postać z bajki. – Alice się uśmiechnęła. – Ale jest prawdziwa i śmiertelna. To jedna z naszych liderek, nie znam jej prawdziwego imienia.

Zauważyła, że mam nietęgą minę, i dodała:

– Większość z nas woli używać pseudonimu, na wypadek gdyby Anglicy zaczęli się interesować stowarzyszeniem. Niby nie robimy nic złego ani wbrew prawu, ale promowanie kultury irlandzkiej nie jest mile widziane. Na

pewno słyszałaś o Lidze Gaelickiej[4]. Niektórzy jej członkowie zaginęli w niewyjaśnionych okolicznościach, a co jest złego w recytowaniu wierszy?

Wiersze gaelickie... gdzieś już o nich słyszałam.

– Szukam właśnie mężczyzny, który jest poetą i dramaturgiem. Nazywa się Terrence Moynihan. Może o nim słyszałaś?

Zmarszczyła nos.

– Coś mi to mówi. Nie... nie pamiętam, gdzie słyszałam to nazwisko. Powinnaś przyjść jutro na premierę przedstawienia pana Yeatsa i tam popytać. Będzie całe towarzystwo związane z Irish Literary Theatre. I śmietanka dublińska. Co do tego nie mam wątpliwości.

– W takim razie na pewno przyjdę – odparłam. – Nie wiesz, czy zostały jeszcze jakieś bilety?

– Właśnie chciałam to sprawdzić. Możemy pójść razem – zaproponowała Alice.

Przeszłyśmy przez most O'Connella.

– Pozwól, że ci coś powiem. Uważaj na ten mały most, który widać z daleka.

– Nie jest bezpieczny? – zapytałam zdziwiona, bo z daleka robił dobre wrażenie.

– Nie jest bezpieczny dla kieszeni – zaśmiała się Alice. – Pobierają tam opłaty. Za każde przejście trzeba zapłacić pół pensa.

– W takim razie muszę go omijać z daleka.

Przeszłyśmy Sackville Street, podziwiając kolumnę Nelsona.

– Co to za budynek po lewej stronie? – spytałam. Z portykiem w romańskim stylu, kolumnami i rzeźbami wyglądał jak świątynia.

– Tamten? To tylko poczta.

Westchnęłam.

– Zawsze wiedziałam, że Dublin jest pięknym miastem, ale to, co widzę, przerosło moje oczekiwania. Nawet poczta przypomina świątynię.

– Będzie tu jeszcze ładniej, kiedy w końcu wypędzimy Anglików i sami

zaczniemy rządzić miastem – skwitowała Alice, spoglądając na wszelki wypadek przez ramię, czy przypadkiem nikt nas nie podsłuchuje.

Dotarłyśmy do teatru Ambassador, gdzie udało nam się kupić bilety.

– To miejsca na jaskółce, ale lepszy rydz niż nic. Warto zobaczyć, jak tworzy się historia – powiedział kasjer.

– Zgadza się – odparłam i zapłaciłam za bilet. Nie kosztował wiele.

– Na jaskółce? – szepnęłam do Alice, kiedy wyszłyśmy z teatru. – Co to znaczy?

Spojrzała na mnie zdziwiona.

– Miejsca na samej górze, na balkonach – odparła. – Nie używacie takiego określenia w Ameryce?

Nie chciałam się przyznawać, że nie chodzę tam zbyt często do teatru.

– Nie słyszałam – powiedziałam tylko.

– Muszę się zbierać – oświadczyła Alice. – Do zobaczenia jutro w teatrze. My studenci zawsze siadamy w ostatnich rzędach. Tak – wyjaśniła, zauważywszy moje zaskoczenie. – Chodzę na zajęcia do College University. Mają tam trochę szersze horyzonty niż w Trinity i przyjmują kobiety. Do jutra, Mary.

Rozstałyśmy się. Czułam się trochę winna, że podałam jej nieprawdziwe imię i nazwisko. Była taka miła! Ale sama przecież wspomniała, że w stowarzyszeniu Cór Irlandii często używa się pseudonimów.

Idąc w stronę Sackville Street, zobaczyłam znajomą postać.

– Inspektorze Harris – przywitałam się. – Co pana tu sprowadza?

Skłonił się lekko i dotknął kapelusza.

– Dzień dobry, panno Murphy. Cieszę się, że znajduję panią w dobrej formie. Mieszkam i pracuję w Dublinie. Po prostu wróciłem do domu.

– Czy to znaczy, że już nie zajmuje się pan sprawą morderstwa Rose McCreedy?

– Nie do końca – odparł. – Wytypowałem podejrzanych, a moi ludzie działają teraz na statku. Mają zebrać jak najwięcej wiadomości o stewardach.

– Wciąż pan utrzymuje, że to jeden z nich jest mordercą?

– A pani uważa inaczej?

– Ja nie wiem, co o tym wszystkim sądzić – powiedziałam. – Zawsze uważałam, że ktoś wziął Rose za pannę Sheehan i zabił ją przez pomyłkę. Ale teraz już sama nie wiem.

– Czy coś się stało?

Przypatrywał mi się uważnie.

– Jedynie tyle, że pan trwa przy swoim, a to pan jest przecież specjalistą – odparłam wymijająco.

– Gdzie się pani zatrzymała, panno Murphy?

– W hotelu Shelbourne.

– Widzę, że obraca się pani w bogatych kręgach.

– Nie ja wybrałam ten hotel. Ktoś go dla mnie zarezerwował.

– Rozumiem. – Inspektor znów dotknął kapelusza. – Pani pracodawca zapewne – dodał, stawiając akcent na słowie „pracodawca". – Muszę lecieć. Bądźmy w kontakcie, panno Murphy. I proszę mnie informować, jak tylko pojawi się coś, co uzna pani za istotne dla naszego śledztwa. Zawsze może pani zostawić mi wiadomość na posterunku.

Inspektor odszedł, a ja poczułam, jak nogi się pode mną uginają. Przecież on mnie musiał śledzić! Nie uwierzę, że było inaczej. Sama myśl o tych wszystkich kufrach, które zalegają w moim pokoju, sprawiła, że oblał mnie zimny pot. Ktoś powinien je natychmiast stamtąd zabrać. Nie obchodzi mnie jak; po prostu muszą zniknąć. Nigdy w życiu nie chcę mieć już do czynienia z panną Sheehan – pomyślałam rozgoryczona.

Przeszłam na drugą stronę ulicy, wstąpiłam na pocztę i szybko wysłałam telegram adresowany do Oony Sheehan zamieszkałej w Nowym Jorku:

Bagaż czeka. Proszę go odebrać. Pilne! M. Murphy

Tych kilka słów kosztowało mnie fortunę. Dowiedziałam się, że moja wiadomość trafi za ocean przez specjalny kabel i dlatego to jest takie drogie.

Trudno – pomyślałam. Telegram wysłano, a ja wyszłam z budynku poczty z potwierdzeniem nadania. Przynajmniej mam dowód na to, że kufry nie są moje i że próbowałam się skontaktować z ich właścicielką. Miejmy nadzieję, że wkrótce ktoś zabierze je z hotelu. Wprost nie mogłam się tego doczekać!

19

W drodze powrotnej mijałam księgarnię na Grafton Street. Moją uwagę zwróciło ogłoszenie przyklejone w witrynie:

WIECZÓR POEZJI. ZAPRASZAMY W SOBOTĘ WIECZOREM

Pan Desmond O'Connor wyrecytuje najnowsze wiersze z tomu *Wyspa Aran*
i opowie o swojej podróży na Dziki Zachód

Sobotnie spotkanie miało się odbyć na Duke Street, a zapraszała na nie Liga Gaelicka. Jeśli jutro w teatrze nie dowiem się niczego o Terrensie Moynihanie, może powinnam w sobotę udać się na Duke Street?

Kolację zjadłam w hotelu, a następnie wróciłam do pokoju i slalomem pomiędzy kuframi dotarłam do łóżka. Nie mogłam zasnąć – świadomość tego, co znajduje się obok, nie dawała mi spokoju. Miotały mną sprzeczne emocje – byłam wściekła na Oonę Sheehan za to, że tak bezczelnie mnie wykorzystała, i na samą siebie, że dałam się oszukać i owinąć wokół palca. Te komplementy! Te słodkie słówka, że niby jestem do niej uderzająco podobna! Jak mogłam dać się nabrać?! Leżąc na łóżku i wsłuchując się w odgłosy obcego miasta, poczułam się bardzo samotna i nieszczęśliwa. Zaczęłam się zastanawiać, do czego tęsknię i gdzie jest mój dom. Nie tęskniłam do hrabstwa Mayo, bo wspomnienia związane z moją rodzinną wioską nie były przyjemne. To miejsce kojarzyło mi się z nudą i pragnieniem lepszego życia. Tęskniłam za przyjaciółmi w Nowym Jorku i muszę przyznać – również za Danielem. Przyszło mi do głowy, że może i on teraz o mnie myśli... Niepewny jutra, opuszczony przez przyjaciół. Nagle poczułam ogromny przypływ uczuć do Daniela. Skarciłam w myślach samą siebie i pożałowałam, że ostatnimi czasy nie okazywałam mu dość serca. Chciałam być niezależna i samodzielna, no

a zwłaszcza ukarać go za wszystko, przez co musiałam przejść. Dlatego wtedy, gdy najbardziej mnie potrzebował, byłam zimna i nieczuła. Wstałam i skreśliłam parę ciepłych słów, a nawet posunęłam się do tego, by na końcu napisać: *Twoja Molly*.

Następnie wróciłam do łóżka, zasnęłam i obudziłam się dopiero, gdy słońce zaczęło zaglądać w moje okna. Kolejny dzień spędziłam bardzo przyjemnie, po prostu zwiedzając miasto. Za każdym razem, kiedy wracałam do pokoju, kufry stały jak gdyby nigdy nic. Zastanawiałam się, ile czasu musi minąć, by Oona Sheehan zareagowała na telegram, a potem przyszło mi do głowy, że być może osoba, która miała odebrać bagaże, została schwytana przez policję i siedzi teraz w więzieniu. Zupełnie nie wiedziałam, co zrobię, jeśli się okaże, że powinnam już wyjeżdżać z Irlandii, a te nieszczęsne kufry wciąż będą stały w moim pokoju. Chyba poinformuję inspektora Harrisa, który wydaje się dość sensownym człowiekiem, i powiem mu całą prawdę. Nie będę miała wyboru – pomyślałam.

Wieczorem, gdy szykowałam się do wyjścia, strasznie mnie kusiło, by włożyć jedną z sukien balowych Oony. Po chwili uświadomiłam sobie jednak, że przecież to zwykły teatr i nie powinnam się rzucać w oczy. W tej sytuacji znów wybrałam pasiasty kostium, który, niestety, był już nieco znoszony. Spięłam włosy, ozdobiłam fryzurę małym piórkiem i wyszłam. Było wyjątkowo chłodno i wietrznie. Lekki szal nie chronił mnie przed zimnym powiewem od Morza Północnego. Kiedy w końcu dotarłam na miejsce, mój strój i włosy były w nieładzie.

Przed teatrem czekał niezły tłum. Jakoś przedarłam się między ludźmi i po schodach wspięłam się wysoko na swoje miejsce. Kiedy tylko usiadłam, zobaczyłam, że z balkonu naprzeciwko macha do mnie Alice. Miałam nadzieję, że uda mi się podpytać moich sąsiadów o życie kulturalne w Dublinie i o Terrence'a Moynihana, ale okazało się, że z jednej strony mam dwie tęgie damy, które od samego początku obserwowały widownię przez lornetki, komentując i plotkując, a z drugiej – zakochaną parę, która zupełnie nie zwracała uwagi na to, co dzieje się dookoła. Nie miałam serca im przeszkadzać.

Podczas przerwy znalazłam Alice.

– Jak ci się podoba? – zagaiła.

– Maud Gonne jest wspaniała – odparłam. – Nie dziwię się, że pan Yeats jest w niej po uszy zakochany. Te oczy!

– A język? – zapytała Alice spokojnie. – Czyż to nie jest cudowne?! Irlandzka sztuka o Irlandczykach. Nie o jakichś innych ludziach, tylko o nas samych. Przecież to jest zupełna nowość, coś cudownego!

– Oczywiście – odparłam pospiesznie, w duchu myśląc, że nie jestem ani patriotką, ani znawczynią kultury. Szczerze mówiąc, sztuka wydawała mi się pełna dłużyzn.

– Wybierasz się potem na przyjęcie? – zapytała Alice.

– Na przyjęcie?

– W restauracji naprzeciwko będzie spotkanie z artystami.

– Ale ja nie jestem zaproszona.

Alice się zaśmiała.

– To nie ma znaczenia. Każdy może przyjść. Drzwi otwarte, wino się będzie lało strumieniami. Tak jest na każdym artystycznym przyjęciu. Przyjdzie połowa miasta.

– W takim razie nie może mnie tam zabraknąć – stwierdziłam.

Jeśli Terrence Moynihan wyrobił sobie jakąkolwiek reputację w tutejszych kręgach, dziś wieczorem będę o nim wiedzieć wszystko!

Sztuka zakończyła się ogromnym aplauzem. Pan Yeats został wezwany na scenę. Kiedy go zobaczyłam, pomyślałam, że wygląda jak stuprocentowy poeta – czarny kosmyk włosów niesfornie opadał mu na czoło. Żarliwie ucałował dłoń panny Maud Gonne. Widownia jęknęła w zachwycie.

– Gorzko! Gorzko! – zawołał ktoś z balkonu.

Yeats pominął to milczeniem, wziął pannę Gonne pod rękę i elegancko sprowadził ze sceny.

Tłum zszedł po schodach, a potem wysypał się na zewnątrz. Nie trzeba było

pytać, gdzie odbywa się przyjęcie. Wszyscy jak na komendę przeszli na drugą stronę ulicy i wypełnili jasno oświetlony bar. Alice natychmiast znalazła znajomych, a ja stanęłam z boku, obserwując zgromadzenie. W pewnym momencie usłyszałam znajomy głos. To była ta niezwykła Grania z hotelu, otoczona wianuszkiem mężczyzn.

– Czy podobała się pani sztuka? – zapytał ktoś znienacka tuż przy moim uchu.

Odwróciłam się i ujrzałam młodego mężczyznę o poważnym wyglądzie. Był dość niedbale ubrany; wyglądał na studenta.

– Uważam, że była interesująca – powiedziałam ostrożnie. – Ale potrzebuję jeszcze chwili, żeby się zastanowić. A jakie jest pana zdanie?

– Uważam, że pan Yeats to fantastyczny twórca. Ja też jestem poetą, więc wiem, co mówię – odparł młodzieniec z błyskiem w oku i wyciągnął rękę w moją stronę. – Joyce.

– To przecież imię kobiece – powiedziałam ze zdziwieniem.

– Tak mam na nazwisko. – Roześmiał się. – A na imię James. Zawsze podaję najpierw nazwisko, bo uważam, że nie można być po imieniu z młodymi damami, których człowiek nie zna.

Rozbawił mnie!

– Dobrze powiedziane, panie Joyce – odparłam. – Ja nazywam się... – tu jak zwykle zawahałam się przez chwilę – Mary Delaney. Przyjechałam do Dublina z Nowego Jorku. Jest pan studentem?

– Owszem. Kończę University College, tutaj u nas. I trochę piszę, panno Delaney. Mam nadzieję, że kiedyś świat o mnie usłyszy.

– James, tu jesteś – usłyszeliśmy nagle i zanim się obejrzałam, Jamesa nie było. Nie zdążyłam go nawet zapytać, czy kojarzy Terrence'a Moynihana.

Przyniesiono tace z kieliszkami wina; postanowiłam się poczęstować. Przynajmniej mogłam zająć czymś ręce. Pozostali goście dobrze się chyba znali, bo wszyscy zajęli się wymianą myśli. Przysunęłam się bliżej Granii i jej towarzystwa, bezczelnie wsłuchując się w każde słowo.

– Czy to wschodząca gwiazda naszego teatru? – ktoś zapytał.

– Pisze pięknie – odparł ktoś inny. – Ale nie ma takiego talentu jak Oscar Wilde albo Bernard Shaw, już nawet nie wspominając o Ryanie O'Hare.

Nadstawiłam ucha. Jak mogłam zapomnieć, że Ryan też pochodzi z Irlandii? Pamiętałam tylko, że dużą popularnością cieszył się w Anglii, gdzie jego sztuki były na indeksie, bo wyśmiewał w nich królową Wiktorię i króla Alberta.

– A Cullen? – wtrąciła pierwsza z kobiet. – Gdyby tylko mógł pisać, wszystkich by ich rozłożył na łopatki. Szkoda, że nie ma go z nami.

– Kim jest Cullen? – zapytałam chłopaka, który stał obok mnie.

Popatrzył zdziwiony.

– Cullen Quinlan! Nie zna go pani? Jakiś czas temu było o nim bardzo głośno. Niestety, Bractwo go wciągnęło.

– Bractwo?

– Republikańskie. Tajna organizacja walcząca na rzecz niepodległości Irlandii. Jak się pani uchowała, skoro i o Bractwie nic pani nie wie?

– Może i nie wiem nic o Bractwie, ale za to osobiście znam Ryana O'Hare – odparłam, uśmiechając się przebiegle.

– Serio? – rozjaśnił się chłopak. – Co u niego słychać?

– Jako tako. Czasem lepiej, czasem gorzej. Szczerze powiedziawszy, uważam, że publiczność w Nowym Jorku nie docenia jego przewrotnego humoru. Oni wolą grzeczne sztuki i musicale.

– Co racja, to racja – odparł młodzieniec. – Nawet w Londynie było mu ciężko – dodał i zwrócił się do reszty towarzystwa: – Ta młoda dama mieszka w Nowym Jorku i zna Ryana – oznajmił, a wszyscy spojrzeli na mnie z zainteresowaniem.

Ni stąd, ni zowąd znalazłam się w centrum uwagi.

– Nasz kochany Ryan! Co u niego słychać? – zapytała Grania swoim niskim, eleganckim głosem.

– Odnosi sukcesy – stwierdziłam. – Ale szczęście nie zawsze mu sprzyja. Podczas premiery jednej sztuki zastrzelono prezydenta McKinleya. Potem ktoś ukradł mu pomysł na dramat, do czego, obawiam się, doszło trochę z winy

Ryana. Nie potrafi trzymać języka za zębami.

Swoją uwagą wzbudziłam powszechną wesołość.

– Proszę mu powiedzieć, że bardzo za nim tęsknimy – poprosiła Grania i dodała: – Niech mu pani powie, że Grania prosi, by wrócił do domu. Grania Hyde-Borne.

– Dobrze, przekażę – obiecałam.

– Wszyscy wspaniali artyści nas opuścili – oznajmił nagle jakiś mężczyzna, wzdychając. – Oscar, Ryan, Cullen. Tacy utalentowani i tacy piękni.

– Nie mów tego na głos, Tristanie, bo jeszcze ktoś usłyszy i też trafisz do więzienia.

– Taki wstyd! – dodała starsza kobieta. – Smutny koniec tego wspaniałego młodzieńca.

– Wydaje się, że niektóre gwiazdy ledwie zabłysną, a już spadają – skonstatował mężczyzna o imieniu Tristan. – Oscar i Cullen. Kto wie, co by jeszcze mogli napisać jako dojrzali artyści, gdyby pozwolono im dalej tworzyć.

Zwróciłam się do mojego sąsiada, który tak chętnie odpowiadał na moje pytania, i zagadnęłam szeptem:

– Co się stało z tym Cullenem?

– Tak jak mówiłem, za bardzo zaangażował się w Bractwo. Wysadzili kilka budynków i Cullen został oskarżony o planowanie zamachów, chociaż uważam, że nie miał z tym nic wspólnego. Ale ponieważ miał znane nazwisko, zrobili z niego kozła ofiarnego. Wsadzili go do więzienia i od tej pory cisza. Nawet nie wiemy, czy jeszcze żyje. Chodzą słuchy, że umarł w więzieniu na tyfus. Wie pani, jakie tam panują warunki...

Przytaknęłam. Wiedziałam bardzo dobrze, przecież odwiedzałam Daniela w więzieniu. I być może jeszcze będę musiała to robić – pomyślałam. Przecież wystarczy, że trafi się nieprzychylny sędzia, i Daniel znów znajdzie się za kratkami. Oblał mnie pot, ale upomniałam sama siebie, że to nie jest czas na osobiste zmartwienia. Tu, w Dublinie, mam przecież inne sprawy na głowie.

– Mam do pana pytanie – zwróciłam się do młodego człowieka. – Czy zna

pan poetę, który nazywa się Terrence Moynihan?

Skrzywił się, zamyślił, a potem odparł:

– Nie słyszałem tego nazwiska. Trzeba zapytać Granię. Ona zna wszystkich. Graniu! Czy nazwisko Moynihan coś ci mówi?

– Tak... – odparła po chwili. – Terrence Moynihan. Poeta, prawda? Nie poznałam go nigdy osobiście, ale dawno temu ktoś mi o nim opowiadał.

Czyli został jednak poetą, nie dramaturgiem. Odwiedzę w sobotę wieczorem Ligę Gaelicką i dowiem się więcej – postanowiłam. Miałam przeczucie, że Terrence – skoro Grania Hyde-Borne mało o nim wie – nigdy nie należał do elity literackiej Dublina.

Wokół Granii zebrało się więcej osób i nagle wypadłam z kręgu. Zaczęłam szukać wzrokiem Alice, ale nigdzie jej nie było. Uznałam, że nic tu po mnie. Na dodatek zrobiło się strasznie głośno. Kiedy już zbliżałam się do wyjścia, niespodziewanie zatrzymał mnie wysoki mężczyzna we fraku i złapał za rękę.

– Najmocniej panią przepraszam, ale my się przecież znamy – powiedział.

Od razu go poznałam. To pan Fitzpatrick, mój znajomy ze statku, z czasów gdy grałam rolę Oony Sheehan. Przyglądał mi się uważnie i chyba nie potrafił mnie zidentyfikować. Bez peruki i makijażu byłam inną osobą.

– Naprawdę? – zapytałam niewinnie. – Ja pana nie pamiętam.

– Mógłbym przysiąc, że skądś panią znam. Czy mieszka pani w Dublinie?

– Nie. Jestem tu z wizytą. Mieszkam w Nowym Jorku.

– Naprawdę?! To wszystko jasne. Też mieszkam w Ameryce. Pewnie widzieliśmy się tam w teatrze.

– Bardzo możliwe – odparłam z ulgą. – Jaki świat jest mały! Może rzeczywiście wpadliśmy na siebie przy okazji jakiejś premiery.

– Wierzy pani w zbiegi okoliczności? Ja bardziej wierzę w przeznaczenie. Spotkaliśmy się po dwóch stronach Atlantyku. To musi coś oznaczać.

– A może jednak bierze mnie pan za kogoś innego – zasugerowałam. – Wszyscy mi mówią, że wyglądam jak typowa Irlandka. Jestem przekonana, że w każdym większym mieście na świecie mieszkają dziewczyny, które są do siebie bardzo podobnie.

– Nie. Nie ma pani racji – upierał się przy swoim. – Wspaniała sztuka, prawda? Choć, jak na mój gust, trochę przeintelektualizowana, ja wolę musicale. Widziała pani Oonę Sheehan w ostatnim przedstawieniu? Była rewelacyjna! Wyleciał mi teraz z głowy tytuł...

Byłam coraz mniej zadowolona z przebiegu tej rozmowy. Pomyślałam nawet, że może był obecny podczas przesłuchania w sądzie i wspominając teraz Oonę Sheehan, chciał sprawdzić, jak zareaguję. Dlaczego nie powiedział tego wprost? Zdecydowałam, że najlepiej będzie się pożegnać.

– Przepraszam, panie...

– Fitzpatrick – odparł, pochylając głowę.

– Panie Fitzpatrick. Czeka na mnie dorożka. Muszę wracać do domu, do rodziny – dokończyłam, kłamiąc, ale nie chciałam się przyznać, że mieszkam sama w hotelu.

– Proszę poczekać! Nie wiem, kim pani jest!

– Nazywam się Delaney. Mary Delaney.

– Serio?! – zapytał, przechylając głowę w jedną stronę. – Ładne nazwisko.

– Nie rozumiem, co w nim jest specjalnego. Nazwisko jak nazwisko. Do widzenia.

Odwróciłam się. Bałam się, że będzie chciał za mną biec, ale na szczęście w drzwiach pojawiła się Maud Gonne we własnej osobie. Otoczona wianuszkiem wielbicieli, wkroczyła do lokalu wsparta na ramieniu pana Yeatsa. Skorzystałam z okazji i wymknęłam się niezauważona. Dorożką bezpiecznie dotarłam do hotelu.

20

W środku nocy rozszalała się burza. Deszcz bębnił o szyby, a w kominie huczał wiatr. Przedzierał się przez szpary i trzepotał w zasłonach. Kiepsko spałam. Prawdopodobnie również dlatego, że ostatnie dni nie były przyjemne – samotność w obcym mieście, morderstwo na statku, wreszcie świadomość, że kufry w moim pokoju są pełne nielegalnej broni. W takich okolicznościach trudno o dobry sen. W głowie kłębiły mi się myśli, a nad ranem, gdy wreszcie zasnęłam, męczyły mnie koszmary.

Kiedy się obudziłam, niebo znów było szare. Wiatr ciął deszczem prawie poziomo. Na ulicy mleczarz kulił się z zimna, a koń smutno zwiesił łeb. W taką pogodę człowiek marzy jedynie o kubku herbaty, ciepłym kocu i słodkim placku na podwieczorek. Ponieważ nie miałam żadnych pilnych zajęć, po śniadaniu znalazłam w holu przytulne miejsce i usiadłam w fotelu, zastanawiając się, jaki przyjąć plan działania. Jeśli w Lidze Gaelickiej też nic nie będą wiedzieć o Terrensie Moynihanie, co wtedy? Muszę ustalić, czy jeszcze mieszka w Dublinie i czy wciąż jest z Mary Ann. Wielce prawdopodobne, że uciekli za granicę, bojąc się zemsty tego potwora Kelly'ego. Równie dobrze mogą mieszkać w Londynie, Bostonie albo nawet w Sydney. Mężczyzna, który siedział w fotelu obok, okropnie szeleścił gazetą. Najpierw mnie to irytowało, ale potem wpadłam na świetny pomysł. Dam ogłoszenie w dublińskiej prasie! Szkoda, że wcześniej nie przyszło mi to do głowy. W wielkim świecie prasa stała się już powszechnym zjawiskiem, o jakim niewiele słyszało się w moim Ballykillin. Ojciec pewnie przeglądał czasem gazetę w lokalnym barze, ale na pewno nigdy nie przynosił jej do domu. A szkoda! Może wtedy wcześniej dowiedziałabym się na przykład o Cullenie Quinlanie albo o Bractwie Republikańskim.

Wyjęłam swój niewielki notes i napisałam wiadomość. *Poszukuję kontaktu z poetą Terrence'em Moynihanem i panią Mary Ann Burke, która obecnie*

może nosić inne nazwisko. Osoby, które mogą mi udzielić takich informacji, są proszone o zostawienie wiadomości. Skrytka pocztowa...

Nie chciało mi się wychodzić na ten ziąb. Szczerze powiedziawszy, wierzyłam, że pogoda zaraz się zmieni. W Irlandii to norma, po prostu nie wolno się przywiązywać do tego, co za oknem, dłużej niż przez godzinę. I rzeczywiście po południu z ulewy zrobiła się mżawka, więc postanowiłam udać się na Sackville Street, gdzie mieściło się biuro „Irish Times". Zamówiłam ogłoszenie. Przez moment rozważałam, czy nie dopisać słowa „nagroda", ale w ostatniej chwili zmieniłam zdanie. Taka zachęta mogłaby sprowokować zbyt wiele nieuczciwych osób.

W drodze powrotnej wydawało mi się, że ktoś mnie śledzi. Rozejrzałam się dookoła, ale nikogo nie zauważyłam. Ulica była prawie pusta. Mimo to przyspieszyłam kroku. Nie byłam nawet w połowie drogi, kiedy znów lunął deszcz. Zmarznięta i przemoczona, dojrzałam po jakimś czasie wieże kościoła St. Stephen's Green. Było już prawie ciemno. Zapomniałam, że w Irlandii jesienią tak wcześnie zapada zmrok. Hotel jawił się jak cicha przystań na horyzoncie. Kiedy wreszcie przekroczyłam jego próg, stanęłam na chwilę w holu, ciesząc się ciepłem i światłem, a portierzy pomogli mi zdjąć mokre palto i kapelusz.

– Czemu nie wzięła pani parasolki? – zapytał jeden z nich. – Proszę się szybko napić herbaty, bo jeszcze dostanie pani zapalenia płuc.

Herbata wydała mi się idealną propozycją, kiedy więc jeden z chłopców odniósł moje przemoczone okrycia do pokoju, pozwoliłam się zaprowadzić do niewielkiego stolika. Skończyłam właśnie pierwszą filiżankę i napełniałam drugą, gdy się zorientowałam, że ktoś nade mną stoi. Znów ten nieszczęsny Fitzpatrick! Wpatrywał się we mnie natrętnie.

– Panno Delaney! Nawet pani nie wie, jak się cieszę, że panią widzę! Pytałem w całym Dublinie o panią i o hotel, w którym mogła się pani zatrzymać, ale nikt nie słyszał tu o pannie Mary Delaney. Już traciłem nadzieję, że kiedykolwiek panią jeszcze zobaczę, a tu proszę! Jak gdyby nigdy nic pije pani herbatę w Shelbourne.

Zupełnie nie wiem, dlaczego ten człowiek wydawał mi się antypatyczny.

Czułam się nieswojo w jego towarzystwie. Wciąż chodziła mi po głowie myśl, że wie, kim jestem, i tylko bawi się ze mną w kotka i myszkę. Co z tego wyniknie?

Bez pytania przysunął sobie krzesło i skinął na kelnera, prosząc o drugi dzbanek herbaty.

– Proszę opowiadać, podoba się pani w Dublinie? Jest tu pani po raz pierwszy? Nie, to niemożliwe. Przecież mówiła pani, że tu mieszka jej rodzina.

– Jestem tu pierwszy raz – odparłam. – Pochodzę z... – Już miałam wymienić hrabstwo Mayo, ale szybko się zreflektowałam. Nie powinnam zbyt dużo o sobie mówić temu człowiekowi. A nuż zna Justina Hartleya. – ...z Galway, ale moja ciotka i kuzynostwo tu mieszkają. Dublin jest przepięknym miastem, a i owszem.

Skinął głową.

– Uwielbiam tu przyjeżdżać. Teraz mieszkam w Stanach, ale moje życie to wyścigi konne. Każde dziecko wie, że w Irlandii chowa się najlepsze konie. Dlatego właśnie muszę tu zajrzeć od czasu do czasu.

– Ma pan tu rodzinę, panie Fitzpatrick? – zapytałam.

– Już nie. Wszyscy wyjechali do Ameryki. Ale znam to miasto jak własną kieszeń i będę zaszczycony, mogąc panią po nim oprowadzić, kiedy tylko pogoda się poprawi. W przyszłym tygodniu są wyścigi. Zechce pani wybrać się ze mną? Przednia zabawa, a jeśli jeden z moich faworytów wygra, będzie jeszcze lepsza. Co pani na to, panno Delaney?

– To bardzo miła propozycja, panie Fitzpatrick, ale nie bardzo rozumiem, dlaczego poświęca mi pan tyle uwagi.

Oblał się rumieńcem.

– Czy to takie dziwne, że okazuję zainteresowanie najładniejszej dziewczynie w mieście? Proszę posłuchać... A niech to! Przecież pani też jest z dala od domu. Człowieka dopada samotność. Dużo przyjemniej byłoby oglądać wyścigi w miłym towarzystwie. Sprawi mi pani wielką przyjemność, zgadzając się na moją propozycję.

Zgodzić się? – rozmyślałam. Nie ma powodu, by podejrzewać go o cokolwiek. Może rzeczywiście wzbudziłam jego zainteresowanie, nie jako Oona Sheehan, ale jako Molly Murphy. Zdobyłam się na grzeczny uśmiech.

– To bardzo miło z pana strony, panie Fitzpatrick. Przyjmuję zaproszenie. Bardzo chętnie obejrzę z panem wyścigi.

– W przyszły wtorek? Gdzie mam po panią przyjść?

– Spotkajmy się tutaj. Tak będzie najprościej.

– Dziesiąta? I módlmy się o dobrą pogodę.

– Oczywiście.

Zauważyłam, że boy hotelowy idzie w moją stronę. W obawie, że zwróci się do mnie za chwilę per „panno Murphy", czym prędzej wstałam i podeszłam do niego.

– Chciałem tylko powiedzieć, że ktoś przyszedł po te kufry, co są w pani pokoju – oznajmił. – Weszli już na górę, ale pomyślałem sobie, że wolałaby pani wiedzieć.

– Dziękuję. Pójdę sprawdzić, czy przypadkiem nie zabierają czegoś, co przyda mi się w podróży powrotnej.– Po czym zwróciłam się do Fitzpatricka. – Przepraszam najmocniej, ale muszę szybko coś załatwić.

– Może mogę pani pomóc?

– Nie, dziękuję. Do zobaczenia we wtorek.

Nie poczekawszy na odpowiedź, odeszłam i skierowałam się schodami na górę.

Kilka kufrów już zniknęło. Dwóch mężczyzn wyciągało właśnie kolejny, ten najcięższy. Na mój widok przerwali pracę.

– Przepraszamy, że niepokoimy, panienko, ale przysłano nas tu po te bagaże – powiedział jeden z nich. Nie wyglądał sympatycznie. – Zaraz kończymy.

Miał twarz boksera i dłonie niczym bochny chleba. Nie chciałabym go spotkać w ciemnej uliczce. Drugi wyglądał mi trochę na głupka.

Zebrałam się w sobie, starając się zachowywać spokojnie i rzeczowo.

– W porządku. Cieszę się, że te kufry znikną z mojego pokoju. Zajmowały

prawie całą podłogę, co nie było przyjemne – powiedziałam. Poczekałam, aż wysuną kolejny, i zapytałam ostrożnie: – To dla kogo pracujecie? Kto was tu przysłał?

– Dla firmy przewozowej, proszę pani. Dostaliśmy instrukcje, żeby tu przyjechać. Rozumiem, że o ten właśnie pokój chodziło.

– Oczywiście – odparłam. – A dokąd to teraz zawieziecie?

– Do magazynu, panienko.

– A potem?

Spojrzał zdziwiony.

– Nie mam pojęcia. Kazano mi przyjechać i zabrać kufry. Wykonuję swoją pracę. Przepraszam, może pani przejść? To jest cholernie ciężkie.

Wyszli. Podeszłam do okna i wyjrzałam. Ani śladu jakiegokolwiek wozu. Ni z tego, ni z owego postanowiłam, że pójdę za nimi. Wybiegłam na korytarz, ale tragarze zniknęli. Prawdopodobnie kazano im skorzystać z jakichś tylnych schodów i z wyjścia dla pracowników. Chwyciłam szal i zbiegłam na dół. Stanęłam przed wejściem, rozglądając się dookoła. Cisza i spokój. Na dodatek zaczęło padać. Zarzuciłam szal na głowę i zeszłam na chodnik.

– Czy zamówić dla pani powóz? – zapytał portier.

– Nie, nie trzeba.

Poszłam do końca ulicy i wyjrzałam za róg. Dopiero tam stał pod latarnią wóz konny. Dwóch mężczyzn z wielkim trudem podnosiło jeden z kufrów. Schowałam się, oparta o ścianę. Jeśli rzeczywiście wiozą je tylko do magazynu, nie ma sensu śledzić wozu – pomyślałam. Poza tym chyba nie muszę o wszystkim wiedzieć. Po co mi to? Kufrów już nie ma w moim pokoju, mogę wreszcie poczuć się bezpiecznie. Nie będę się pakować w kolejne tarapaty – postanowiłam.

Już miałam odejść, kiedy z wozu zeskoczył trzeci mężczyzna.

– To już wszystko? – zapytał.

Na dźwięk jego głosu musiałam się zatrzymać i obejrzeć.

– Jonnie z Donaldem niosą jeszcze jeden – odparł tragarz.

– Dobrze, w takim razie zaraz znikamy – powiedział chłopak, rozglądając się niespokojnie.

Kiedy się wspinał na miejsce woźnicy, światło lampy padło na jego rudą czuprynę. Chyba aż krzyknęłam, bo odwrócił się w moją stronę i nasze oczy na moment się spotkały. Wydało mi się, że widzę ducha. To był mój brat!

21

– Liam! – zawołałam i pobiegłam do wozu.

Obrzucił mnie przerażonym spojrzeniem, odwrócił się na pięcie i zaczął uciekać co sił w nogach. Ruszyłam za nim. Echo niosło tupot naszych stóp. Mój brat biegł tak szybko, że gwoździe w jego butach aż krzesały iskry. Nie zostałam w tyle. Jako mała dziewczynka czasem wygrywałam wyścigi z chłopcami. Wówczas jednak zawsze biegłam boso, a lekkie bawełniane sukienki zapewniały mi swobodę ruchów. Teraz miałam na sobie strój damy – wąską spódnicę, halkę i eleganckie pantofle. Ściśnięta talia utrudniała oddychanie.

– Liam, na Boga, zwolnij, proszę, i porozmawiaj z siostrą – wydusiłam z siebie w końcu, ale na darmo. Liam się nie zatrzymał.

Nie miałam pojęcia, dokąd zmierzamy. Brakowało mi sił. Kiedy dotarliśmy do szerokiej ulicy, skorzystał z okazji i przebiegł tuż przed powozem. Ja nie zdążyłam i musiałam się na chwilę zatrzymać, by przepuścić pojazd. Kiedy wreszcie znalazłam się po drugiej stronie, Liama nie było. Przepadł jak kamień w wodę. Przede mną rozciągał się labirynt wąskich uliczek. Z pobliskiego baru dobiegał głośny śmiech. Z rynsztoka pod stopami okropnie cuchnęło. Ruszyłam przed siebie ciemnym zaułkiem, po chwili jednak zatrzymałam się na rozwidleniu. Prawie nic nie widziałam w ciemności. Nie mam szans – pomyślałam. Stanęłam, zmęczona i zła, a pot i deszcz spływały mi po twarzy.

Po chwili do mnie dotarło, jak nierozsądnie się zachowałam. Trzeba było po prostu śledzić wóz i sprawdzić, dokąd pojedzie. Mimo zmęczenia i bólu nóg pobiegłam szybko z powrotem na St. Stephen’s Green. Po tragarzach i kufrach nie było śladu. Obeszłam wszystkie ulice dookoła. Zatrzymywałam przechodniów, pytając, czy nie widzieli przypadkiem załadowanego wozu, ale

nikt nie był w stanie mi pomóc.

Ociągając się, wróciłam do hotelu i do pokoju, który nagle wydał się bardzo przestronny. Przygotowałam sobie kąpiel i usiadłam w wannie, starając się uspokoić galopujące myśli. Co, u licha, mój młodszy brat robi w Dublinie? Ostatni raz, kiedy go widziałam, był chudym piętnastolatkiem, który pomagał ojcu na roli albo wykonywał drobne prace u Hartleyów. Po co na Boga przyjechał do miasta? Chyba nie jest tu sam – rozmyślałam. Bliżej domu, w Galway albo Limerick spokojnie znalazłby pracę. Może jest zamieszany w jakąś nielegalną działalność? Gdyby bowiem pracował jako zwykły tragarz, nie uciekałby przede mną. Przyszło mi nawet do głowy, że może ojciec wysłał go do Dublina i kazał mnie odszukać. A może zrobił to sam Hartley? Ale wtedy Liam tym bardziej powinien był się zatrzymać.

Czy mogłam się pomylić? Odkąd widziałam go po raz ostatni, minęły prawie dwa lata. Mój brat ma nie piętnaście, ale siedemnaście lat i jest już właściwie mężczyzną. Na pewno się zmienił. Może goniłam za kimś zupełnie obcym? Ale nie. Spojrzałam mu w oczy i widziałam, że i on mnie rozpoznał.

Jutro go znajdę – postanowiłam. Nie spocznę, dopóki nie znajdę Liama!

Rano zapytałam w recepcji o firmę przewozową, która zabrała wczoraj moje kufry. Powiedziałam, że czegoś jeszcze od nich potrzebuję, a zapomniałam, jak ta firma się nazywa. Niestety, w recepcji nikt nie potrafił mi pomóc, ale dostałam dwa adresy jakichś innych tragarzy. Żaden nic nie wiedział o wczorajszym transporcie, ale obydwaj dali mi kolejne kontakty do konkurencji. Po południu nie byłam mądrzejsza, za to bardzo bolały mnie nogi.

Wróciłam do hotelu, posiliłam się porządną porcją pieczonego śledzia w sosie musztardowym i ciastkiem z dżemem i śmietanką na deser, a następnie znów wybrałam się na rekonesans, pokonując dokładnie tę samą trasę co poprzedniego wieczoru. Rozpoznałam ulicę, przy której musiałam się zatrzymać, by przepuścić powóz. Po drugiej stronie był wielki kościół, znacznie większy niż inne. Tabliczka głosiła, że to katedra Świętego Pawła. Po co tyle kościołów w jednym mieście? – pomyślałam.

Na tyłach znajdował się labirynt wąskich uliczek. Wkrótce okazało się, że zeszłej nocy instynkt mnie nie mylił. Okolica była okropna. Ruszyłam przed

siebie brudnymi zaułkami. Niektóre kamienice musiały być kiedyś bardzo eleganckie, ale teraz zamieniły się w slumsy, zupełnie jak w Nowym Jorku. Przed kilkoma domami zauważyłam rury kanalizacyjne na wierzchu. Obdarte dzieciaki rzucały mi ciekawskie spojrzenia. Matki wieszały pranie, ojcowie rozmawiali, pod nogami plątały się koty. Przypomniały mi się ulice Lower East Side, ale tu było spokojniej. Brakowało życia i koloru. Ludzie wydawali się zrezygnowani, jakby uznali, że nic dobrego już ich nie czeka.

Po drodze zatrzymałam się parę razy, pytając o młodego mężczyznę z ryżą czupryną. Tłumaczyłam, że szukam brata, który uciekł z domu. Nikt nie potrafił mi pomóc. Pewnie dlatego, że młodych rudzielców w tej okolicy nie brakowało. Poza tym ludzie pewnie bali się ze mną rozmawiać, bo wyczuwali podstęp – równie dobrze mogłam być żoną, od której uciekł mąż, albo nawet cywilną współpracownicą policji. Zaproponowałam paru dzieciakom pieniądze, jeśli zaprowadzą mnie do młodego mężczyzny, który nazywa się Liam Murphy. Widziałam, że na słowo „nagroda” zabłysły im oczy, ale jak jeden z nich słusznie zauważył: „Dublin to strasznie wielkie miasto, psze pani”.

Przez przypadek dowiedziałam się, że okolica nazywa się Liberties. Kiedyś było tu centrum tkactwa i handlu, które świetnie prosperowało, dopóki nie wprowadzono podatku od eksportu towarów z Irlandii. W ciągu ostatnich stu lat miejsce to zamieniło się w najgorsze slumsy Dublina. Przeszłam obok opuszczonych fabryk i zatęchłych mieszkań, aż zobaczyłam w dali znajome kominy browaru Guinnessa, i wtedy skierowałam się w stronę rzeki. W gruncie rzeczy nie ma żadnej gwarancji, że Liam tu mieszka – pomyślałam. Mógł specjalnie wbiec w wąskie uliczki, wiedząc, że go nie dogonię, a potem spokojnie pójść do domu, który znajduje się w innej dzielnicy.

Powtarzałam też sobie, że Liam wie, gdzie mnie znaleźć, jeśli zmieni zdanie. Nie mogę zrobić nic więcej oprócz tego, że chodząc po mieście, powinnam mieć oczy i uszy otwarte.

Wróciłam do hotelu tylko po to, by coś szybko zjeść, a następnie przebrać się i ruszyć znów do miasta. Tym razem celem był wieczorek poetycki organizowany przez Ligę Gaelicką u Davy’ego Byrne’a na Duke Street.

Zapytałam portiera w hotelu o drogę i na szczęście okazało się, że mam bardzo blisko. Ucieszyłam się, bo znów zaczęło mocno wiać, a po całym dniu chodzenia okrutnie bolały mnie nogi. Ubrałam się ciepło i opatuliłam szalem, po czym wyszłam na zewnątrz. Nie wiedziałam, pod jakim numerem mieszka Davy Byrne, ale miałam nadzieję, że inni goście mnie tam zaprowadzą. Obym tylko nie przyszła za późno.

Duke Street znajdowała się tuż za Trinity College. W sobotni wieczór okolica ta kipiała życiem. Młodzi mężczyźni, często już pod wpływem alkoholu, spacerowali ramię w ramię z pannami, nierzadko podejrzanej reputacji. Wszędzie słychać było śpiewy i krzyki. Parę razy ktoś mnie zaczepił, namawiając do wspólnej zabawy. Wykorzystałam sytuację i zapytałam, gdzie mieszka Davy Byrne. W odpowiedzi usłyszałam salwy śmiechu.

– Davy Byrne jest tam. Widzi pani szyld?

Davy Byrne okazał się barem, nie osobą. Stanęłam, niepewna, co począć. W Nowym Jorku kobietom nie wolno wchodzić do takich przybytków. Mogą w towarzystwie mężczyzn korzystać z kawiarni i restauracji. W wiosce, z której pochodzę, wydzielono w barze miejsce dla kobiet, ale i tak szanujące się panie nigdy tam nie zaglądały. Ja byłam raz, lecz, szczerze powiedziawszy, obserwowanie, jak upijają się dorośli mężczyźni, nie sprawiło mi żadnej przyjemności.

Czy kobiety aby na pewno są wpuszczane na spotkania Ligi Gaelickiej? Stałam przez chwilę, zastanawiając się, co robić. Wreszcie do baru weszła para w średnim wieku, więc wślizgnęłam się za nią.

Wnętrze było przytulne i ciepłe, lampy gazowe rzucały miłe światło na drewniane ściany i na surowe dębowe ławki. Wśród publiczności było sporo studentów, wiekowych profesorów, księży, podejrzanych osobników i kilka dam. Zauważyłam dwie młode dziewczyny, ubrane, jak przystało na emancypantki. Jedna miała na nosie okulary, obie w rękach trzymały książki. Chciałam usiąść razem z nimi, ale były ściśnięte na pojedynczym miejscu. Stanęłam nieśmiało tuż przy drzwiach. Po chwili pewien młody mężczyzna zawołał:

– Chodź do nas, skarbie! Możesz zawsze usiąść mi na kolanach.

– Co za tupet! – zauważyła jedna ze starszych kobiet. – Posadzimy ją obok nas. Posuńcie się trochę – dodała zdecydowanym tonem.

Po jej minie widać było, że dzisiejszego wieczoru wygłupy nie są mile widziane. Mężczyźni obok przesunęli się, robiąc dla mnie miejsce. W podziękowaniu posłałam im uśmiech i usiadłam. Kobieta była postawna, ubrana od stóp do głów na czarno; ciemne włosy spięła w kok. Twarz miała surową, męską, ale zupełnie pozbawioną zmarszczek; w oczach spokój i jakąś niewinność. Przypominała siostry zakonne, które kiedyś mnie uczyły.

– Dziękuję – powiedziałam. – Nie byłam pewna, czy kobiety mają tutaj wstęp.

– A jak inaczej krzewić kulturę irlandzką niż poprzez kobiety, które mogą przekazać ją następnym pokoleniom? – odparła. – Po raz pierwszy w Dublinie?

Skinęłam głową.

– Przyjechałam z Nowego Jorku. Dużo słyszałam o Lidze Gaelickiej i byłam ciekawa jej sukcesów.

– Osiągnęliśmy już sporo. W Irlandii dużo się teraz dzieje. Stawiamy sobie za cel propagować kulturę narodową i wiedzę o historii naszego kraju nawet w najmniejszych wioskach na prowincji. Jesteśmy narodem poetów i kompozytorów. Powinniśmy być dumni z naszego dziedzictwa. Czy mówisz, dziecko, po irlandzku?

– Niestety, nie. Nigdy nie uczyłam się tego języka, choć znałam ludzi w sąsiedztwie, którzy się nim posługiwali.

– A skąd pochodzisz?

– Z... – Zamilkłam, zdając sobie sprawę, że inni nas podsłuchują. – Z Galway – dokończyłam.

– Galway. Wspaniale – skomentowała. – Tak przy okazji, nazywam się Boone. A ty, moja droga?

– Mary Delaney – odparłam.

– Witaj w klubie, Mary. Mam nadzieję, że dzisiejsze spotkanie cię

zainspiruje.

Podszedł do nas barman z kuflami piwa dla tych, którzy je zamówili. Zastanawiałam się, czy też powinnam sobie coś kupić, i zerknęłam na moją sąsiadkę, patrząc, jak ona się zachowa. Zanim cokolwiek powiedziała, odezwał się mężczyzna siedzący po mojej drugiej stronie.

– I jedno piwo dla tej młodej damy.

Z kuflem w ręku odwróciłam się, by podziękować dżentelmenowi, i wtedy zorientowałam się, że już się znamy.

– Pan Joyce, prawda? – zapytałam.

– We własnej osobie – odparł z uśmiechem. – Panna... proszę nie podpowiadać... Delaney, prawda?

– Zgadza się.

– Cieszy mnie, że interesuje się pani rodzimą poezją.

– Owszem – powiedziałam. – Szczególnie ciekawi mnie pewien poeta, którego miałam nadzieję tu spotkać. Terrence Moynihan. Pisał kiedyś fantastyczne rzeczy. Podobno jakiś czas temu przeniósł się do Dublina.

Joyce prychnął.

– Terrence Moynihan? Nigdy o nim nie słyszałem. Może Kevin będzie coś wiedział. Kevin od lat plącze się po mieście, dawkując sobie kulturę i trunki w tych samych proporcjach, prawda, mój przyjacielu?

– Co tam mruczysz, staruszku? – odezwał się jeden z dziwnych, niechlujnie ubranych mężczyzn, wymachując pustą szklanką po piwie. Trudno powiedzieć, ile mógł mieć lat. Może trzydzieści, a może trochę więcej. Był wychudzony, a ubranie miał pomięte i zabrudzone.

– Ta młoda dama pyta o poetę, który mieszka w Dublinie, a ja nigdy o nim nie słyszałem. Nazwisko Moynihan. Terrence Moynihan. Kojarzysz?

Mężczyzna wstał i podszedł do nas chwiejnym krokiem.

– Tak, pamiętam Terry'ego. Pisał niezłe rzeczy.

– Mieszka wciąż w Dublinie? – zapytałam z przejęciem. – Tak bardzo chciałabym pójść na jego wieczór autorski.

– Każdy by chciał – odparł mężczyzna. – Ale nic z tego. Jakiś czas temu Terry podpadł Królewskiej Policji Irlandzkiej[5] i trafił do więzienia. Nigdy z niego nie wyszedł. Tam umarł.

– Od jak dawna nie żyje? – spytałam.

Kevin zamyślił się.

– Z dziesięć lat będzie.

– A co z żoną? Wie pan może, co się z nią stało?

Pokręcił głową.

– Terrence nie miał żony, o ile mi wiadomo.

– Cóż, być może oficjalnie nigdy nie byli małżeństwem – zauważyłam. – Słyszałam, że ona wcześniej była mężatką. Mary Ann. Mary Ann Kelly po mężu, a wcześniej Mary Ann Burke.

Jeszcze raz pokręcił głową.

– Nigdy jej nie poznałem. Jeśli mieszkali razem w Dublinie, to musiał ją jakoś ukrywać przed światem. Ale dlaczego interesuje się pani Terrence'em Moynihanem? – zapytał. – Musiała pani być małą dziewczynką, kiedy on był u szczytu sławy. Poezja zaangażowana politycznie to nie wierszyki dla dzieci.

– Prawdę mówiąc – zaczęłam, zastanawiając się, jaką prawdę powinnam w tym momencie podać – przyjaciel w Nowym Jorku poprosił mnie, bym odszukała Terrence'a. Mój przyjaciel jest ode mnie starszy. Wie pan, jak to jest, kiedy ludzie się dowiadują, że ktoś jedzie w odwiedziny do ojczyzny. Zawsze chcą, by się z kimś w ich imieniu skontaktować.

– Naprawdę? Nie wiem, nigdy nie wyjechałem z Dublina.

– Prawdziwy z ciebie prowincjusz, mój drogi Kevinie – stwierdził Joyce. – Podróże kształcą. Ja zamierzam zwiedzić cały świat, kiedy tylko skończę studia. Pokaże mi pani Nowy Jork, panno Delaney?

– Z rozkoszą – odparłam. – Wspaniałe miasto.

– Żadne miasto nie może się równać z Dublinem – wtrącił Kevin. – Irlandczycy, którzy opuszczają ojczyznę, nie są patriotami. Taka jest prawda. Uciekacie jak szczury z tonącego okrętu.

Najwyraźniej osiągnął poziom upojenia alkoholowego, który w Irlandii często kończy się spotkaniem z policją. Dobrze, że obok mnie wciąż siedziała starsza dama.

– Niech pan wraca na swoje miejsce – upomniała Kevina. – Za chwilę zaczynamy.

Powiedziała to tonem nieznoszącym sprzeciwu, więc biedak nie miał wyjścia.

Spotkanie się zaczęło. Najpierw usłyszeliśmy sprawozdanie z działalności Ligi Gaelickiej. Wymieniono wszystkie kroki, które zostały podjęte, by propagować narodową sztukę i kulturę. Dowiedziałam się, że Liga organizuje lekcje irlandzkiego, lekcje tańca, koncerty muzyki narodowej, kółka zainteresowań. Po raz pierwszy od przyjazdu do Dublina poczułam ten entuzjazm, który dotychczas znałam tylko z Nowego Jorku. Ci ludzie naprawdę wierzyli, że wzniecą ducha w narodzie.

Okazało się, niestety, że poezja Desmonda O'Connora raczej im w tym nie pomoże. Najdelikatniejszy przymiotnik, którym mogłabym ją opisać, to „przegadana". W wierszu pod tytułem *Podróż przez morze* poeta poświęcił dwie strony samemu opisowi koloru wody, a potem kolejne dwie dźwiękom, jakie wydawały fale rozbijające się o statek. Następnie artysta przeszedł na gaelicki i kontynuował recytację w niezrozumiałym dla mnie języku. Wczorajszy wieczór był znacznie przyjemniejszy – pomyślałam. Ale nie wyszłam z sali, bo wszyscy siedzieli jak zaczarowani. Musiałam zostać i spróbować dowiedzieć się czegoś więcej o Mary Ann i Terrensie.

Kiedy wreszcie poeta skończył, publiczność grzecznie wstała i zaczęła klaskać. Niektórzy mężczyźni od razu skierowali się w stronę baru po kolejną porcję alkoholu. Słyszałam, że zamawiają nie tylko piwo, ale i mocniejsze trunki. Pan Joyce zniknął, a dama energicznie otrzepywała ubranie, jakby chciała się pozbyć wszystkich wirusów i bakterii, które zapewne krążą w powietrzu.

– Ciekawe to było, prawda? – zagadnęła. – Na długo przyjechała panienka do Dublina? Zapraszamy na nasze kursy językowe.

– Nie na długo, niestety – odparłam. – Ale bardzo bym chciała nauczyć się

irlandzkiego.

– Trzeba przyznać, że nie jest to łatwy język – stwierdziła, kręcąc głową. – W moim wieku to prawdziwe wyzwanie. Ale nie zamierzam się poddawać – dodała, a potem troskliwie spytała, czy ma mnie kto odprowadzić do domu. – O tej porze Dublin jest pełen pijaków – wyjaśniła.

– Mieszkam w hotelu niedaleko stąd – powiedziałam.

– Musimy znaleźć kogoś, kto panią tam zaprowadzi – nie ustępowała.

– Dziękuję, naprawdę nie trzeba. Za pięć minut będę w swoim pokoju.

– Tylko proszę nie iść Grafton Street. Tam zbiera się najgorsza hołota – ostrzegła, wkładając na głowę kapelusz.

– Idziemy, pani Boone? – zapytał starszy ksiądz, który czekał w drzwiach.

– Już idę, ojcze – odpowiedziała, posyłając mi na odchodnym zatroskane spojrzenie.

Chwilę jeszcze kręciłam się po sali. Spytałam Kevina, gdzie mógł mieszkać Terrence Moynihan i czy jest może w tym mieście ktoś, kto będzie go pamiętał, ale Kevin mówił już tylko o uciekających szczurach. Mężczyźni przy barze zachowywali się coraz głośniej i stało się jasne, że powinnam natychmiast opuścić to miejsce razem ze spokojniejszymi gośćmi.

Otuliłam się szalem i wyszłam na zewnątrz. Starsza dama miała rację, przestrzegając mnie przed Grafton Street. Z daleka słychać było pijackie krzyki, więc skierowałam kroki na Duke Street i poszłam tylnymi uliczkami do St. Stephen’s Green. Nie sposób się było zgubić, bo wszystkie drogi tam prowadziły.

Doszłam do końca Duke Street i skręciłam w prawo w cichą alejkę, dość słabo oświetloną i pustą. Samotna lampa rzucała światło na mokre kocie łby, nierówne i śliskie, więc musiałam bardzo ostrożnie stawiać kroki. Ponieważ nie chciałam zwichnąć kostki, skupiłam się na swoim marszu, a nie na tym, co dzieje się dookoła. Bardziej poczułam, niż usłyszałam, że ktoś mnie śledzi. Kiedy odwróciłam się, coś, jakby ciężki koc, spadło mi na głowę. Usiłowałam krzyknąć, lecz napastnik zatkał mi ręką usta, tak mocno, że nie mogłam oddychać. Spróbowałam się wyślizgnąć z uścisku, ale koc był ciężki

i krępował mi ruchy. Ktoś mnie chwycił w pasie i jak pakunek rzucił na twarde deski. Usłyszałam, że zatrzaskują się jakieś drzwi, a kiedy starałam się uwolnić, znów mnie przytrzymano. Czułam ciężar na plecach. Doszedł mnie odgłos kopyt. Zrozumiałam, że jestem w powozie i jadę w nieznanym kierunku.

22

W pewnym momencie napór na plecy się zmniejszył, co przyjęłam z ulgą, bo miałam wrażenie, że powoli uchodzi ze mnie życie. Szorstka derka, którą byłam owinięta, uniemożliwiała oddychanie. Co więcej, okrutnie śmierdziała. Miałam wrażenie, że jest pokryta sierścią jakiegoś zwierzęcia – kiedy krztusząc się, zaczęłam kaszleć, poczułam, że usta mam pełne paprochów i włosów. Chciałam podnieść rękę do twarzy, ale nie mogłam. Ktoś przytrzymywał mnie mocno przy ziemi, a kiedy zaczynałam się wiercić, wierzgać i krzyczeć, zwiększał ucisk. W końcu poddałam się i uspokoiłam.

Kto mnie porwał? Dlaczego? Gdyby chodziło o rabunek, dostałabym mocno w głowę, złodziej zabrałby torebkę, i tyle. Przypomniałam sobie o zjawisku znanym jako „białe niewolnictwo”. Czyżby? Nie, to niemożliwe – zdecydowałam po chwili. Nie jestem w Nowym Jorku czy Londynie, ale w Dublinie, prowincjonalnym mieście. Z powodu braku powietrza zaczęło mi się kręcić w głowie, szumieć w uszach, a przed oczami ukazały się gwiazdy. Szum przerodził się po chwili w głośny huk i prawie zaczęłam tracić przytomność, ale akurat wtedy ktoś mnie złapał w pasie i poniósł w nieznanym kierunku. Mogłam się tylko domyślać, że idziemy w górę po schodach. Bałam się, że może niosą mnie na statek, który zaraz odpłynie do Szanghaju lub jakiegoś innego dziwnego miejsca. Kiedy później się nad tym zastanawiałam, uznałam, że to był bardzo irracjonalny strach. Dlaczego bałam się losu niewolnicy, a nie śmierci w Dublinie?

Wokół słyszałam jakieś męskie głosy, ale koc na głowie tłumił dźwięki, więc nie wiedziałam, co dokładnie się dzieje. W końcu padło dość wyraźne zdanie:

– Dobrze. To zobaczmy w końcu, jak wygląda.

Postawili mnie na nogi i zdjęli z głowy przykrycie. Przez chwilę mrugałam

powiekami, bo raziło mnie ostre, elektryczne światło. Nerwowo łapałam powietrze. Kiedy w końcu rozejrzałam się dookoła, zatkało mnie ze zdziwienia. Nie byłam ani w żadnym magazynie, ani w piwnicy, ani nawet w kajucie na statku, jak można by się spodziewać. Znajdowałam się w reprezentacyjnym salonie umeblowanym w stylu Chippendale, z wielkim fortepianem w rogu. Na podłodze leżały perskie dywany, każdą ze ścian zdobiły imponujące obrazy, a w oknach wisiały ciężkie aksamitne zasłony w kolorze wina.

Na jednym z wytwornych krzeseł siedział mężczyzna. W swoim życiu spotkałam już wielu przystojniaków, ale tym razem byłam naprawdę pod wrażeniem. Daniela można określić mianem atrakcyjnego, Ryanowi też niczego nie brakuje, ale daleko im obydwu do mężczyzny, przed którym teraz stałam. Miał mocno zarysowane kości policzkowe, prosty nos, dłuższe ciemne włosy i bardzo niebieskie oczy. Ale to nie jego wygląd zewnętrzny był najważniejszy, lecz widoczna gołym okiem siła charakteru. Od razu wiedziałam, że ma charyzmę i że ludzie idą za nim jak w ogień. Czułam, że zna swoją wartość, wie, czego chce, i nie waha się po to sięgnąć. Skąd wiedziałam? Zobaczyłam to od razu w jego oczach, kiedy zawiesił na mnie spojrzenie.

– Młoda damo – zaczął. Mówił głębokim głosem, elegancko, choć z lekkim irlandzkim akcentem. – O co w tym wszystkim chodzi?

Szok i przerażenie nagle mnie opuściły. Poczułam ulgę, widząc, że znajduję się w cywilizowanym pomieszczeniu. Odzyskałam swój naturalny tupet. Ten człowiek nie może zobaczyć, że się boję – pomyślałam. Podeszłam bliżej.

– Proszę posłuchać. Nie mam pojęcia, kim pan jest ani dlaczego zostałam porwana. To jakaś pomyłka. Prawdopodobnie mieli panu przyprowadzić kogoś zupełnie innego. Proszę natychmiast mnie wypuścić, bo inaczej pan pożałuje.

Oczy mu się zaświeciły i parsknął śmiechem.

– Pożałuje... Słyszeliście, chłopaki? Podobasz mi się, panienko, chociaż nawet jeszcze nie wiem, coś za jedna. No dobrze, to od tego zacznijmy. Kim jesteś i dla kogo pracujesz?

– Najpierw ja. Dlaczego zostałam tak haniebnie potraktowana? – odparłam. – Skoro chciał sobie pan ze mną porozmawiać, wystarczyło przysłać mi normalne zaproszenie. Tak postępują kulturalni ludzie.

– Nie mogłem ryzykować, moja droga – powiedział. – Muszę stosować metody wroga. Może i wyglądam na człowieka kulturalnego i w rzeczywistości nim jestem, ale tutaj obowiązują inne reguły i naprawdę nie mogę inaczej. Masz nam wszystko powiedzieć, jak na spowiedzi. Mów, co wiesz.

Gapiłam się na niego, jakby przemawiał do mnie w obcym języku.

– Nie mam pojęcia, o czym pan mówi. Co niby mam wiedzieć? To naprawdę jakaś pomyłka.

– Przedstawia się pani jako Mary Delaney, prawda? I prawdopodobnie przybyła pani z Ameryki. Ale w Dublinie w żadnym hotelu nie zameldowała się żadna Mary Delaney. Skoro więc używa pani fałszywego nazwiska, chyba jednak mamy coś do ukrycia, czyż nie?

– Nie przyszło panu do głowy, że zatrzymałam się u rodziny?

– Przyszło. Ale przecież mieszka pani w hotelu Shelbourne, tylko najwyraźniej jako ktoś inny.

Odchylił się na misternie zdobionym krześle i wyciągnął długie nogi.

– Na początek proszę nam zdradzić swoje prawdziwe nazwisko i opowiedzieć, dlaczego tak panią interesują Terrence Moynihan i Mary Ann Burke. A potem niech mi pani powie, co ją sprowadza do Dublina i kto za tym stoi.

– Jeśli pyta pan, co tu robię i dlaczego interesują mnie te dwie osoby, odpowiedź jest prosta. Nie mam nic do ukrycia – zaczęłam. – A skoro rozmawiamy kulturalnie, czy mogę usiąść? Pan jest uprzywilejowany, siedzi sobie wygodnie. Ja mam zawroty głowy po tej okropnej podróży. Zawinęliście mnie chyba w jakiś stary, śmierdzący dywan. Albo koc. Nie mogłam oddychać.

Znów się uśmiechnął. Gdyby nie okoliczności, pomyślałabym, że jest uroczy, ale ta jego swoboda po prostu wyprowadzała mnie z równowagi. Czułam, że ma przewagę i że może ze mną zrobić, co zechce.

– Najmocniej przepraszam, że ten koc tak śmierdział koniem – powiedział. – Zapraszam, niech pani siada. Brendan, przynieś coś do picia. Wystarczy woda, czy życzy pani sobie coś mocniejszego na ukojenie nerwów?

– Woda wystarczy, dziękuję. Nie potrzebuję nic mocniejszego.

Kiwnął głową ze zrozumieniem, a ja usiadłam na najbliższym krześle.

– Proszę kontynuować – zachęcił. – Przekonać nas, że pani ciągłe wypytywanie o Terrence'a nie powinno budzić w nas niepokoju.

– W porządku – odparłam. – Nazywam się Molly Murphy i jestem prywatnym detektywem z Nowego Jorku. Zatrudnił mnie pewien Irlandczyk, od bardzo dawna mieszkający w Ameryce. Poprosił, bym przyjechała tu i odnalazła jego siostrę Mary Ann, która została w kraju, kiedy reszta rodziny podczas wielkiego głodu uciekła do Ameryki. Po śladach dotarłam do Dublina, gdzie, jak rozumiem, ta kobieta mieszkała z Terrence'em Moynihanem. Dlatego byłam na wieczorku poezji zorganizowanym przez Ligę Gaelicką. Miałam nadzieję, że ktoś mi tam powie, gdzie mogę ich dalej szukać.

– I co?

– Usłyszałam, że Terrence zmarł w więzieniu jakieś dziesięć lat temu.

– Zgadza się. Aresztowali go, bo napisał żarliwy poemat poświęcony ruchowi oporu. Wsadzili do wilgotnej celi, w której czekał na rozprawę, ale dopadły go tam suchoty i po kilku miesiącach zmarł.

– A wie pan, co się stało z Mary Ann?

Pokręcił głową.

– Nie mam pojęcia. W Bractwie nie dzielimy się szczegółami z naszego życia prywatnego. Na torturach nie da się powiedzieć czegoś, czego się nie wie. Dlatego wielu chłopców używa dziś pseudonimów.

– Wspieracie republikanów? Jesteście członkami Bractwa, prawda?

Przytaknął.

– Jeśli mogę zapytać... Dlaczego pan się do tego przyznaje? To też ryzykowne.

Znów się uśmiechnął.

– Bo, moja droga, jeśliby się okazało, że jesteś szpiegiem i pracujesz na zlecenie znienawidzonych przez nas Anglików, żywa byś stąd nie wyszła.

– Przecież by mnie pan nie zabił – powiedziałam, choć wcale nie byłam tego taka pewna.

– Obym nigdy nie stanął przed takim dylematem. Jeśli musiałbym wybierać: ty albo pięćdziesiąt lub sto innych osób, poświęciłbym twoje życie, tak samo, jak poświęciłbym swoje. Liczy się wspólna sprawa – oznajmił i zerkając na drzwi, dodał: – O, woda dla panny Murphy.

Jednym haustem opróżniłam szklankę

– Nie wiem, co mam powiedzieć, by przekonać pana, że nie szpieguję na rzecz Anglików. – Odstawiłam pustą szklankę na stół. – Wszystko, co mówiłam, jest prawdą.

– Bez problemu sprawdzimy, czy przypadkiem nie kłamiesz. Jedna rzecz mnie zastanawia. Skoro jesteś detektywem i szukasz tej Mary Ann Burke czy jak jej tam, to dlaczego wczoraj w nocy goniłaś jednego z naszych ludzi? Wiem również, że pytałaś o niego w mieście. Po co?

– To proste. Biegłam za nim, bo to mój brat.

Po raz pierwszy wydawał się zaskoczony.

– Twój brat?

– Nazywa się Liam Murphy. A ja, Molly Murphy, jestem jego starszą siostrą. Chciałam z nim porozmawiać. Zdziwiłam się, że jest w Dublinie, bo po raz ostatni widzieliśmy się w hrabstwie Mayo, kiedy miał piętnaście lat.

Mężczyzna pstryknął palcami.

– Brendan, znasz tego Liama, o którym ona mówi?

– Owszem. Niedawno do nas dołączył. Nowy chłopak.

– To idź po niego i natychmiast go tu przyprowadź.

– Jest sobota, pewnie gdzieś się bawi na mieście – odparł człowiek, który przyniósł mi wodę.

– Nic mnie to nie obchodzi. Niech sobie nawet będzie w łóżku z dziewczyną. Ma tu przyjść i już. To jest wojsko, wojsko republikańskie.

Lepiej, żeby to do ciebie szybko dotarło, człowieku.

– Tak jest, proszę pana. Już po niego idę – wymamrotał mężczyzna i odszedł.

23

Zostałam w pokoju sam na sam z charyzmatycznym mężczyzną. Wydawał się miły, ale atmosfera była ciężka. Miałam wrażenie, że wystarczy, by pstryknął palcami, a ktoś tu wpadnie i mnie ukatrupi. Chciałam zapytać, jak się nazywa, ale zwyczajnie się bałam. Zdałam sobie sprawę, że drżą mi kolana, choć na szczęście nie było tego widać pod sukienką. Nie zamierzałam się zachowywać jak typowa przedstawicielka słabej płci. Miałam nieodparte wrażenie, że wszystko, co przytrafiło mi się podczas tej dziwnej podróży, jakoś się ze sobą wiąże i że przystojniak też o tym wie.

Nagle usłyszeliśmy czyjeś głosy w korytarzu. Spojrzałam w kierunku podwójnych drzwi, mając nadzieję, że zaraz zobaczę Liama, ale zamiast niego, ku mojemu wielkiemu zdziwieniu, do salonu weszła Grania Hyde-Borne we własnej osobie. Tak, Grania Hyde-Borne, dusza towarzystwa, osoba, którą najmniej spodziewałam się tu zobaczyć!

– Co się dzieje, Cullen, mój najmilszy? – spytała, podchodząc do mężczyzny i kładąc na jego ramieniu delikatną dłoń w rękawiczce. – Wracam sobie spokojnie z teatru, a tu słyszę, jak chłopcy rozmawiają o porwaniu jakiegoś szpiega.

– Sama nas na niego naprowadziłaś, Graniu – odparł pięknis.

– Naprawdę? – Kiedy Grania Hyde-Borne w końcu mnie zauważyła, w jej pięknych oczach dostrzegłam zdziwienie. – Widziałam cię na przyjęciu w teatrze! Znajoma Ryana O'Hare!

– Była również na spotkaniu Ligi Gaelickiej. Pytała o Terrence'a Moynihana.

– Ach, tak. – Grania opadła na sofę, tuż obok mężczyzny. – Skąd to zainteresowanie Terrym?

– Wszystko już wytłumaczyłam – odparłam. – Jestem detektywem z Nowego

Jorku. Dostałam zlecenie od pewnego człowieka, by odnaleźć Mary Ann Burke. Jej rodzina uciekła z Irlandii podczas wielkiego głodu. Ot i cała historia. Nie jestem szpiegiem. Nie interesują mnie wasze republikańskie konszachty, nikomu nie zaszkodzę, więc bardzo proszę mnie puścić wolno i pozwolić mi zająć się swoimi sprawami.

– To nie będzie takie proste, moje dziecko – odezwał się mężczyzna.

– Cullen, przestań – wtrąciła Grania. Podniosła się z sofy i poklepała mężczyznę po kolanie. – Chyba jesteś przewrażliwiony. Tylko na nią spójrz. Muchy by nie skrzywdziła.

– Chwileczkę – powiedziałam, bo moja głowa zaczęła wreszcie normalnie pracować. – Pan ma na imię Cullen? Przecież Cullen Quinlan, ten dramaturg, o którym wszyscy wczoraj mówili, nie żyje. O co tu chodzi?

– Nie słyszałaś nigdy o zmartwychwstaniu? – zapytał, uśmiechając się przebiegle do Granii. – Cullen Quinlan we własnej osobie. Cały i zdrów, chociaż już nie dramaturg.

– Ale... – wyjąkałam.

– Chcesz poznać prawdę? Siedziałem w angielskim więzieniu. Jeden z chłopców miał zostać powieszony i w związku z tym zaproszono do nas grupę księży, żebyśmy mogli się wyspowiadać. Dwunastu weszło, dwunastu wyszło i jednym z nich byłem ja. W habicie franciszkanina wyglądałem bardzo niewinnie. Ten prawdziwy ksiądz zaalarmował strażników dopiero wtedy, gdy bezpiecznie płynąłem statkiem do Francji. Zeznał, że go związano, zakneblowano i przez dłuższy czas nie mógł się uwolnić. Od tamtej pory nie ma mnie w Irlandii.

– Jak to? To co, u licha, pan tu robi? – spytałam. – Pewnie szukają pana listem gończym

– Prawdopodobnie – odparł. – Bractwo potrzebuje teraz przywódcy. Jesteśmy podzieleni. Rządy w tym kraju to jedna wielka porażka, ale ludzie nic z tym nie robią. Nie obchodzi ich, czy są pod panowaniem angielskim, czy irlandzkim, byleby codziennie dostawać swoją porcję chleba i kufel piwa. Postanowiłem to zmienić. Ktoś musi tchnąć w ten naród nowego ducha.

– Ty potrafisz to zrobić najlepiej – stwierdziła Grania, patrząc na niego z uwielbieniem.

– Chyba że wróg dowie się o mojej kryjówce.

– Nikt się nie domyśli, że Grania Hyde-Borne, muza artystów i dusza towarzystwa, udziela schronienia groźnemu przestępcy – powiedziała Grania, najwyraźniej bardzo z siebie zadowolona. – To był genialny pomysł – dodała po chwili.

– A co na to pani mąż? Co służba? – spytałam.

– Mąż przebywa obecnie w Londynie i większość służby mu tam towarzyszy. Ja nie mogłam pojechać ze względu na problemy zdrowotne. Tym, którzy tu ze mną zostali, ufam bezgranicznie. Jesteśmy bezpieczni, no... chyba że Anglicy zechcą nas przechytrzyć i na przykład wyślą na przeszpiegi niewinnie wyglądające dziewczę.

Wgapiali się we mnie z uporem, aż poczułam, że mam tych oskarżeń po dziurki w nosie.

– Urodziłam się i wychowałam w Irlandii – oznajmiłam. – Naprawdę myślicie, że mogłabym pomagać Anglikom? To raczej ja mogłabym mieć do was pretensje. Przyjechałam tu w prywatnej sprawie, a wy mnie wykorzystaliście i naraziliście na ogromne niebezpieczeństwo.

– Wykorzystaliśmy? Co masz na myśli, moja droga? – zapytał Cullen.

– Kufry. Zapewne były przeznaczone właśnie dla was. Myślicie, że nie zajrzałam do środka? A gdyby to zrobili celnicy lub policja? Czekałabym teraz w więzieniu na egzekucję.

– Jakie kufry? – zapytał Cullen.

– Proszę nie udawać, że nic pan nie wie o kufrach pełnych broni. Domyślam się, że i z Ooną Sheehan jesteście w zmowie. Chyba że i ona była jedynie zabawką w waszych rękach.

– Oona Sheehan? – Cullen wyprostował się gwałtownie na krześle. – Dobry Boże, a co ona ma z tym wszystkim wspólnego?

– To do niej należały kufry. Namówiła mnie, byśmy zamieniły się kajutami na statku i... – przerwałam, bo coś mi przyszło do głowy. – Czy to na wasze

zlecenie zginęła Rose McCreedy? Może wiedziała, co jest w bagażach, i zaczęła o tym rozpowiadać na prawo i lewo, choć powinna trzymać buzię na kłódkę.

– Chyba się pogubiłem – stwierdził Cullen. – Jakie kufry, jaka Rose McCreedy?

– Rose McCreedy to pokojówka Oony Sheehan. Zamordowano ją w kajucie aktorki.

– Nic mi o tym nie wiadomo. Mogę przysiąc, że zadaniem Bractwa nie jest mordowanie pokojówek.

– Pozwólcie, że się wtrącę– odezwała się nagle Grania. – Wiem, o jakie kufry chodzi.

– Mamy nowy transport i ja się o tym dowiaduję ostatni? – zdenerwował się Cullen. – Pięknie! Przecież przed chwilą o tym mówiłem. Brakuje nam przywódcy! Nie wie prawica, co czyni lewica...

Grania nie dała mu dokończyć.

– Daj spokój, Cullen. Dopiero wczoraj przyszedł z Nowego Jorku telegram w tej sprawie. Nie miałam kiedy ci o nim powiedzieć. Rozumiem, że już je zabrano z hotelu i ukryto w bezpiecznym miejscu. Ach, więc wysłano je jako część bagażu Oony Sheehan! Cóż za dzielna kobieta!

– Dzielna kobieta?! – nie wytrzymałam. – Zamieniła się ze mną na kajuty, a potem zniknęła ze statku! Oficjalnie bagaże były moje. Na dodatek stałam się główną podejrzaną o zamordowanie jej służącej. Zresztą pewnie cały czas jestem na celowniku.

Cullen bardzo się zaniepokoił.

– Czy ktoś wie o tej przesyłce?

– Nikt – odparłam. – Natychmiast się zorientowałam, dla kogo jest przeznaczona. Może nie jestem jakąś wyjątkowo żarliwą patriotką, ale na pewno nie zdradziłabym tych, którzy walczą o wolność.

– Widzisz, Cullen? Mówiłam ci – odezwała się Grania. – Jest jedną z nas. Możemy być spokojni.

– O nie, moja droga – obruszył się Cullen. – Pozwól, że coś ci powiem.

Dobrze wiesz, że to wyjątkowo trudna sytuacja. Nie możemy ufać tej dziewczynie. Moglibyśmy ją wsadzić na statek i odesłać z powrotem do Ameryki, ale wtedy nigdy nie bylibyśmy do końca pewni, co zrobi.

– Przecież nic nie zrobię – odparłam.

Nie wiem, jak dalej potoczyłaby się ta rozmowa, gdyby nie głośne kroki w korytarzu. Rozległo się pukanie i do środka wparowało kilku młodych mężczyzn. Wśród nich był Liam – blady i przerażony.

Wstałam, zaskoczona emocjami, które wzbudził we mnie widok młodszego brata. Liam przewyższał mnie wzrostem, a zamiast dziecięcej buzi miał twarz młodego mężczyzny.

– Liam. – Zaczęłam iść do niego z otwartymi ramionami, ale on się cofnął.

– Molly, to jednak ty – wydusił z siebie. Jabłko Adama poruszało mu się nerwowo. – Dobry Boże...

– Dlaczego wczoraj uciekłeś? Dlaczego nie chciałeś porozmawiać z siostrą?

– Myślałem, że widzę ducha – oznajmił. – A poza tym nikt nie może się dowiedzieć, kim jestem. – Rozejrzał się niespokojnie po sali. – Nikt. To by mogło wszystko popsuć.

– Chłopcze, coś za jeden? – zapytał ostro Cullen. – Dlaczego cię wcześniej nie widziałem?

– Dopiero co przyjechałem, proszę pana – odparł Liam. – Jestem od Williama O'Briena, który stoi na czele Narodowej Ligi Ziemskiej. Działamy w północno-zachodniej części kraju.

– To co tu robisz? – spytał Cullen. – Czyżby pan O'Brien zrezygnował ze swojej walki o ziemię i postanowił się przyłączyć do naszej walki o niepodległość?

– Nie, pan O'Brien został w domu. Przyjechałem sam, jak tylko usłyszałem, co się dzieje.

– Co się dzieje, powiadasz? A co się dzieje, mój chłopcze?!

– Chodzi mi o Kilmainham Gaol[6], proszę pana. Pomyślałem, że mogę się przydać.

Cullen podniósł głos.

– Do czego?!

– Mój brat razem z innymi siedzi w Kilmainham, proszę pana. Skoro jest plan, żeby ich stamtąd wyciągnąć, chcę przy tym być.

– Skąd wiesz o planie?

– Pan O'Brien mi powiedział, proszę pana. Doszły go słuchy. Przysłał mnie tu z listem polecającym. Zaciągnąłem się i pomagam.

– Joseph jest w więzieniu? – spytałam, chociaż raczej nie powinnam była przerywać Cullenowi Quinlanowi.

Liam kiwnął głową. Przez chwilę znów zobaczyłam przestraszonego chłopca, którego tak dobrze pamiętałam.

– Mają go powiesić, Molly.

– Matko Przenajświętsza! – krzyknęłam. – Co takiego zrobił?

– Zabił. Niechcący. Ratował Malachy'ego.

– Malachy'ego? – Na dźwięk imienia najmłodszego ze swoich braci poczułam ukłucie w sercu. Z nim szczególnie czułam się związana. – Co się dzieje, Liam? Mów natychmiast!

Liam przestąpił z nogi na nogę.

– Dużo się zmieniło, Molly. Kiedy zniknęłaś, tata się załamał. Wiesz, że zawsze lubił zajrzeć do kieliszka, ale wtedy zaczął już pić na umór, a dom zamienił w chlew. Jakby się poddał. Przestał pracować, więc Hartleyowie się go pozbyli. Któregoś dnia strasznie pobił się z Josephem i ten uciekł z domu. Ja zostałem ze względu na młodego. A potem któregoś dnia tata, wracając z baru, wpadł do rzeki i utonął.

– Utonął?! Chcesz mi powiedzieć, że nasz ojciec nie żyje?

Liam przytaknął, zaciskając mocno usta.

– Panie świeć nad jego duszą – wymamrotałam, zastanawiając się, czy mówię to z przekonaniem. – A Malachy? Co się z nim dzieje?

– Starałem się nim opiekować jak najlepiej, ale nagle Hartleyowie postanowili nam zabrać dom i dowiedziałem się, że wystawili Malachy'ego

na sprzedaż.

– Na sprzedaż? – Nie wierzyłam własnym uszom. – Jak niewolnika? Mamy dwudziesty wiek! To zabronione.

– Nieprawda. Na targach można kupić małych chłopców i zrobić z nich służących. Rzeczywiście są jak niewolnicy albo jak konie. No więc odnalazłem Josepha. Okazało się, że zaciągnął się do Narodowej Ligi Ziemskiej i pracuje dla pana O'Briena. Walczą o to, by właściciele ziemscy zgodnie z prawem przekazywali ziemię farmerom. Znasz Josepha – zawsze był w gorącej wodzie kąpany. Bardzo się przejął. Mówił: „Nie martw się, Liam, nie pozwolimy, żeby te łobuzy sprzedały naszego brata jak niewolnika". Skrzyknął chłopaków i poszliśmy odbić Malachy'ego. Doszło do solidnej przepychanki. Zginął zarządca. Chłopaki uratowały mnie i Malachy'ego, ale Joseph podczas ucieczki został złapany. Zamiast się poddać, podobno pobił kilku policjantów. Wsadzili go do więzienia, dostał wyrok i mają go powiesić.

Nieświadomie zrobiłam znak krzyża na czole. Ojciec nie żyje, dwóch braci się ukrywa, na trzeciego szykują stryczek. To mnie przerasta – pomyślałam. Grania chyba domyśliła się, co czuję. Wstała i objęła mnie ramieniem.

– Usiądź, moja droga. Cullen, daj brandy. Gotowa nam tu zemdleć.

– Nic mi nie jest – odparłam, ale z radością przyjęłam szklaneczkę trunku i po chwili poczułam się znacznie lepiej. – Co się dzieje z Malachym?

– O niego się nie martw. Wzięła go do siebie jedna pani z Ligi. Ma synów w jego wieku.

Cullen poprawił się na krześle.

– Powiedz mi, chłopcze... Dlaczego myślisz, że twoja obecność w Dublinie może pomóc bratu?

Liam znów rozejrzał się niespokojnie.

– Nie wiem, czy powinienem mówić o tym przy wszystkich.

– Składali przysięgę, oprócz twojej siostry oczywiście, ale nie wyobrażam sobie, żeby coś ci groziło z jej strony. Mów dalej, śmiało.

– Ktoś mi powiedział, że powstał plan, by uwolnić więźniów z Kilmainham Gaol. Postanowiłem zadbać, by wśród nich znalazł się mój brat.

– Skoro ten plan jest powszechnie znany, a wieść o nim dotarła nawet w najdalsze zakątki Irlandii, nie możemy go wprowadzić w życie – stwierdził Cullen. – Nie zaryzykuję i nie poślę swoich ludzi na pewną śmierć.

– Ale, proszę pana – przerwał mu Liam. – Musimy to zrobić. Nie mogą powiesić Josepha. I nie jest tak, że wie cała Irlandia. Pan O'Brien mnie tu przysłał, bo chodzi o mojego brata. Uznał, że mogę się przydać.

– Sądzisz, że masz jakieś wyjątkowe predyspozycje, by wejść do więzienia, które uważa się za irlandzką Bastylię? Myślisz, że zrobisz to lepiej niż ludzie, których wyszkoliłem? – zapytał Cullen.

– Nie, proszę pana. Chodzi o to, że ja i Joseph jesteśmy do siebie bardzo podobni. Wyglądamy jak bliźniaki, prawda, Molly? Pomyślałem, że zrobię jakieś zamieszanie. Na przykład strażnicy zaczną mnie gonić zamiast niego. – Liam stał z rękami opartymi na biodrach, dość bezczelnie patrząc w oczy Cullenowi. – Nie znam pańskiego planu, ale jestem gotowy na wszystko.

Cullen uśmiechnął się.

– Dzielny z ciebie chłopiec, Liamie – powiedział. – Podobasz mi się. Ale ostrzegam; to nie igraszki. Owszem, mamy nadzieję wyciągnąć kilku naszych z więzienia, ale chodzi nam również o to, by Anglicy zrozumieli, że nie cofniemy się przed niczym i nie boimy się konfrontacji. Mają się przestraszyć. Może się zdarzyć i tak, że nikogo nie uwolnimy, a ktoś polegnie. Najważniejsze, by rodacy dostrzegli nasz wysiłek. Muszą poderwać się do walki!

To, co wcześniej tylko przeczuwałam, stało się jasne jak słońce. Cullen był prawdziwym przywódcą, kimś, kto prowadzi żołnierzy na wojnę. Nie zdążyłam jeszcze dobrze tego przemyśleć, a już usłyszałam swój głos:

– Jeśli jest coś, w czym mogłabym pomóc, proszę na mnie liczyć.

24

– Przynajmniej, jak widzę, mamy nowy zapas broni, chociaż dziwię się, że nikt mnie wcześniej o tym nie poinformował – powiedział Cullen, kiedy chłopcy, w tym Liam, zostali już odesłani.

Żałowałam, że nie było mi dane zamienić z bratem więcej słów ani go przytulić. Odszedł, nawet na mnie nie spojrzawszy. Pewnie bał się rozkleić przy ludziach. Zostałam sama z Granią i Cullenem, niepewna swojego losu.

– Już ci mówiłam, mój drogi – odparła Grania. – Dopiero wczoraj się o wszystkim dowiedzieliśmy.

– Jacy my?

– Wiadomość przyszła do teatru, adresowana do Maud Gonne. Dotyczyła rekwizytów teatralnych, które ufundowała Oona. Liścik brzmiał bardzo niewinnie. Maud przekazała go oczywiście Królowej Mab.

– Królowa Mab – skrzywił się Cullen. – A więc ona teraz rządzi.

– Kieruje militarnym oddziałem Cór Irlandii, nie całą organizacją.

– Wy, kobiety, też zamierzacie brać udział w walkach zbrojnych?

– Córy Irlandii już walczą, kiedy trzeba. Jesteśmy gotowe na wszystko – odparła Grania. – Uważam, że wybierając nas, postąpiła rozsądnie. Wy jesteście stale pod obserwacją. Dobrze ukryłyśmy broń, a wyciągniemy ją wówczas, gdy nam się przyda.

Nie uspokoiło to Cullena.

– I na dodatek to moi ludzie wam tę broń przetransportowali.

– Dziwisz się, że kobiety nie mają siły dźwigać ciężkich kufrów? Dlatego Królowa Mab zrekrutowała chłopaków.

– Zrekrutowała chłopaków! – prychnął Cullen.

– Bądź rozsądny, Cullen. Jeśli nie potrafimy współpracować teraz, to co się

stanie w razie mobilizacji? Czy uważasz, że w przyszłości, kiedy w końcu odzyskamy wolność, tylko mężczyźni będą decydować o tym, jak ma wyglądać nasz kraj?

Cullen przyjrzał się jej uważnie i wybuchnął śmiechem.

– Pięknie! Widzę, że wzorujesz się na królowej Wiktorii, Graniu. I chyba ci się to podoba.

Odpowiedziała mu uśmiechem.

– Wbrew temu, co się powszechnie uważa, wolałabym nadal wieść spokojne życie, opływając w luksusy. Uwielbiam teatr, wystawy i podróże do Paryża na pokazy mody. Nie zamieniłabym tego na ciężką pracę, jaką jest rządzenie krajem. Wydaje mi się, że ty znacznie bardziej się do tego nadajesz.

– Nie zamierzam żyć tak długo – odparł Cullen.

– Nie mów w ten sposób – przejęła się Grania.

– Ale to prawda, Graniu. Prędzej czy później zorientują się, że jestem w Irlandii, i będzie po mnie. Najprawdopodobniej dostanę od razu kulkę w łeb. Nie będzie im zależało na tym, by znów mnie wsadzać do więzienia.

Patrzyłam to na jedno, to na drugie, z zapartym tchem przysłuchując się rozmowie. Czułam się jak w teatrze. Widać było, że obydwoje są bardzo odważni. On nie miał nic do stracenia, ona wiele – dostatnie życie i cały majątek. Mimo to byli zdeterminowani. Tym ludziom mój młodszy brat przed chwilą obiecał posłuszeństwo, a ja zadeklarowałam swoją pomoc. Ciekawe, czy będę równie odważna, jak przyjdzie godzina próby.

– Zróbmy sobie przerwę – powiedziała Grania i nacisnęła dzwonek na ścianie.

Prawie natychmiast pojawiła się młoda służąca.

– Françoise – zwróciła się do niej Grania i od razu przeszła na francuski.

Dziewczyna dygnęła.

– *Oui, madame* – odparła i szybko wyszła z salonu.

Zrozumiałam, dlaczego Grania się nie boi, że służba będzie podsłuchiwać i donosić.

Cullen chyba trochę się rozluźnił. Wziął fajkę i rozparł się wygodnie.

– Nie przypuszczałem, że Oona wciąż z nami współpracuje. Myślałem, że postawiła na sławę i pieniądze.

– Przecież wiadomo, czemu to robi – stwierdziła Grania. – Dla ciebie. Dowiedziała się, że uciekłeś z więzienia. Nie od dziś wszyscy wiedzą, że ma do ciebie słabość.

– Niemożliwe. To stara historia.

– Zapominasz, że my, kobiety, potrafimy długo pielęgnować w sercu uczucia.

Sposób, w jaki na niego spojrzała, dał mi do myślenia. Tych dwoje musiało kiedyś być parą. Może nadal są kochankami? Nie mam dużego doświadczenia w tych sprawach, ale pamiętam, że Daniel czasem patrzył na mnie w podobny sposób.

Wstałam.

– Przepraszam. Jestem bardzo zmęczona. Chciałabym wrócić do hotelu.

– Nie wygłupiaj się, Molly – odparła Grania. – Nie pozwolimy ci się włóczyć nocą po Dublinie. Tu jest mnóstwo miejsca, zostaniesz u nas. Rano wyślę kogoś po twoje rzeczy. Będzie ci wygodniej niż w tym starym hotelu.

Zrozumiałam, że nie pozwolą mi odejść. Może i zachowują się jak ludzie kulturalni, ale jestem ich więźniem. Bez dwóch zdań.

– Nie bójcie się – powiedziałam. – Sam pan stwierdził, że przecież nie zdradzę brata.

– Owszem – przyznał Cullen. – Ale wróg nie śpi. Szpieguje. Ma swoje sposoby, by wydobyć informacje, a niedoświadczone młode kobiety są łatwym łupem. Szczerze powiedziawszy, ciągle się zastanawiam, czy nie jesteście jednak z bratem po stronie Anglików.

– To jakieś żarty – zaoponowałam. – Słyszeliście chyba, co mówił Liam. Wyjaśnił, dlaczego tu jest.

– Nie ma lepszego sposobu, by poznać nasze plany, niż udawać, że się z nami współpracuje. Sprawdzę was i dopiero wtedy zdecyduję, czy jesteście godni zaufania i co powinienem z wami zrobić.

– Zaproponowałam, że wam pomogę, ale mam też na głowie własne sprawy i zadanie, którego się podjęłam. Pewien człowiek w Ameryce zapłacił mi za to, bym odszukała jego siostrę, i muszę to zrobić. Wiem, że Mary Ann zamieszkała w Dublinie z Terrence'em Moynihanem. Chcę sprawdzić pod jakim adresem, a potem iść dalej po śladach. Może jest gdzieś niedaleko.

– Wątpię, żebyś ją znalazła – stwierdził Cullen.

– Dlaczego tak pan mówi?

– Nigdy nie słyszałem, żeby Terrence miał żonę. Nie pokazywali się razem w towarzystwie.

– Pewnie oficjalnie nie byli małżeństwem. Ona miała męża w Waterfordzie, człowieka o nazwisku Kelly.

– Waterford, słyszałaś, Graniu? To twoje okolice, prawda?

– Stare czasy – zauważyła Grania. – Uciekła od męża, tak?

– Straszny człowiek – powiedziałam. – Mogę zrozumieć, dlaczego nie chciała z nim być.

– To może ten pan Kelly odnalazł żonę i zabił ją z zemsty? – Grania spojrzała pytająco na Cullena.

– Niewykluczone – odparł. – Nigdy nie widziałem Terrence'a z kobietą. O żadnej nie wspominał. Może masz rację.

– Jest jeszcze inna możliwość – zauważyłam. – Mary Ann uznała, że popełniła błąd, wiążąc się z Terrym. Postanowiła odejść i na nowo ułożyć sobie życie. Co wtedy? Nie miałabym nawet gdzie o nią pytać. Wychowywała się w sierocińcu, nie miała domu.

– Szukasz igły w stogu siana – zauważył Cullen. – Może być wszędzie, o ile w ogóle jeszcze żyje. A jeśli wyjechała, żeby spróbować szczęścia w Anglii? Poza tym młoda nie jest, skoro urodziła się podczas wielkiego głodu. Ludzie umierają po pięćdziesiątce.

– Muszę spróbować – poprosiłam. – Pozwólcie mi działać.

– A nie chcesz pomóc bratu w ucieczce z Kilmainham? – zapytał Cullen.

– Oczywiście, że chcę.

– W takim razie nie wyjdziesz stąd, dopóki nie domkniemy naszych planów. Nie pożałujesz, obiecuję. Grania nas wszystkich bardzo rozpieszcza.

– A za parę dni będziesz miała okazję poznać Córy Irlandii – dodała Grania. – Mamy tu spotkanie.

– Tego mi jeszcze brakowało – wtrącił Cullen, wzdychając.

Przyniesiono jedzenie, ale prawie nic nie mogłam przełknąć. W końcu Grania zauważyła, że oczy mi się zamykają, i poprowadziła mnie do sypialni na górze. W łóżku, w świeżo wykrochmalonej pościeli, czekała na mnie butelka z ciepłą wodą. Położyłam się, trzymając ją blisko przy ciele i próbując się ogrzać. Rozmyślałam o tym, co się właśnie stało i czego się dowiedziałam. Ojciec nie żyje, jeden brat jest skazany na śmierć, drugi zaciągnął się do bojowników, o trzecim, najmłodszym, niewiele wiadomo. Uciekając do Nowego Jorku, myślałam, że uwolnię się od rodziny, którą uważałam za kulę u nogi. Ale więzów krwi nie da się tak łatwo przeciąć. Może moi bracia byli niewdzięczni, zawsze brudni i głodni, ale przecież ich kochałam.

Obiecałam Cullenowi Quinlanowi, że pomogę, jeśli będę potrzebna. Odważny gest, nie ma co... Teraz mogłam wreszcie spokojnie wszystko przemyśleć. Pewnie, że chciałabym pomóc uwolnić Josepha, ale skąd mam wiedzieć, na czym ta pomoc będzie polegać? W głowie pojawiło się tysiąc pytań, na które nie znałam odpowiedzi. Chodzi o walkę? Mam kogoś zabić? Czy naprawdę zależy mi na obaleniu tego rządu? A jeśli w kraju zapanuje anarchia? Czy Anglicy rzeczywiście tak źle nami rządzą? Czy jestem przygotowana na każdą okoliczność? Przecież nawet nie umiem posługiwać się bronią! Mam na czyjś rozkaz zabijać niewinnych ludzi?

Przycisnęłam termofor. Ciepło i dotyk miłej bawełny, którą owinięta była butelka, działały na mnie kojąco. Wygląda na to, że nie mam wyboru. I tak mnie nie wypuszczą, więc poczekam na rozwój wydarzeń. Albo jest się z nimi, albo przeciwko nim. A jak przeciwko, to i tak się mnie pozbędą. Cullen wyraźnie to powiedział. Cokolwiek ma się stać, jestem teraz częścią ich planu.

25

Obudziła mnie francuska pokojówka, przynosząc tacę z herbatą i ciasteczkami. Leżałam w przepięknym pokoju, do którego przez koronkowe zasłony wpadało światło z ogrodu. Nie zdążyłam jeszcze napić się herbaty, a pokojówka wróciła, niosąc dzbanek z gorącą wodą. W kominku już palił się ogień. Przede mną leżały czyste ubrania. Pobyt w tym domu nie będzie nieprzyjemny – pomyślałam. Oczywiście wewnętrzny głos natychmiast mi przypomniał, że jestem tu przetrzymywana wbrew własnej woli. O ironio, po raz drugi w ciągu kilku tygodni znalazłam się w luksusowym więzieniu.

W świetle dnia moja odważna propozycja pomocy wydawała się przesadnie dramatyczna i śmieszna. W jakiż to sposób mogłabym włamać się do więzienia? Podobne wyczyny należy zostawić przeszkolonym mężczyznom. Szczerze powiedziawszy, choć zależało mi na uratowaniu Josepha, nie bardzo miałam ochotę na udział w równie ryzykownej akcji. Nie jestem jednak aż tak gorliwą patriotką – uznałam. Krążyłam po pokoju i zastanawiałam się nad możliwością ucieczki.

Przemknęło mi przez myśl, że inspektor Harris mógł mnie obserwować w hotelu Shelbourne i zauważyć, że zniknęłam. Ale żeby wiedzieć, że zostałam porwana, musiałby mnie śledzić bez przerwy, a to jest raczej mało prawdopodobne. Zwłaszcza teraz, gdy okazało się, że już nie jestem podejrzana. Po chwili przyszedł mi do głowy Fitzpatrick. Pojawił się znikąd i bardzo chciał się ze mną zaprzyjaźnić. Ciekawe... Przecież nie jestem ani piękna – zwłaszcza w porównaniu z taką, dajmy na to, Granią – ani majętna. Skąd więc to nagłe zainteresowanie? Może współpracuje z policją i na jej zlecenie mnie obserwował?

Tak czy siak jestem teraz w gorszych tarapatach niż wcześniej – pomyślałam. Inspektor Harris gotów uznać, że celowo zniknęłam mu z oczu. A co z Mary Ann? Jak mam jej szukać, skoro nie wolno mi się stąd ruszyć?

W końcu to dla niej przyjechałam do Irlandii. Po chwili uświadomiłam sobie jednak, że Tom Burke nie wyznaczył mi żadnych ram czasowych. Skoro w tym momencie nie finansuje moich wydatków, mój czas należy do mnie. Czemu nie skorzystać z okazji i nie spędzić kilku dni na koszt Granii Hyde-Borne? A co mi tam! I tak nie mam wyjścia. Najrozsądniej będzie przestać się martwić i poczekać na rozwój wypadków – postanowiłam. Kiedy już zwalczyłam w sobie poczucie winy, umyłam się, ubrałam i zeszłam na dół do jadalni. Na śniadanie podano wędzonego łupacza, jajecznicę i cynaderki.

Jadłam właśnie grzankę z dżemem, kiedy pojawiła się Grania.

– Twoje rzeczy zostały zabrane z Shelbourne. Przekazałam im, że dostałaś niespodziewaną wiadomość z Ameryki i musisz natychmiast wracać do domu – powiedziała.

– Rozumiem – odparłam. – A więc mam tu pozostać w charakterze więźnia?

– Jakiego więźnia? Na Boga! Nie mów tak. Jesteś tu mile widzianym gościem. Zakładam, że pokój ci się podoba?

– Pokój jest piękny – powiedziałam. – I już się w nim rozgościłam. Ale mam w Irlandii pracę do wykonania. Zobowiązałam się odnaleźć Mary Ann Burke.

– Coś ci zaproponuję – oznajmiła, przysuwając sobie bliżej krzesło. – Roześlę swoich szpiegów, jeśli chcesz. Wiem, że Cullen nie będzie zadowolony, gdy zaczniemy pytać na mieście i tym samym zwracać na siebie uwagę, ale poproszę o pomoc najbardziej dyskretne dziewczęta ze stowarzyszenia Cór Irlandii. Być może się dowiedzą, czy twoja Mary Ann jest nadal w mieście i co się z nią stało po śmierci Terrence'a.

– Naprawdę? – Uśmiechnęłam się do niej promiennie. – Będę twoją dłużniczką.

– Chętnie pomogę. – Poklepała mnie po ramieniu, jak gdybym była jej pieskiem.

– Graniu, dlaczego to robisz? – zapytałam.

– Przecież potrzebujesz pomocy.

– Nie o to pytam. Chodzi mi o twoją współpracę z Bractwem. Ogromnie

ryzykujesz.

Popatrzyła na mnie z uśmiechem.

– Przesadzasz. Ryzyko wcale nie jest takie wielkie. Ja jedynie ułatwiam sprawy. Kontaktuję ludzi ze sobą, przekazuję wiadomości. Znam wszystkich w tym mieście. Uchodzę za godną zaufania, stateczną damę. Mam przestronny dom, który pod nieobecność męża udostępniam na tajne spotkania.

– Twój mąż dużo wyjeżdża?

– Uważa, że Irlandia jest straszliwie nudna – odparła. – I dlatego woli spędzać zimy w naszym domu w Londynie, a wiosnę w Paryżu. Zazwyczaj podróżuję razem z nim i tylko w tym roku, wiedząc, że Cullen wróci, wymówiłam się słabym zdrowiem. Kiedy faktycznie dojdzie do odbicia więźniów, będę na statku do Liverpoolu, w drodze na spotkanie z mężem.

– Nadal nie odpowiedziałaś na moje pytanie. Czy robisz to dla Cullena?

– Dla Cullena? – powtórzyła rozbawiona. – Dlaczego miałabym to robić dla Cullena? Nie jestem pod jego rozkazami.

– A pod jego urokiem? – zapytałam ostrożnie. – Sama zasugerowałaś, że Oona Sheehan zgodziła się na plan z kuframi tylko dlatego, że ciągle coś czuje do Cullena.

Popatrzyła na mnie z uśmiechem.

– Dlatego myślisz, że ja też do niego wzdycham? Jakie to słodkie! Kochanie, przecież jestem zamężna.

– Mężatka też może się zakochać.

– Będę z tobą szczera – oznajmiła. – Nie kocham męża. Wyszłam za niego, bo dużo oferował: pieniądze, władzę, podróże i dostatnie życie. I rzeczywiście miałam kiedyś przelotny, choć ekscytujący romans z Cullenem. Stare dzieje... oboje byliśmy młodsi. Ale Cullen kocha jedynie Irlandię. Ja natomiast potrzebuję kogoś, kto będzie mnie wielbił nie tylko dlatego, że mogę być przydatna. Zrozum, jesteśmy wyłącznie oddanymi sobie przyjaciółmi, nic więcej.

– Mimo wszystko wrócę do pytania – powiedziałam. – Po co ryzykować? Dom, pozycję, pieniądze? Nie wierzę, że nienawidzisz Anglików. Na pewno

popierasz ich rządy.

– Wręcz przeciwnie – powiedziała. – Zupełnie nie popieram. Myślę, że jesteśmy do siebie podobne. Nie lubimy, jak ktoś nami rządzi. A jeśli już, powinni to być nasi ludzie, którym leżą na sercu wspólne interesy. Dlaczego uważasz, że popieram Anglików? Jestem Irlandką; moja rodzina mieszka tu od czterystu lat. Chyba mamy prawo czuć się Irlandczykami, nie sądzisz? Uważam, że Irlandia mogła być zamożnym krajem; ba, powinna być zamożnym krajem. Ale ujarzmiono nas za pomocą niesprawiedliwych podatków i ograniczeń. Anglicy zabrali sobie co najlepsze i zaczęli prześladować katolików. Na naszej własnej ziemi staliśmy się obywatelami drugiej kategorii. Większość narodu jest zbyt zastraszona, aby mówić o tym głośno. Dlatego potrzebni są tacy ludzie jak ja i Cullen. Musimy zagrzać innych do walki i działania.

– A więc jesteś gotowa położyć wszystko na jednej szali?

– Jeśli zajdzie taka potrzeba.

– Żałuję, że nie mam w sobie twojego zapału. Wierzę w sprawiedliwość, ale nie potrafiłabym tak ryzykować tylko po to, by doprowadzić do zmiany władzy.

– Każdy sam obiera swoją ścieżkę życiową – powiedziała Grania. – Nie mogłabym zmusić nikogo, aby podążał moją. Chodź. Pójdziemy do twojego pokoju i upewnimy się, czy masz wszystko, czego potrzebujesz. Obawiam się, że rozmowa z Françoise nie przyniosłaby efektów. Chyba że mówisz po francusku.

Dotarłyśmy do drzwi jadalni, kiedy pojawił się starszy pan.

– Jaśnie pani, czy zjadła już pani śniadanie? – zapytał.

– Tak, skończyłam. Dziękuję, Bertie.

Szybko przeszłyśmy obok niego. Serce zabiło mi mocniej.

– Jaśnie pani? – wykrztusiłam. – Nie zdawałam sobie sprawy. Przepraszam za tupet.

– Jaki tupet?

– Zwracam się do ciebie po imieniu – wytłumaczyłam.

Grania parsknęła śmiechem.

– Moja droga, w stowarzyszeniu Cór Irlandii i w Bractwie wszyscy zwracamy się do siebie po imieniu. A ty przecież jesteś teraz jedną z nas.

– Myślałam, że każdy musi mieć pseudonim.

– Moja miła, nie ukryję, kim jestem. Każdy w Dublinie zna Granię. Uważają mnie za trzpiotkę. Wesołą, niepoważną i dlatego nieszkodliwą. To świetnie działa.

Co powiedziawszy, wzięła mnie za rękę i poprowadziła do pokoju. Ktoś schował moje ubrania. Przez otwarte okno wpadało przyjemne świeże powietrze o lekkim zapachu soli. W innych okolicznościach czułabym się tu niewymownie szczęśliwa, ale teraz wyraźnie mi doskwierał ucisk w żołądku.

– Zajdź do biblioteki i wybierz sobie coś do czytania – zaproponowała Grania. – Ciągle ktoś mnie odwiedza, a raczej nie powinnaś się pokazywać moim gościom, tak na wszelki wypadek.

Kiedy znów byłyśmy na schodach, starszy służący wracał od drzwi wejściowych, niosąc tacę.

– Poczta przyszła, jaśnie pani – oznajmił. – Czy mam ją zanieść do pokoju dziennego? Jest list od lorda Ashburtona.

– Naprawdę? – Na pięknej twarzy Granii pojawił się grymas. – No cóż, powinnam go natychmiast przeczytać. – Zabrała listy z tacy.

Wahałam się, stojąc w holu, niepewna, czego ode mnie oczekuje, ale przy drzwiach do jednego z pokoi odwróciła się i powiedziała:

– Chodź, Molly.

Weszłyśmy do jasnego, przestronnego pomieszczenia, w którym stały krzesła obite woskowaną bawełną we wzory. Grania podeszła do damskiego sekretarzyka, wyjęła nóż do papieru i otworzyła kopertę. Zostałam przy drzwiach, nie dlatego, że nie poprosiła, bym usiadła, ale dlatego, że próbowałam sobie przypomnieć, dlaczego nazwisko Ashburton brzmi znajomo. Ktoś o nim ostatnio wspominał...

– Kim jest lord Ashburton? – zapytałam w końcu.

Spojrzała rozbawiona.

– Moim mężem, oczywiście.

Jak tylko wypowiedziała te słowa, olśniło mnie. Sir Toby Conroy mówił w Ormond Hall: „Jest teraz wielką damą. Lady Ashburton”.

Patrzyłam na nią jak zaklęta, próbując złożyć kawałki układanki.

– Jesteś siostrą Toby’ego Conroya – usłyszałam własny głos.

Spojrzała zdziwiona.

– Tak. Znasz Toby’ego?

– Byłam w twoim rodzinnym domu w poszukiwaniu Mary Ann Burke – odparłam. – Dlaczego mi nie powiedziałaś, że ją znasz?

Zamilkła i odezwała się dopiero po dłuższej pauzie.

– To jest ta Mary Ann, której szukasz?

Skinęłam głową.

– Twoja niania, prawda? Uciekła ze stajennym.

– Moja Mary Ann? Zdumiewające – powiedziała. – Wiesz, nigdy nie przyszłoby mi do głowy, że mówimy o tej samej osobie. Chyba nigdy nie słyszałam jej nazwiska. No cóż, służący nie mają nazwisk... Wydaje mi się, że zawsze zwracałam się do niej per „nianiu”, choć wiedziałam, że ma na imię Mary Ann. A co do ucieczki ze stajennym... nie miałam pojęcia, co się stało. Jednego dnia była z nami, a drugiego już nie. Babcia zabroniła mi o niej wspominać. Długo za nią tęskniłam. Czy jesteś całkowicie pewna, że to ona przyjechała do Dublina z Terrence’em Moynihanem? Naprawdę nie umiem sobie wyobrazić, że moja Mary związała się z poetą rewolucjonistą.

– Tak, jestem pewna – potwierdziłam.

– No cóż, w takim razie tym bardziej powinnam ci pomóc – stwierdziła Grania. – Możesz być pewna, że poruszę niebo i ziemię. Jeśli nadal jest w Dublinie, znajdę ją dla ciebie. Sama też chętnie się z nią spotkam. Byłam do niej bardzo przywiązana. A teraz wybacz, ale muszę przeczytać list od męża.

Podeszłam do okna i odkryłam, że wychodzi na elegancki plac zabudowany wysokimi kamienicami. Opiekunki pchały dziecięce wózki, handlarze dostarczali towary do sklepów, a damy spacerowały, ciesząc się porankiem. Zwyczajny, spokojny dzień – pomyślałam. Co by się stało, gdybym podeszła

do drzwi, a następnie wyszła z domu? Czy ktoś by za mną pobiegł? Czy wolno by mi było opuścić kraj?

Po chwili oczywiście uznałam, że nie zostawię Liama i Josepha na lodzie. Usiadłam na bambusowym krześle i sięgnęłam po czasopismo. Ledwie je otworzyłam, usłyszałam stłumiony okrzyk Granii.

– O mój Boże!

– Co się stało?

– Gorzej być nie może – powiedziała zdenerwowana. – Gerald wraca za parę dni. Kupił młodą klacz i chce ją zobaczyć na wyścigach. Służących przysyła wcześniej, a sam będzie tu w piątek. Cholera jasna!

Popatrzyłam na nią z zainteresowaniem. Nie słyszałam wcześniej, by kobieta jej pokroju przeklinała. Robią to tylko osoby niższej proweniencji, które i tak nie potrafią się inaczej wyrażać.

Spojrzała na mnie, marszcząc brwi.

– To nam okropnie pomiesza szyki! Nie będę mogła urządzać w domu żadnych spotkań, a ty i Cullen musicie się natychmiast wyprowadzić. Mogłabym cię zabrać do naszego domu na wsi, ale z dala od linii kolejowej byłabyś bezużyteczna dla sprawy. Muszę szybko znaleźć wam nową kryjówkę. Dzisiaj w porze obiadowej mam jedno spotkanie. Stowarzyszenie Cór Irlandii ma się tutaj zebrać jutro wieczorem. Módlmy się tylko, żeby służący Geralda nie wrócili wcześniej, bo inaczej będziemy w prawdziwych tarapatach. – Wstała. – Lepiej pójdę zbudzić Cullena. On zawsze śpi do południa. Musi mi pomóc zdecydować, co dalej.

Kilka minut później nieogolony i rozczochrany Cullen zszedł po schodach, głośno tupiąc. Wyglądał teraz na prawdziwego rewolucjonistę, co w moich oczach tylko dodawało mu uroku.

– Mówiłaś przecież, że zawsze spędza zimę w Londynie – powiedział z wyrzutem. – Byłaś tego taka pewna.

– Bo zazwyczaj tak jest. Skąd miałam wiedzieć, że postanowi kupić klacz wyścigową, a następnie będzie chciał zobaczyć, jak ona sobie radzi w Irlandii?

– Cóż, nie mamy na to żadnego wpływu – przyznał Cullen. – Piekielne utrapienie! Muszę natychmiast zniknąć. Nikt nie może mnie tu zobaczyć.

– Zostało kilka dni, nim przyjedzie służba – zauważyła Grania. – Teraz wychodzę na ważne spotkanie, ale potem ruszę głową i zdecyduję, gdzie możesz się ukryć.

– Nie możesz odwołać tego spotkania? – warknął Cullen. – Mamy prawdziwy problem, Graniu. Nie tylko moje życie, ale również los Bractwa jest w niebezpieczeństwie.

Uśmiechnęła się czule.

– Mój kochany, zawsze taki patetyczny – powiedziała. – Naprawdę pisałeś niezłe dramaty. Szkoda, że przestałeś.

Podeszła do niego i pogłaskała go po policzku.

– Muszę być ostrożna. Nie mogę dać ludziom powodów do plotek. Jeśli Grania nie pójdzie na obiad ze swoimi przyjaciółmi, przyjdą sprawdzić, co się stało. Obiecuję, że zanim Gerald wróci, znajdę wam kryjówkę. A teraz idź się ogolić. Wyglądasz jak bandzior z Południa.

26

Nie zostałam wtajemniczona w tajny plan ewakuacji, ale spakowałam się, by w każdej chwili być gotowa do wyjazdu. Powiedziałam o tym Cullenowi, kiedy spotkaliśmy się w salonie.

– Jeśli chodzi o ciebie, Molly, to mogłabyś jeszcze tu zostać parę dni – zauważył. – Grania jest zawsze gościnna dla przyjaciół swoich przyjaciół i jestem pewien, że wymyśli ci wspaniałe alibi.

– Ale byłoby mądrzej, gdyby mnie tu nikt nie zobaczył – odparłam. – Jestem bardzo podobna do braci.

Spojrzał na mnie przeciągle.

– Owszem, byłoby rozsądniej, choć moim zdaniem podobieństwo jest powierzchowne i dotyczy głównie koloru włosów. Buzię masz dziesięć razy ładniejszą niż oni.

Nie wiedziałam, jak potraktować ten komplement, i poczułam, że się czerwienię. Zdziwiłam się, że dostrzegł we mnie coś więcej niż tylko dziewczynę, która może stwarzać problemy i szpiegować na rzecz Anglików. Przeszedł przez pokój i stanął tuż przy mnie. Następnie położył mi rękę na ramieniu i pochylił głowę. Przez chwilę myślałam, że mnie pocałuje, ale tylko odezwał się tym swoim niskim głosem:

– A, i jeszcze jedno, Molly, skoro jesteśmy sami. Grania organizuje tu jutro wieczorem spotkanie Cór Irlandii. Oczywiście zechce, byś wzięła w nim udział. Nie wszystkim tym kobietom można ufać, więc nie mów nic, czego mogłabyś później żałować. Ani słowa o braciach. Jesteś przyjaciółką rodziny, przyjechałaś z Nowego Jorku. Wystarczy. Rozumiesz?

– Tak – powiedziałam – ale myślałam...

– Grania bywa naiwna – mruknął. – To może nas kiedyś zgubić.

W tym momencie Grania weszła do pokoju.

– Mam nadzieję, że nie próbujesz uwieść naszej Molly – powiedziała od razu.

– Udzielałem jej tylko ojcowskich rad, Graniu.

– Zbyt dobrze cię znam, mój miły. – Rzuciła mu wyzywający uśmiech.

– Człowiek musi mieć jakieś przyjemności w życiu – zauważył Cullen. – Bóg jeden wie, że zrezygnowałem prawie ze wszystkiego.

– Uważaj na niego, Molly – zwróciła się do mnie Grania. – Nie daj się omamić.

– Wręcz przeciwnie – odpowiedział Cullen. – Można mi ufać pod każdym względem. Przy mnie, Molly, jesteś bezpieczna.

Zdjął rękę z mojego ramienia, poklepał mnie po przyjacielsku i wyszedł z pokoju. Zrobiło mi się trochę smutno.

Tego samego dnia Cullen zniknął. Kiedy zapytałam, gdzie jest, Grania tylko wzruszyła ramionami.

– Postanowił odejść przed jutrzejszym spotkaniem Cór Irlandii. Chyba nie w pełni nam ufa. I z pewnością nas nie docenia. Uważa, że powinnyśmy się raczej zająć działalnością dobroczynną, a nie szukać guza w świecie polityki i angażować się w walkę o niepodległość.

– Przecież nie ma racji – zauważyłam. – To wasza Królowa Mab dostała informacje o dostawie broni.

– Bractwo jest pod obserwacją – powiedziała Grania. – Wprawdzie Anglicy nie do końca wiedzą, że zostało wskrzeszone, ale uważnie patrzą na ręce wszystkim, których coś łączy z ruchem republikańskim. Dlatego nam, kobietom, powinno się dać większą swobodę działania.

– A Córy Irlandii? Nie jesteście chyba tajną organizacją, prawda? Spotkałam niedawno młodą kobietę, która otwarcie mówiła o waszym stowarzyszeniu i zaprosiła mnie nawet na spotkanie.

– I o to właśnie chodzi. – Grania się uśmiechnęła. – Nasza wspaniała założycielka Maud Gonne, którą widziałaś niedawno na scenie, ma następującą wizję: Córy to organizacja, która powinna poprawiać warunki

społeczne w Irlandii oraz upowszechniać kulturę. Ideał godny naśladowania. Wszystkie go popieramy. Ale w naszej grupie są też i takie, które pracują na rzecz sprawy republikańskiej w bardziej aktywny sposób, jeśli wiesz, co mam na myśli. Tylko my wiemy, kim jesteśmy. Obowiązuje całkowita dyskrecja. Używamy pseudonimów.

Skinęłam głową.

– Wasza przywódczyni to Królowa Mab.

– Większość członkiń nie ma pojęcia, kim jest Królowa Mab. Jeśli ktoś ją zidentyfikuje, wszystko na nic. Stanie się bezużyteczna.

Uśmiechnęła się w taki sposób, że nagle przyszła mi do głowy pewna myśl. To Grania jest Królową Mab! Przypomniałam sobie, jak Cullen się z nią droczył. Mówił, że zachowuje się jak królowa Wiktoria. Śmiał się, że kolejna królowa zasiada na tronie. Postanowiłam, że podczas nadchodzącego spotkania będę uważnym obserwatorem. Czułam się, jakbym była w teatrze i śledziła pasjonujące przedstawienie. Oczywiście pamiętałam, że wcale nie jest zabawnie: mój brat dostał wyrok śmierci. To samo groziłoby Cullenowi, gdyby go złapano. Być może groziłoby nam wszystkim.

Następnego dnia salon zapełnił się krzesłami. Kobiety zaczęły się schodzić. Wśród tych, które przyszły wcześniej, była Maud Gonne. Bez scenicznego makijażu wyglądała jeszcze piękniej. Objęła Granię i obeszła pokój, podając wszystkim rękę. Zostałam przedstawiona jako gość z Ameryki, co przyjęto bez komentarza. Rozpoznałam dwie członkinie Ligi Gaelickiej.

Potem weszła Alice Wester. Rozpromieniła się na mój widok.

– Panna Delaney! Mary. Jak miło cię widzieć! W teatrze zgubiłyśmy się w tłumie, miałam obawy, że nie dowiesz się o naszym kolejnym spotkaniu. Dobrze, że jesteś! Pozwól, że cię przedstawię kilku naszym siostrom.

Wzięła mnie pod rękę i oprowadziła po pokoju. Wszyscy zwracali się do siebie po imieniu i nie miałam możliwości się zorientować, czy były to prawdziwe imiona, czy też, jak mówiła Grania, pseudonimy. Poznałam dwie siostry – Maeve i Tarę; nosiły imiona ważne dla historii Irlandii.

Następnie przedstawiono mnie grupce starszych pań, wśród których rozpoznałam swoją opiekunkę z Ligi Gaelickiej – srogo wyglądającą matronę ubraną na czarno, która zrobiła mi wówczas miejsce obok siebie i martwiła się, że wracam do domu bez opieki. Jakież byłoby jej zdziwienie, gdyby się dowiedziała, co mnie spotkało tamtego wieczoru!

– A więc udało ci się dotrzeć na nasze spotkanie – powiedziała. – Doskonale. Powtórz, jak masz na imię.

– To jest Mary – odpowiedziała za mnie Alice Wester. – Przyjechała do nas z Ameryki. Może po powrocie do domu założy u siebie sekcję naszej organizacji.

– Słyszałam, że za oceanem są już kobiety działające w naszej sprawie – wtrąciła inna matrona. – Prawda, pani Boone?

– Owszem. Jestem pewna, że możemy pomóc Mary nawiązać kontakty w Ameryce. Pod warunkiem oczywiście, że zechce wspierać kulturę irlandzką oraz emancypację kobiet.

– To wspaniale. Jestem jak najbardziej zainteresowana – odparłam z entuzjazmem, choć w głębi duszy wcale nie byłam pewna, czy rzeczywiście tak jest. W tym momencie po prostu potrzebowałam ich akceptacji.

Grania klasnęła w ręce, prosząc o uwagę, i przedstawiła Maud Gonne. Maud wygłosiła długie, płomienne przemówienie o bohaterkach w historii Irlandii i o tym, że wszystkie powinnyśmy je naśladować i nosić w sercach pamięć o przeszłości. W kolejnym wystąpieniu jedna z członkiń Ligi Gaelickiej opowiedziała o przerażająco wysokiej umieralności wśród noworodków w zaniedbanych dzielnicach miasta. Poinstruowała nas również, w jaki sposób możemy poprawić panujące tam warunki sanitarne. Podano herbatę i ciasteczka. Był to jeden z tych kulturalnych wieczorków dla kobiet. Czekałam tylko, aż któraś z obecnych da wykład na temat domowych przetworów. Przenosiłam wzrok z jednej niewinnej twarzy na drugą i nie mogłam uwierzyć, że niektóre z tych kobiet przechowują broń, przemycają tajne wiadomości, a czasem nawet walczą o niepodległość na pierwszej linii frontu.

Piłyśmy herbatę, jadłyśmy ciasteczka i rozmawiałyśmy o niczym, kiedy do

Granii podszedł kamerdyner.

– Przepraszam, że przeszkadzam, jaśnie pani – oznajmił – ale przybyli goście.

– Jacy goście? Mój mąż już jest?

– Nie, jaśnie pani. Pani brat i jego narzeczona oraz kapitan Hartley. Zaprosiłem ich do biblioteki.

Myślałam, że serce wyskoczy mi z piersi. A więc moje obawy były uzasadnione! Narzeczona Toby'ego Conroya to Henrietta Hartley, którą dobrze znam, a jej brat to mój największy wróg. Rozejrzałam się po pokoju, szukając jakiegoś miejsca, gdzie mogłabym się ukryć. W oknach wisiały ciężkie zasłony, w kącie stało pianino, ale w salonie było około trzydziestu kobiet. Któraś przecież zobaczy, jak się chowam – pomyślałam. Jedyna nadzieja, że jakoś zginę w tym tłumie!

– Czy nie powiedziałeś mojemu bratu, że w tej chwili jestem zajęta? – rzekła Grania.

– Powiedziałem, że ma pani gości, jaśnie pani, ale sir Toby poprosił, by pani przekazać, że właśnie przyjechali do miasta. Panna Henrietta bardzo chce się z panią przywitać i przedstawić pani swojego brata.

– Rozumiem. – Grania spojrzała na nas i wyraźnie było widać, że jest zirytowana tą sytuacją. – To takie kłopotliwe. Proszę, wybaczcie, miłe panie. Brat potrafi być nieznośny. Mam nadzieję, że nie zamierzają tu zostać.

Szybko wyszła z pokoju. Serce nadal biło mi jak szalone. Jeśli sir Toby i Hartleyowie przyjechali na dłużej, to ze mną koniec. Grania przedstawi mnie jako przyjaciółkę z Ameryki. Powinnam wyjść razem z resztą kobiet – postanowiłam. To moja jedyna szansa. Może Alice Wester zgodzi się mnie przenocować... Ale co jej powiem? Muszę podać jakiś powód. Próbowałam coś wymyślić, ale głowa odmówiła mi posłuszeństwa.

– Powinnyśmy się chyba zbierać, drogie panie – stwierdziła Maud Gonne. – Spotkanie i tak się prawie zakończyło. Dajmy naszej Granii spokojnie porozmawiać z bratem.

Zaczęła wkładać pelerynę, więc inne panie poszły w jej ślady. Stałam, nie

wiedząc, co począć. Jeśli wyjdę bez wierzchniej odzieży, ktoś na pewno to zauważy. Ale nie mogę przecież tu zostać! Na samą myśl, że Grania przyprowadzi swojego brata i Hartleyów, aby ich przedstawić, ugięły się pode mną nogi. Jeśli są w bibliotece, mogę spróbować teraz wejść na górę i zabrać swoje rzeczy. Ale co potem? Będę musiała znowu zejść po schodach z bagażami. Zbyt duże ryzyko! Słyszałam głos Granii niosący się echem w wyłożonym marmurem holu wejściowym.

– Ależ oczywiście, mój drogi. Gdyby tylko sytuacja była inna...

– Pójdę i powiem Granii, że wychodzimy – rzuciła Maud. – Do kolejnego spotkania, drogie panie. Kontynuujcie świetną pracę. Walczymy dalej.

– Panno Delaney. – Pani Boone dotknęła mojego ramienia. – Czy może mnie pani wziąć pod ramię i pomóc mi zejść po schodach? Wzrok mam już nie taki dobry jak kiedyś. Boję się, że upadnę.

– Oczywiście – powiedziałam.

Wzięła mnie pod rękę.

– Jestem pani bardzo wdzięczna, panno Delaney – powiedziała głośniej i poklepała mnie po dłoni.

Przeszłyśmy przez hol z pozostałymi kobietami, potem na dół po schodach i stanęłyśmy na chodniku. Maud Gonne wsiadała właśnie do dorożki. Pod dom zajeżdżały kolejne. Pani Boone zamachała parasolką i jedna zatrzymała się obok nas.

– Czy byłaby pani taka miła i pomogła mi wsiąść? – poprosiła. – A może gdzieś panią podrzucić?

– Zatrzymałam się tutaj, u lady Ashburton – oznajmiłam – ale trochę się obawiam, że zabraknie dla mnie miejsca, skoro teraz przyjechał jej brat.

– Słyszałam, że i mąż jest podobno w drodze – powiedziała. – Strasznie tu tłoczno. Proszę mnie posłuchać... czemu nie zatrzyma się pani u mnie? Oczywiście pod warunkiem, że nie przeszkadzają pani trochę skromniejsze warunki. Chętnie pokażę pani swój zbiór poezji irlandzkiej. Jestem z niego taka dumna. Pani w zamian wniesie trochę młodości i radości do domu starej, samotnej kobiety. To co, zgoda?

– Z radością przyjmę zaproszenie – odparłam. – Czy sądzi pani, że mogłabym od razu pojechać?

– Dokładnie to samo chciałam zaproponować. Proszę. – Poklepała miejsce obok siebie.

Tego nie trzeba mi było powtarzać.

– Obawiam się, że moje rzeczy są w pokoju na górze. – Spojrzałam na drzwi.

– Proszę wziąć mój szal. Mieszkam niedaleko. Najwyżej dziesięć minut drogi stąd. Nie zamarznie pani na śmierć, jadąc niecały kilometr.

Dorożkarz strzelił z bata i odjechałyśmy. Uciekłam.

27

– Wyrazy uznania, Mary. Rezolutna z ciebie panienka, wszystko chwytasz w lot – powiedziała pani Boone, kiedy dorożkarz opuszczał plac. – Chyba że się mylę i jesteś po prostu bardzo miłą dziewczyną ze wsi, którą rodzice dobrze wychowali i nauczyli pomagać starszym.

Jej twarz w ciemności wyglądała jak wyciosana z białego marmuru. Jasna, pogodna. Czy mogę powiedzieć tej kobiecie całą prawdę?

– Powinnam dać znać pani Ashburton, że wyjeżdżam – zauważyłam. – Będzie się o mnie martwić.

– Nie będzie – powiedziała. – To wszystko było przygotowane.

– Jak to?

– Miałaś zniknąć, moja droga, z tego domu, zanim przyjedzie mąż Granii. Jestem również pewna, że nie chciałabyś się spotkać z jej bratem, tym półgłówkiem, który nie potrafi trzymać języka za zębami.

– Nie wiem, ile pani powiedziano – rzekłam – ale ja nie nazywam się wcale Mary Delaney i...

Poklepała mnie po kolanie.

– Nigdy nie ujawniaj niczego na swój temat, jeśli nie musisz. To zasada numer jeden. Ja będę mówić do ciebie „Mary”, a ty do mnie „pani Boone”.

– Cóż, bardzo dobrze, pani Boone.

Oparłam się o skórzaną tapicerkę i odetchnęłam z ulgą. Wygląda na to, że wreszcie jestem bezpieczna – pomyślałam. Wszystko będzie dobrze.

Jechałyśmy wzdłuż brzegu Liffey w kierunku przeciwnym do tego, w którym szłam parę dni temu, kiedy znalazłam się w Dublinie.

– Powiedziała pani „Adam i Ewa”? – zapytał dorożkarz.

– Właśnie tak – odparła pani Boone.

– A więc dojechaliśmy, kochaniutkie.

– Dziękuję, ale nie jestem dla pana kochaniutką – powiedziała pani Boone. – I na pewno nigdy nie będę.

Dorożkarz się zaśmiał, zatrzymał powóz przed wysokim budynkiem i zsiadł z kozła, żeby nam pomóc.

Rozejrzałam się ze zdziwieniem.

– To kościół – zauważyłam.

– Owszem. Świętego Franciszka. Poczekaj. Tylko zapłacę dorożkarzowi i wejdziemy do środka. Ależ zimny wiatr!

– O co chodziło z tymi Adamem i Ewą? – zapytałam.

– To stara nazwa kościoła, z czasów gdy katolicy musieli wchodzić do kaplicy przez bar o nazwie „Adam i Ewa". Idź za mną, proszę, i patrz pod nogi.

Zauważyłam, że pani Boone idzie dość szybko i wcale nie potrzebuje pomocy na nierównej alejce prowadzącej do kościoła.

– Mam tutaj zamieszkać?! – zawołałam.

Kościół był ciemny, pusty i przerażający. Przez głowę przemknęła mi myśl, że stałam się dla wszystkich ciężarem i postanowili się mnie pozbyć.

– Nie tu, tylko na plebanii. Jestem gospodynią – uspokoiła mnie panie Boone.

– A co na to księża?

– Jest tylko jeden ksiądz. Bardzo uduchowiony człowiek, tak zajęty modlitwą, że niewiele zauważa – odparła. – Poza tym cierpi na reumatyzm i nie może chodzić po schodach. Na poddaszu będziesz całkowicie bezpieczna. Tutaj, patrz pod nogi.

Poprowadziła mnie wzdłuż muru kościoła do stojącego nieco dalej budynku.

– Kładzie się wcześniej spać, bo pierwsza msza jest już o szóstej – szepnęła pani Boone. – Mimo wszystko postaraj się teraz być cicho.

Hol był słabo oświetlony, ale ciepły. Pachniało domowym ciastem. Weszłyśmy po schodach na podest i potem na kolejne piętro. Drewniane

stopnie skrzypiały w niepokojący sposób.

– Tutaj. – Pani Boone pchnęła jakieś drzwi. – Poczekaj, aż zapalę lampę. Nie mamy elektryczności.

Usłyszałam, jak pociera zapałkę, zasyczał knot i ciepłe światło zalało cały pokój. Okazał się dość spartański, z łóżkiem o żelaznej ramie, komodą i stołem z marmurowym blatem, na którym stała miska i dzbanek na wodę. W dachu zauważyłam jedno okienko.

– To nie Ritz, ale będzie ci tu dość wygodnie – stwierdziła. – Nocnik jest pod łóżkiem. Kiedy ksiądz będzie odprawiał poranną mszę, przyniosę gorącą wodę i śniadanie. Na szczęście w tygodniu msze są o szóstej, siódmej i ósmej. Dzisiaj musi ci wystarczyć moja koszula nocna. Może jest za duża, ale przynajmniej będzie ci ciepło.

– Dziękuję – powiedziałam. – Jest pani bardzo miła.

– Spełniam tylko chrześcijański obowiązek – stwierdziła. – Nie mam rodziny, a tu jest dużo miejsca. W naszym stowarzyszeniu musimy sobie pomagać, więc zgodziłam się przyjąć siostrę w opałach. A teraz dobrej nocy. I proszę, nie ruszaj się stąd i nie schodź na dół, dopóki ci nie powiem.

Zamknęła za sobą drzwi. Rozebrałam się w świetle lampy, następnie ją zgasiłam i weszłam do łóżka. W pokoju panowała całkowita ciemność. Leżałam, słuchając wiatru w kominie i sygnałów na rzece. Było mi zimno, czułam się opuszczona i samotna. Tak bardzo chciałam się znaleźć na Patchin Place, w moim małym domku na tej samej ulicy, gdzie mieszkają Sid i Gus. Zatęskniłam też za Danielem. Wyobraziłam sobie, że oplatają mnie silne ręce, że kładę głowę na jego ramieniu. Zawsze sądziłam, że instytucja małżeństwa jest raczej utrapieniem, ale teraz zapragnęłam, by zaopiekował się mną jakiś mężczyzna. Może powinnam porzucić te wszystkie mrzonki o agencji detektywistycznej i zabrać się do pieczenia bułeczek oraz haftowania – pomyślałam. Tego wieczoru mój nastrój pozostawiał wiele do życzenia.

Już prawie spałam, kiedy dobiegł mnie jakiś hałas na korytarzu. Było to delikatne skrzypnięcie deski w podłodze, ale wystarczyło, by natychmiast wyrwać mnie ze snu i postawić w stan gotowości. Pani Boone powiedziała, że jestem tu bezpieczna... Chyba nie przyszła sprawdzić, jak się czuję. Leżałam

w napięciu, wstrzymując oddech, ale nie usłyszałam nic więcej. Uznałam, że to pewnie kot poluje na myszy, i już się uspokoiłam, kiedy skrzypnięcie się powtórzyło, tym razem bliżej moich drzwi. Wyskoczyłam z łóżka. W pokoju było zupełnie ciemno. Mogłam dostrzec tylko zarys okna w dachu, białą narzutę na łóżku i nic więcej. Stałam, nasłuchując z bijącym sercem.

Znowu zapadła cisza. Potem drzwi powoli zaczęły się otwierać. Byłam zbyt przerażona, żeby krzyczeć. Wmawiałam sobie, że to pani Boone przyszła sprawdzić, czy śpię. Bardziej wyczuwałam, niż widziałam jakąś dużą postać. Po chwili usłyszałam, że drzwi się zamykają, i zrozumiałam, że jestem uwięziona w pokoju sam na sam z intruzem, kimkolwiek jest. Próbowałam sobie przypomnieć, gdzie stoi stół z dzbankiem na wodę. Zimny prysznic zaskoczy każdego i pozwoli mi dostać się do drzwi i uciec po schodach. Zastanawiałam się, gdzie jest pokój pani Boone i czy ośmielę się zawołać o pomoc.

Intruz zaklął po męsku pod nosem. Najwyraźniej potknął się o jakiś mebel. Wciąż był jeszcze daleko ode mnie. Rozległo się syczenie i zapłonęła zapałka. W tej samej chwili mnie zobaczył. Krzyknęłam, a on tylko westchnął. Zapałka poleciała w powietrze i zgasła.

Chwycił mnie w okamgnieniu, wykręcił mi rękę na plecy i zacisnął dłoń na ustach.

– Tylko spróbuj się ruszyć lub krzyknąć, a skręcę ci kark – powiedział spokojnie. – Dobrze. Mów, kim jesteś.

Rozpoznałam ten głos!

– Cullen? – ledwo zdołałam wydusić. – To ja, Molly Murphy. Puść mnie.

Posłuchał, zapalił kolejną zapałkę, a potem lampę.

– Jezusie, Maryjo i Józefie święty! – wykrzyknął. – Co ty tu, u diabła, robisz?

– To chyba ja powinnam zadać to pytanie. W środku nocy wpadasz do pokoju, w którym śpi kobieta!

– To jest mój pokój. Ja tutaj mieszkam.

– Pani Boone mnie tu umieściła. Jeśli nie wierzysz, zejdź na dół i ją obudź.

– Ależ ja też dostałem ten pokój! Poczekaj chwilę.

Przeniósł lampę w kierunku drzwi, otworzył je i oświetlił korytarz.

– Przepraszam, mój pokój jest obok – oznajmił zażenowany. – Nigdy wcześniej nie musiałem szukać drogi do drzwi w ciemności. Nic, tylko się zgubiłem. Najmocniej cię przepraszam.

– Przeprosiny przyjęte – powiedziałam.

Zaczął się śmiać.

– Nie miałem pojęcia, że na tym poddaszu jeszcze ktoś mieszka. Powiedziała mi, że będę tu sam. Właśnie wracam ze spotkania.

– Śmiertelnie mnie wystraszyłeś – stwierdziłam.

– Śmiertelnie? Moja droga, z wzajemnością.

– Masz szczęście, że nie znalazłam nic, czym mogłabym cię uderzyć w głowę – zauważyłam. – Bo leżałbyś teraz nieprzytomny.

– Naprawdę? Chyba cię nie doceniam, panno Murphy.

Nadal się uśmiechał, ale po chwili spoważniał.

– Powiem ci, co sobie pomyślałem. Uznałem, że Anglicy wpadli na mój trop i przysłali kogoś, żeby mnie sprzątnął. Od kiedy tu jesteś?

– Zaledwie od paru godzin – odparłam. – Przyjechał brat Granii, więc pani Boone niepostrzeżenie zabrała mnie ze sobą do domu.

– Szybko działa ta nasza pani Boone. – Cullen skinął głową z aprobatą.

– Ale nic nie mówiła, że ktoś tu jeszcze jest. Zapewniła, że będę całkowicie bezpieczna.

– Poprosiłem, by nikomu nie zdradzała, gdzie mieszkam. Sam zdecyduję, czy ktoś może się o tym dowiedzieć. Zazwyczaj śpię o tej porze, ale coś mi wypadło w ostatniej chwili i musiałem wyjść na spotkanie. – Spojrzał na mnie i uśmiechnął się czarująco. – Wygląda więc na to, że po raz drugi trafiliśmy pod ten sam dach, panno Murphy.

Musiał zauważyć, że jest mi zimno, bo powiedział:

– Mam butelkę whisky w pokoju. Myślę, że oboje potrzebujemy czegoś mocniejszego. Napędziliśmy sobie nawzajem niezłego stracha. Potrzymaj

lampę. Zaraz wracam.

Po chwili zjawił się z butelką i szklanką, do której wlał mi sporą porcję alkoholu.

– Ja w zasadzie nie piję mocnych trunków – zaoponowałam.

– Spróbuj. Dobrze ci zrobi. Jednym haustem.

Wcisnął mi szklankę do ręki. Wzięłam łyk, zakaszlałam i znowu się napiłam.

– Dzisiejszy wieczór niech będzie dla nas nauczką – stwierdził. – Od tej pory powinniśmy być ostrożni. Wróg nie jest taki głupi, jak nam się wydaje. Musimy się przygotować i pamiętać, że nasz plan może się nie powieść. Najważniejsze to nie panikować.

– Mówisz o ucieczce z więzienia? – zapytałam.

– Właśnie o tym mówię – odparł. – Ustaliliśmy datę. Dwudziesty drugi października. Za tydzień i kilka dni.

– Czy będziesz potrzebował mojej pomocy? W jakiejkolwiek formie?

– Owszem. W zasadzie cały plan jest oparty na twojej pomocy.

– Co dokładnie mam zrobić?

– Nie mogę ci jeszcze tego zdradzić. – Położył mi rękę na ramieniu.

– Lepiej będzie, jak wrócisz do łóżka, zanim pani Boone usłyszy naszą rozmowę i wyciągnie fałszywe wnioski – zauważyłam.

Skierował się do drzwi, ale przed samym wyjściem odwrócił się i rzucił mi szelmowski uśmiech. Po raz drugi tej samej nocy miałam trudności z zaśnięciem.

28

Następnego ranka pani Boone przyniosła mi talerz owsianki i kilka plasterków bekonu.

– Wysłałam chłopaka po twoje rzeczy – oznajmiła. – Powinny tu być niebawem. Dobrze spałaś?

– Owszem, jeśli nie liczyć tego, że w środku nocy wpadłam na Cullena Quinlana i prawie umarłam ze strachu – powiedziałam oschle. – Dlaczego mi pani nie powiedziała, że mieszka w pokoju obok?

– Nie byłam pewna, czy pan Quinlan sobie tego życzy. Proszę, nikomu o tym nie wspominaj – dodała. – Nawet lady Ashburton nie wie, gdzie on przebywa. Anglicy aż do ostatniej chwili nie mogą się o tym dowiedzieć. Od tego zależy życie wielu ludzi.

Spojrzałam na nią. Spokojnie kładła sztućce na marmurowym blacie.

– Czy to pani jest Królową Mab? – spytałam.

– Królową Mab? – Popatrzyła na mnie rozbawiona. – Jedyna Królowa Mab, o której słyszałam, to władczyni wróżek. Ja mam zupełnie inną figurę niż ona, moje dziecko. Pomyśl, jak duże musiałyby być skrzydła, żeby unieść to ciało nad ziemią. – Zachichotała. – Stygnie ci śniadanie.

Zjadłam, potem podeszłam do okna i długo patrzyłam na rzekę i budynek Four Courts wyrastający pomiędzy dachem kościoła a kolejnymi domami. Jak długo przyjdzie mi tu mieszkać? W domu Granii miałam przynajmniej wielką bibliotekę do dyspozycji, no i sama gospodyni zapewniała mi miłe towarzystwo, podobnie jak Cullen. Czy dzięki niemu poczuję się mniej samotna? Zdziwiłam się, że na samą myśl o tym dzielnym człowieku moje serce zaczęło bić szybciej.

Głupstwa – powiedziałam do siebie. Ostatnie, co jest mi w tej chwili potrzebne, to zauroczenie jakimś rewolucjonistą. Marzyłam tylko o jednym:

żeby jak najszybciej znaleźć się na statku do Ameryki i wrócić do poprzedniego życia. Do kawy i rogalików w towarzystwie Sid i Gus, niezapowiedzianych wizyt Ryana i wszystkich innych atrakcji Nowego Jorku. No i oczywiście do Daniela.

Usłyszałam stukot kopyt. Przejechał powóz. W oddali zobaczyłam posterunkowego, który szedł brzegiem rzeki. Czy usłyszałby mój głos, gdybym otworzyła okno i krzyknęła? Przypomniałam sobie o inspektorze Harrisie. Co sobie teraz o mnie myśli? Czy znikając bez śladu, znowu wzbudziłam podejrzenia? Ciekawe, czy dochodzenie w sprawie zabójstwa Rose McCreedy nadal się toczy. „Majestic" pewnie już znowu przybił do portu w Queenstown. Może na jaw wyszły jakieś nowe szczegóły?

Posterunkowy zniknął pomiędzy budynkami, a ja odwróciłam się od okna. Zawsze ciężko znosiłam czekanie i niepewność. Do tego doszła teraz świadomość, że mam być częścią niebezpiecznego spisku i że mój brat zostanie powieszony, jeśli ów spisek nie wypali. Co więcej, wciąż istniało prawdopodobieństwo, że jestem główną podejrzaną w sprawie o morderstwo. No i wreszcie czułam głęboki niepokój, zdając sobie sprawę, że Justin Hartley przebywa obecnie w tym samym mieście co ja. Jestem w pułapce – pomyślałam. W ciemnym tunelu, z którego nie ma ucieczki ani odwrotu. Cullen, co oczywiste, traktował wszystko inaczej. Mimo różnych obaw cieszył się perspektywą wymierzenia Brytyjczykom kolejnego ciosu. Mnie na tym zupełnie nie zależało. Chciałam tylko uratować brata, a następnie uciec stąd jak najszybciej. Bezczynność i tyle czasu na rozmyślania to męczarnia. Szkoda, że nie zapytałam pani Boone, czy mam się wciąż ukrywać, czy też mogę czasem wyjść na spacer.

Na odpowiedź nie musiałam długo czekać. Po południu usłyszałam pukanie do drzwi. Myślałam, że to pani Boone przyszła odebrać tacę po obiedzie – na który, nawiasem mówiąc, podano smaczną pieczeń z jabłkami i sosem. Otworzyłam drzwi i zobaczyłam Cullena.

– Przebierz się. Idziemy na spacer – oznajmił.

– Czy coś się stało? – zapytałam nerwowo.

– Nie, po prostu mam ochotę się przejść, a nienawidzę spacerować sam –

odparł i podał mi płaszcz.

– Dobrze, skoro uważasz, że to rozsądne.

– Nie możemy być zawsze rozsądni – odpowiedział. – Załóż chustę na głowę, tak żeby twoje włosy nie rzucały się w oczy.

Wymknęliśmy się chyłkiem po schodach, a następnie wyszliśmy na zalane słońcem podwórko.

– Myślałem, że oszaleję w tym ciasnym pokoju – westchnął, kiedy minęliśmy przykościelny cmentarz i znaleźliśmy się nad rzeką. – Pewnie czujesz się podobnie.

– Owszem – odparłam. – Wychowywałam się na wsi. Cenię sobie przestrzeń i swobodę.

– A jednak wybrałaś życie w Nowym Jorku, gdzie są tylko budynki i mało zieleni – zauważył.

– O nie! W Nowym Jorku jest bardzo dużo terenów spacerowych. Na przykład Central Park, gdzie można się zgubić i zapomnieć, że jest się w mieście. Wzdłuż nadbrzeża, przy Battery, też przyjemnie się spaceruje. Washington Square znajduje się niedaleko od mojego domu.

– Mówisz tak, jakbyś miała tam dobre życie – stwierdził.

– Bo tak jest.

– Więc mam nadzieję, że bezpiecznie do niego wrócisz – powiedział. – A czy częścią tego dobrego życia jest również jakiś młody mężczyzna?

– Owszem – odparłam po chwili wahania – ale nadal nie jestem pewna, czy ma zostać moim partnerem na całe życie. Pojawiły się komplikacje.

– Tęsknisz za nim?

– Tak. Zdecydowanie za nim tęsknię.

Westchnął.

– Zazdroszczę.

– Jestem przekonana, że masz wiele przyjaciółek – rzuciłam zaczepnie. – Z tego, co słyszałam, Oona Sheehan nadal usycha z tęsknoty za tobą.

– Być może. Droga Oona... – powiedział. – Ten związek był skazany na

porażkę.

– Czemu?

Uśmiechnął się.

– Ona chciała salonowego pieska, oddanego adoratora, który pisałby do niej codziennie liściki miłosne. Nie potrafię być uległy.

– Jasne.

Nasze spojrzenia się spotkały.

– Wydaje mi się, że ty również nie jesteś kandydatką na salonowego pieska – zauważył.

Zaśmiałam się.

– Masz rację. Nie nadawałabym się do tej roli. Za bardzo wiem, czego chcę.

– Lubię zdecydowane kobiety – oznajmił.

– A więc dokąd idziemy? – zapytałam, ponieważ temat stawał się drażliwy. – Na zwykły spacer, żeby rozprostować nogi?

– Tak. Miła para z klasy średniej na przechadzce. Możesz wziąć mnie pod rękę, jeśli chcesz. – Nie czekając na odpowiedź, wsunął moją dłoń pod swoje ramię. – Od dawna tego nie robiłem. Jakie to przyjemne!

Minęliśmy browar Guinnessa. Przy stacji Kingsbridge droga oddalała się od rzeki i prowadziła wzdłuż linii kolejowej w głąb lądu.

– Musimy przechodzić na drugi brzeg? – zaoponowałam. – Tam chyba nie jest przyjemnie.

– Masz rację – powiedział Cullen. – Ten budynek po prawej stronie, za torami, cieszy się szczególnie złą sławą. To Clancy Barracks, moja droga, siedziba pułku Inniskilling Dragoons. Żołnierze króla Edwarda tylko czekają, aby siłą zaprowadzać pokój.

– To po co mamy iść w tamtą stronę? – Szarpnęłam go za ramię. – Zawróćmy.

– Ponieważ jest coś, co chcę ci pokazać – odparł.

Szliśmy dalej, aż dotarliśmy do skrzyżowania. Po przeciwnej stronie ulicy

ukazała się nam ponura fasada z cegły. Budynek był wysoki, prawie bez okien, otoczony stalowym płotem.

– W życiu nie widziałam szpetniejszego gmaszyska – stwierdziłam.

– Moja droga, stoimy przed więzieniem Kilmainham – oznajmił Cullen. – Chciałem, żebyś zobaczyła, co nas czeka. Sam też muszę lepiej mu się przyjrzeć. Samotny mężczyzna mógłby zwrócić uwagę. Ale szczęśliwa młoda para, taka jak my... Nikt dwa razy na nas nie spojrzy.

– A więc przyprowadziłeś mnie tutaj w roli swojego ochroniarza – zauważyłam.

Zaśmiał się.

– Pewnie można to tak ująć.

– Naprawdę piękny spacer, nie ma co – warknęłam i spróbowałam wyszarpnąć rękę.

– Ty też musisz mu się dokładnie przyjrzeć – powiedział. – Przejdźmy na drugą stronę i obejrzyjmy go z bliska.

– Wygląda jak twierdza – zauważyłam. – Tylko jedno wejście i żadnych okien na parterze. Nie rozumiem, jak ktokolwiek mógłby się tam włamać.

– Do środka ty nas wprowadzisz, moja droga – oznajmił Cullen i znowu poklepał mnie po dłoni. – Wszystko zależy od ciebie.

Do domu wracaliśmy w poważnym nastroju, milczący, zajęci własnymi myślami. Tego wieczoru zjedliśmy razem kolację w pokoju Cullena, wypiliśmy butelkę whisky i śmialiśmy się do rozpuku, zapominając na chwilę o ponurym zadaniu, które nas czeka.

Nie spotkałam się z Cullenem następnego dnia ani dzień później. Kiedy pani Boone przynosiła mi jedzenie, nie zadawałam żadnych pytań. Starałam się nie myśleć o więzieniu ani o tym, jaką rolę mam odegrać w spisku. Próbowałam nie myśleć o moim młodszym braciszku zamkniętym w celi bez światła i świeżego powietrza. Wiedziałam, że muszę pomóc go uratować, niezależnie od ostatecznych kosztów.

Kolejnego popołudnia pani Boone przyszła do mojego pokoju.

– Chciałabym cię prosić o przysługę – powiedziała. – Trzeba natychmiast

dostarczyć pewną wiadomość, a ksiądz ma spotkanie z radą parafialną i muszę podać im poczęstunek. Czy byłabyś tak miła i zrobiła to dla mnie?

– Oczywiście, bardzo chętnie – odparłam.

Wręczyła mi cienką kopertę.

– Na Grafton Street jest księgarnia. Przekaż ten list jej właścicielowi. To starszy, siwy mężczyzna. Powiedz, że pani Boone cię przysyła. Będzie wiedział, co zrobić z przesyłką.

– Rozumiem – potwierdziłam.

– Mam pelerynę z kapturem. Włóż ją. Lepiej będzie, jeśli nikt cię nie zobaczy ani nie rozpozna.

Zeszłam na dół i przywdziałam ciężką tweedową pelerynę. Wciągnęłam kaptur na głowę.

– Wracaj od razu, dobrze? – powiedziała.

– Proszę się nie martwić, nie zabawię długo.

Wypuściła mnie przez frontowe drzwi. Słyszałam jeszcze, jak woła:

– Już idę, proszę księdza! Właśnie oddawałam stare ubrania jakiejś żebraczce.

Wiatr znad Liffey uderzył mnie w twarz, więc ucieszyłam się, że mam na sobie ciepłą pelerynę i kaptur. Szłam wzdłuż rzeki, pochylona, i prawie wpadłam na jedną z ławek ustawionych przy brzegu. Uderzyłam się w łydkę i krzyknęłam, przez co mężczyzna siedzący na ławce spojrzał do góry. Rozpoznał mnie, a jego twarz rozświetlił uśmiech.

– Panna Delaney! Tak się cieszę, że znów panią spotykam.

– O, pan Fitzpatrick – wykrztusiłam. Przyznam, że całkiem o nim zapomniałam. – Jak się pan miewa?

– Świetnie, zwłaszcza że widzę panią, panno Delaney. – Nadal uśmiechał się promiennie. – Kiedy nie pojawiła się pani w umówionym miejscu, uznałem, że wyjechała pani z miasta, nic mi nie powiedziawszy.

– W umówionym miejscu?

– Zgodziła się pani pójść ze mną na wyścigi, pamięta pani? Poszedłem sam

i miałem największego pecha w historii. Szkoda, że nie było pani ze mną. Szybciej pokonałbym kiepski nastrój, jestem pewien. Wróciłem do domu bardzo przygnębiony.

– Tak mi przykro – odparłam. – Niespodziewanie spotkałam przyjaciół rodziny, którzy zabrali mnie do swojego domu.

– Musi się pani umówić ze mną na kolację – oznajmił. – Niebawem wracam do Nowego Jorku.

– Wspomniałam panu, że obecnie mieszkam u przyjaciół.

– Nie będą mieli chyba nic przeciwko temu, by zjadła pani kolację z czarującym młodym człowiekiem – powiedział. – Chyba że wśród tych przyjaciół jest zazdrosny kawaler, który mnie wyzwie na pojedynek?

– Może tak być. – Zaśmiałam się.

– Uważam, że zbyt pochopnie mnie pani odrzuca. No cóż... Poradzę sobie zarówno z odrzuceniem, jak i z innym mężczyzną w pani życiu, ale chyba mogę przynajmniej teraz pani towarzyszyć?

– Załatwiam sprawunki dla starszej przyjaciółki – odparłam. – To nic ciekawego.

– Może więc towarzystwo będzie ciekawe. Dokąd idziemy?

– Do kilku nudnych sklepów. Nic tam pana nie zainteresuje – plotłam, co mi przyszło do głowy. – Muszę kupić parę szpilek do włosów, różne preparaty medyczne, krem do twarzy, trochę przędzy do szydełkowania oraz nową powieść. Wszystko po to, by wypełnić dzień starszej pani, która nie wychodzi już zbyt często z domu.

– Być może ucieszyłaby ją wizyta takiego młodego byczka jak ja. Podobno umiem postępować ze starszymi kobietami.

– Naprawdę, to nie jest dobry pomysł, panie Fitzpatrick. To się jej nie spodoba.

– Wszystkim się podoba. Kilka pochlebnych słów z ust przystojnego młodego człowieka i zacznie jeść z ręki.

– Co najwyżej ugryzie pana w rękę, nie żartuję – oświadczyłam.

Jego pewność siebie zaczynała mnie irytować. Rozpieszczony typek, który

nie przepracował w swoim życiu nawet jednego dnia – pomyślałam. A do tego jaka pycha! Uważa się za boga, którego wszystkie kobiety będą nosić na rękach. Uznałam, że intuicja mnie nie myliła. Odrażający człowiek! Od początku nie miałam dla niego cienia sympatii czy zaufania.

– Dobrze, panie Fitzpatrick – zgodziłam się w końcu. – Może pan pójść ze mną na zakupy, jeśli pan chce, ale potem będę zmuszona się z panem pożegnać.

– Panno Delaney, nie zna się pani na żartach – oznajmił z niesmakiem. – Wie pani, że nie zniósłbym czekania w aptece i przysłuchiwania się nudnym rozmowom o zaletach różnych kremów do twarzy. Przyjmę odrzucenie jak mężczyzna i poświęcę się obowiązkom, które od dawna odkładam. Powinienem odwiedzić rodzinę.

Uchylił przede mną kapelusza i zobaczyłam z ulgą, że odchodzi. Zastanawiałam się, w jaki sposób przekazałabym księgarzowi list, gdyby ten irytujący Fitzpatrick stał za moimi plecami.

– Napuszony osioł – mruknęłam do siebie.

„W umówionym miejscu", co za patetyczne określenie! – pomyślałam. Tak jakby sugerował schadzkę.

Poszłam dalej. To określenie nadal mnie męczyło. „W umówionym miejscu"... Gdzie ja to słyszałam? I nagle doznałam olśnienia! Kat na balu przebierańców! Użył dokładnie tego samego określenia.

„Spotkamy się w umówionym miejscu" – powiedział, a ja zbyłam go śmiechem. Ale tego wieczoru zamordowano Rose. Przystanęłam i obejrzałam się. Ten prostacki Fitzpatrick chyba nie był katem? Mówił, że nie brał udziału w zabawie. Niech pomyślę... Może to on zabił Rose, myśląc, że zabija Oonę Sheehan? Ale dlaczego? Próbowałam sobie przypomnieć nasze pierwsze spotkanie. Był niezwykle powściągliwy i poprawny; o ile dobrze zapamiętałam, wyraził nadzieję, że spotkamy się przypadkiem w Dublinie. Zachowywał się zupełnie inaczej niż ten cały Artie Fortwrangler, który zadręczał mnie swoją szczenięcą miłością, i pozostali mężczyźni dobijający się do drzwi kajuty.

Bez przygód dotarłam do księgarni, poczekałam, aż wyjdą klienci, i przekazałam sprzedawcy wiadomość. Starszy mężczyzna odebrał ją

z powagą.

– Założę się, że to kolejne zamówienie od pani Boone – powiedział. – Czy ta kobieta robi coś jeszcze poza czytaniem?

Wyszłam, założyłam kaptur na głowę i ruszyłam w drogę powrotną na plebanię. Kiedy miałam przejść przez ulicę, zobaczyłam, jak ktoś biegnie w moim kierunku, wołając:

– Panno Delaney. Proszę poczekać!

O nie! Znowu Fitzpatrick!

– Wygląda na to, że dzisiejszego popołudnia jesteśmy sobie pisani – oświadczył. – Stoję tu spokojnie, zajęty swoimi sprawami, i kogo widzę? Panna Delaney! Nie ucieknie pani dzisiaj ode mnie. To musi być przeznaczenie.

– Co pan tu robi, panie Fitzpatrick? – zapytałam.

Teraz już nie czułam irytacji, tylko głęboki niepokój. Wiedziałam, że na mnie czekał. Dlaczego? Nie potrafiłam znaleźć odpowiedzi, ale z pewnością nie chodziło o żadne zaloty.

– Przyszedłem z wizytą do cioci – odparł. – A pani? Do kościółka się pomodlić?

– Do cioci? Pani Boone jest pańską ciotką?

– Oczywiście. Proszę mi nie mówić, że pani też ją zna... Co za niezwykły zbieg okoliczności! Niemniej... Czemu się dziwić? Dublin to małe miasto.

Teraz naprawdę nie miałam pojęcia, co powiedzieć. Myśli kłębiły mi się w głowie. Czy Fitzpatrick jest tym, za kogo się podaje? Może jest jednym z nas, na przykład szpiegiem, którego wysłano, by sprawdził, czy broń bezpiecznie przepłynęła przez Atlantyk? To bez znaczenia – zdecydowałam. Jeśli jest oszustem, pani Boone szybko się go pozbędzie. Zastukałam do frontowych drzwi, mimo że były otwarte, i weszłam do środka z Fitzpatrickiem, który podążał tuż za mną niczym cień.

– Pani Boone?! – zawołałam z holu wejściowego.

– Tutaj, moja droga. W kuchni po lewej. Wejdź.

– Mam towarzystwo. Jest ze mną kawaler, który twierdzi, że jest pani

siostrzeńcem.

– Moim siostrzeńcem? Naprawdę?

Wychyliła się z kuchni, wycierając w duży fartuch białe od mąki ręce.

– Niech no spojrzę na tego młodego człowieka, który mówi, że jesteśmy rodziną.

– Ciociu! – Fitzpatrick w dramatycznym geście otworzył ramiona. – Przez wszystkie te lata zawsze chciałem ciocię poznać.

– Obawiam się, że to pomyłka – ostudziła jego zapały pani Boone. – Nie mam siostrzeńców. Byłam sierotą. Więc proponuję, aby się pan oddalił i poszukał swojej prawdziwej ciotki.

– Ależ to właśnie pani jest moją prawdziwą ciotką – oznajmił. – Nie byłem pewien, dopóki pani nie zobaczyłem. Teraz na sto procent wiem, że to prawda. Dzięki tym oczom! Charakterystycznie opadają w kącikach! I jak pani trzyma głowę! Zupełnie jak moja świętej pamięci mamusia i wujaszek Tommy.

– Wujaszek Tommy? – Gospodyni nadal stała w kuchennych drzwiach, z rękami na biodrach, i marszczyła brwi.

– Tommy Burke – odparł Fitzpatrick. – Pani jest Mary Ann Burke, prawda?

29

Pani Boone patrzyła na mnie groźnym wzrokiem.

– Coś ty mu naopowiadała, niemądra dziewczyno?

– Ja? Nic poza tym, że zatrzymałam się u zrzędliwej starszej pani, która jest przyjaciółką rodziny. Nie miałam pojęcia, najmniejszego pojęcia.

Kiedy to mówiłam, zrozumiałam, czemu podczas naszego pierwszego spotkania uznałam, że pani Boone ma męskie rysy. Była bardzo podobna do Tommy'ego Burke'a!

– Jak to nie miała pani bladego pojęcia? – prychnął Fitzpatrick pogardliwie. – Panno Molly Murphy, mój wuj wysłał panią przecież do Irlandii na poszukiwanie tej kobiety. Czyż nie dlatego tu się pani znalazła?

Na dźwięk swojego prawdziwego nazwiska musiałam zrobić jakąś dziwną minę, bo zaśmiał się bezczelnie.

– Sądziła pani, że kupiłem te bzdury o Mary Delaney? Już kiedy rozmawiałem z panią na pokładzie „Majestica", wiedziałem, kim pani jest. Miała pani na głowie tę absurdalną perukę Oony Sheehan. A o tym głupim pomyśle, by zamienić się kajutami, usłyszałem podczas obiadu, który Oona jadła z moim wujem przed podróżą. To wtedy mu się zwierzyła ze swoich planów.

– To dlaczego pan nie powiedział, że zna prawdę? – odparłam ze złością. – Czemu pozwolił mi pan robić z siebie wariatkę?

– Odpowiedź jest dziecinnie prosta. Chciałem, by mnie pani zaprowadziła do ciotki jak po sznurku. Dzięki pani oszczędziłem sobie kłopotów i szukania cioci na własną rękę. Podobno zawsze byłem leniwy i samolubny. Tak czy inaczej nie zamierzam podzielić się fortuną wuja z nieznaną krewną.

Obserwowałam go uważnie i – niestety – dotarła do mnie smutna prawda. Powinnam była wcześniej dostrzec pewne sygnały. Dlaczego uszły mojej

uwagi? To on był katem na balu przebierańców i – co więcej – wyraźnie mnie ostrzegł. „Jestem katem” – powiedział. Zabił Rose przez pomyłkę. Inspektor Harris i ja błędnie rozumowaliśmy, że mordercy chodziło o pannę Sheehan; tymczasem to ja byłam celem. Wcale nie chciał szukać ciotki. Poszedł na łatwiznę, postanowił nie dopuścić, bym dotarła do Irlandii. Spojrzałam na gładką twarz Fitzpatricka i pomyślałam, że muszę postępować bardzo ostrożnie. Nie wiedziałam, co sądzi o tym wszystkim pani Boone, ale nie wyglądała na zaniepokojoną.

– Zrezygnowałam z tego nazwiska dawno temu – oznajmiła – po śmierci Terrence’a. Kiedy zginął z rąk Anglików, poprzysięgłam sobie, że poświęcę resztę życia sprawie republikańskiej. A więc możesz wracać do Ameryki, młody człowieku, i powiedzieć swojej rodzinie, że Mary Ann Burke nie istnieje.

Parsknął śmiechem.

– Zgadza się. Nieźle powiedziane. Tak dokładnie im powiem. Jakże mi to pani ułatwiła!

Sięgnął do wewnętrznej kieszeni płaszcza i jednym płynnym ruchem wyciągnął pistolet. Zanim którakolwiek z nas zareagowała, przystawił mi broń do boku.

– Do kuchni, obie. A ty, Mary Ann, zamknij drzwi. Czy jest ktoś jeszcze w tym domu?

– Ksiądz Flannigan w gabinecie. Rada parafialna ma się spotkać za pół godziny – powiedziała pani Boone.

– Nie zdążą wam przyjść z pomocą – stwierdził. – Za pół godziny obie będziecie martwe.

– Czy mogę zapytać, skąd w tobie taka nienawiść do ciotki, której nigdy nie poznałeś? – zapytała. Nadal sprawiała wrażenie spokojnej i opanowanej, ale to nie ona miała między żebrami lufę pistoletu.

– Ależ wcale cię nie nienawidzę, droga ciociu – odparł Fitzpatrick. – Mój wuj ma dużą fortunę, którą postanowił zapisać w większości tobie, jeśli panna Murphy odnajdzie cię w Irlandii.

– Mojej rodzinie nigdy się nie spieszyło, by mnie znaleźć – powiedziała oschle. – Gdzie byli, kiedy wychowywałam się w sierocińcu, kiedy pracowałam na służbie?

– Tommy Burke dowiedział się o pani istnieniu dopiero, kiedy jego matka była na łożu śmierci i wspomniała o najmłodszej córce – udało mi się wykrztusić, chociaż oddychałam z trudem. – Wcześniej nie miał pojęcia, że jego siostrzyczka została w Irlandii. Chciał jej to natychmiast wynagrodzić. To dlatego mnie tu przysłał.

– Niestety, twoje poszukiwania spaliły właśnie na panewce – oznajmił Fitzpatrick, mocniej wciskając mi pistolet w bok. – Policja znajdzie na plebanii ciała dwóch kobiet. Ja będę w tym czasie spokojnie siedział na statku do Anglii, a potem popłynę do domu. Wuj nigdy się nie dowie, że w ogóle tu byłem i że się poznaliśmy.

– Zabijesz dla pieniędzy? – zapytała pani Boone. – Ty biedny, głupi chłopcze! Nie warto zabijać dla pieniędzy.

– Wręcz przeciwnie. Szczęśliwe życie wieść można tylko wtedy, gdy ma się majątek. Nie pozwolę, by dwie bezczelne baby stanęły mi na drodze.

– A jak zamierzasz tego dokonać? – Głos pani Boone nadal brzmiał nadzwyczaj spokojnie, wręcz obojętnie. – Wiesz, że nie możesz nas tutaj zastrzelić. Gabinet księdza Flannigana jest po drugiej stronie holu, a on ma słuch jak jastrząb. Będzie tu w jednej chwili, a dodam, że w młodości był świetnym bokserem. Tylne drzwi są zawsze zamknięte na klucz, bo zamek jest okropnie zardzewiały, więc nie liczyłabym na ucieczkę tamtędy. Będziesz musiał przejść obok gabinetu księdza i zaryzykować spotkanie z członkami rady parafialnej, którzy przyjdą tutaj lada moment.

– Ty – zwrócił się do mnie Fitzpatrick, który już przestał odgrywać przyjaznego niezdarę. – Otwórz tylne drzwi – dodał i popchnął mnie do przodu pistoletem.

– Nie mogę – jęknęłam, uznawszy, że na tym etapie najlepiej będzie udawać bezradną. – Ręce mi się trzęsą. Nie jestem w stanie! Chyba zemdleję.

– Ruszaj się! – wrzasnął.

– Na pana miejscu nie krzyczałabym tak głośno – zauważyła pani Boone. – Ksiądz Flannigan się zaniepokoi i przyjdzie sprawdzić, co się dzieje. Nie sądzę, że jest pan w stanie pokonać nas troje; zwłaszcza księdza, kiedy się rozzłości. Ależ z ciebie niedojda, dziewczyno. Opanuj się natychmiast. – Uniosła wzrok w wyrazie rozpaczy.

Przez chwilę myślałam, że naprawdę jest na mnie zła, ale potem zrozumiałam, że stara się wskazać mi półkę zawieszoną pod sufitem. Było na niej kilka dużych rondli, jakieś chochle i suszące się ściereczki. Do jej podnoszenia i obniżania służyła zamocowana na ścianie linka. Gdyby tylko jedna z nas mogła się do niej dostać... Gdyby udało się go zwabić we właściwe miejsce!

– No – powiedziała, nadal zirytowana. – Z drogi, ja otworzę, skoro tego chcesz, chłopcze. – Przesunęła nas na bok i zaczęła siłować się z zamkiem w tylnych drzwiach. – Nie był otwierany od lat – stwierdziła. – Jest zamknięty z powodów bezpieczeństwa. Nigdy nie wiadomo, kto się może zakraść od strony morza. Ach, poczekaj chwilę, czuję, że się trochę rusza.

Zerknęłam na Fitzpatricka. Oczy miał skierowane na gospodynię, która siłowała się z zamkiem. Znajdowałam się bardzo blisko tej linki na ścianie, ale wciąż za daleko, by zaryzykować. Najpierw powinnam się pozbyć pistoletu tkwiącego przy moim boku – pomyślałam.

Nagle pani Boone odwróciła się spłoszona.

– Ksiądz Flannigan! – krzyknęła.

Fitzpatrick instynktownie spojrzał w stronę drugich drzwi. Popchnęłam go mocno i uwolniłam linkę. Strzał poszedł w górę, nad moją głową, a półka wraz z górą rondli spadła na intruza, który przewrócił się na podłogę. Jeden z dużych garnków uderzył go z impetem.

Przez kilka sekund napastnik leżał oszołomiony. To wystarczyło, by pani Boone przechwyciła pistolet.

– Zostań tam, gdzie jesteś, chłopcze – rozkazała, kiedy jęknął. – Nie próbuj się ruszać. Powinnam cię była ostrzec, że znam się na rzeczy i nie byłbyś pierwszym człowiekiem, którego ustrzeliłam. Molly, w szufladzie za tobą jest sznurek. Najpierw zwiąż mu nadgarstki, a potem nogi.

Kiedy krępowałam Fitzpatrickowi ręce, zaczął stawiać opór, ale udało mi się dokończyć zadanie. Potem przeszłam do nóg. Wtedy już całkiem się ocknął i musiałam usiąść mu na udach, bo okropnie się miotał.

– Ty głupia starucho! – krzyczał. – Co ty sobie myślisz? Uważasz, że się ciebie boję?

– A jedną z tamtych ściereczek włóż mu do ust – dyrygowała gospodyni.

Zrobiłam wszystko według instrukcji i po chwili mogłyśmy wreszcie podnieść półkę.

– Brawo, Molly – powiedziała pani Boone. – Świetnie się spisałaś. Teraz rozumiem, dlaczego Cullen uznał, że sobie poradzisz. Naprawdę jestem pod wrażeniem.

– Co z nim zrobimy? – zapytałam.

– Nie mam pojęcia – oznajmiła. – Przyszedł nie w porę. Idź na górę i zobacz, czy...

W tym momencie otworzyły się drzwi i do kuchni wszedł Cullen.

– Wydawało mi się, że słyszałem strzał – stwierdził, rozglądając się wokół podejrzliwie. – Matko Przenajświętsza, co się tutaj dzieje?

– Kłopotliwa historia – odparła pani Boone. – Ten młody człowiek śledził Molly już na statku. Jest moim siostrzeńcem, rozumiesz, i nie chciał się z nikim dzielić fortuną swojego wuja. Dlatego postanowił się pozbyć i mnie, i Molly.

– Musimy go stąd natychmiast zabrać – powiedział Cullen. – Poślę po chłopaków. Wywiozą go z miasta.

Popatrzyłam na Fitzpatricka, który leżał związany jak kurczak i przyglądał się nam z przerażeniem.

– Zabijesz go? – wyrwało mi się.

– Nie widzę innej opcji – odparł Cullen. – Planował zastrzelić was obie, prawda?

– Tak, ale to nie jest powód. – Zrobiło mi się żal Fitzpatricka.

– Nie mogę ryzykować i puścić go wolno – stwierdził Cullen. – Co sądzisz, Mab? Najlepiej byłoby go zabrać na morze i wyrzucić za burtę. Łódź czeka

w pogotowiu.

– To ryzykowne.

– Nie możesz go po prostu wepchnąć na statek i wysłać do domu? – zaproponowałam. – Skoro wie, że twoi ludzie go zabiją, jeśli znowu postawi stopę w Irlandii, nie powinien sprawiać kłopotów.

– Kto wie, jakie ma koneksje – odezwał się Cullen. – Może siedzi w kieszeni u angielskiego rządu.

– Jego rodzina uciekła przed głodem – zauważyłam. – Została tylko Mary Ann. Jakie koneksje mógłby mieć w tym kraju?

– Nigdy nie wiadomo. Pod żadnym pozorem nie możemy mu zaufać – upierał się Cullen. – Przykro mi, ale musimy się go pozbyć.

Fitzpatrick jęknął.

Pani Boone zmierzyła go wzrokiem.

– Nie lubię zabijać bez potrzeby – powiedziała – ale nie możemy pozwolić mu odejść. Nie możemy nawet być pewni, że wróci do domu.

Fitzpatrick przez ściereczkę w ustach wydawał coraz bardziej żałosne dźwięki.

– To co robimy? – zapytał opryskliwie Cullen. – Zapraszamy go na podwieczorek?

– Podwieczorek? – Pani Boone zakryła dłonią usta. – Boże miej litość, członkowie rady parafialnej zaraz przychodzą na spotkanie. Cullen, nastaw wodę, a ty, Molly, weź bułeczki z półki i połóż je na talerzu. Najlepiej będzie, jak zaraz zaniosę pierwszą tacę do jadalni. Pistolet leży na stole, jeśli zdecydujecie się go użyć.

Wzięła tacę ze sztućcami i zostawiła nas samych.

Staliśmy z Cullenem nad związanym Fitzpatrickiem i przez chwilę patrzyliśmy na siebie w milczeniu.

– Wygląda na to, że we dwie całkiem dobrze sobie poradziłyście – pochwalił nas Cullen. – Zakładam, że to on zaczął z tym pistoletem?

– Przystawił mi lufę do boku – powiedziałam. – Pani Boone wykazała się

sprytem i spokojem.

– Tak, oczywiście, jest bardzo doświadczona. Wiele przeszła – stwierdził, a ja przypomniałam sobie, jak się do niej zwrócił. Miałam rację. To ona jest Królową Mab. Mab, to jej inicjały: Mary Ann Burke.

Gospodyni po chwili wróciła, wycierając ręce w fartuch.

– Lepiej się przebiorę, zanim pójdę do nich z herbatą – powiedziała. – Cała jestem w mące. To nie najlepiej wygląda.

Cullen szturchnął Fitzpatricka stopą.

– Pójdę teraz do chłopaków i powiem im, żeby przygotowali transport – oznajmił. – Wytrzymacie jeszcze przez chwilę?

– Oj, poradzimy sobie doskonale – odparła spokojnie Mary Ann. – Kiedy rozstawiałam filiżanki do herbaty, coś mi przyszło na myśl – ciągnęła. – Molly wyśle telegram do mojego brata w Ameryce. Opisze mu, co ten chłopak próbował zrobić, i nakłoni do podjęcia odpowiednich kroków, kiedy łobuz już dotrze do domu.

– Co? Chcesz go wysłać do Ameryki?!– zdenerwował się Cullen. – Postradałaś zmysły?

Z zakneblowanych ust Fitzpatricka dobywało się coraz więcej zduszonych dźwięków.

– Myślałam, że tak czy inaczej jedziesz do Francji i mógłbyś go ze sobą zabrać. Później sam zdecydowałby o swoim nędznym losie.

Cullen szturchnął go nogą.

– Słyszałeś, ty żałosna kreaturo? Te dwie miłe damy, które próbowałeś zabić, ocaliły ci właśnie życie. Ale przysięgam; jeden niewłaściwy ruch i z wielką przyjemnością z tobą skończę.

Wyszedł ukradkiem tylnymi drzwiami, które otworzyły się dość łatwo. Ledwie zniknął, rozległy się głosy w holu. Potem usłyszałam pukanie. Serce skoczyło mi do gardła. Próbowałam tak stanąć przed związanym Fitzpatrickiem, by go zasłonić.

Starszy ksiądz wsadził do kuchni głowę przez uchylone drzwi.

– Już przyszli, pani Boone. Czy byłaby pani uprzejma za kilka minut podać

herbatę?

– Oczywiście, proszę księdza – powiedziała pogodnie.

Kiedy drzwi się za nim zamknęły, przytrzymała moje spojrzenie i uśmiechnęła się niewinnie.

– Głuchy jak pień i ślepy jak kret – powiedziała.

30

W mgnieniu oka przyjechali chłopcy od Cullena i zabrali Fitzpatricka. Ukryli go pod plandeką na wozie. Napięcie nie zniknęło jednak razem z intruzem. Miałam wrażenie, że ten incydent przypomniał wszystkim, co nas niedługo czeka, i zmobilizował do działania. Mnie to jednak nie dotyczyło. Nikt mi nic nie mówił, ale doskonale zdawałam sobie sprawę, że Bractwo pracuje nad spiskiem. Cullen wychodził i wracał o dziwnych porach. Nocą słyszałam skrzypienie na schodach, ale nigdy nie wyszłam sprawdzić, kto po nich chodzi. To napięcie było nie do wytrzymania! Nie należę do osób cierpliwych, ale teraz czułam, że za chwilę wybuchnę. Któregoś dnia odczekałam, aż znów usłyszę skrzypienie, otworzyłam drzwi i wyskoczyłam wprost na Cullena.

– Musisz mi powiedzieć, co się dzieje – zażądałam.

Wzruszył ramionami.

– Nic takiego, to i owo.

I wtedy coś we mnie pękło.

– Zrozum – zaczęłam. – Mam być częścią twojego absurdalnego planu. Chcesz, żebym ryzykowała życie, ale mnie w nic nie wtajemniczasz? To jakieś nieporozumienie. Nie jestem pionkiem w grze ani marionetką. Muszę wiedzieć, w co się pakuję.

Cullen objął mnie ramieniem, co wcale nie poprawiło mi nastroju.

– Wejdź do środka – powiedział i poprowadził mnie do swojego pokoju, a następnie zamknął za nami drzwi. – Molly, nie powinnaś za dużo wiedzieć – zaczął łagodnie. – Tak jest lepiej dla wszystkich. Jeśli cię złapią, nie zdradzisz czegoś, czego nie wiesz.

Zadrżałam.

– To wcale mnie nie uspokaja. Jakie są szanse, że nam się uda?

Cullen westchnął.

– Szczerze? Nie umiem ci powiedzieć, Molly. Nie było mnie w Irlandii przez dziesięć lat. W tym czasie Bractwo się rozpadło, a nowi chłopcy są niesprawdzeni i słabo wyszkoleni. Jeśli chodzi o materiały wybuchowe, nie mamy specjalisty z prawdziwego zdarzenia. Nie wiem, jak moi ludzie poradzą sobie w sytuacji zagrożenia. Mimo to musimy realizować plan, bez względu na to, czy jest szansa na sukces, czy nie. Jedynym sposobem na zdobycie niepodległości jest doprowadzenie do sytuacji, w której Anglicy zaczną się zachowywać tak okropnie, że naród wreszcie się ocknie i stanie do walki. A poza tym powinniśmy zacząć od małych rzeczy.

– A więc nie ma gwarancji, że uda się nam uratować mojego brata?

– Skłamałbym, gdybym się zarzekał, że jestem pewien powodzenia, ale powiem ci, Molly, jedno: na pewno spróbujemy. A że wahasz się, czy wziąć w tym udział – rozumiem. Nie winię cię i nie będę o tobie źle myślał. Zaakceptuję twoją decyzję, jeżeli postanowisz wsiąść na najbliższy statek do Ameryki.

– Pozwoliłbyś mi wrócić do Ameryki? – zapytałam. – Myślałam, że jestem twoim więźniem.

– Nie będę cię tu trzymał wbrew twojej woli. Ufam ci, jesteś nam bardzo potrzebna, byśmy mogli dostać się do więzienia, ale do niczego cię nie zmuszę. Możesz wracać do domu, jeśli chcesz.

– Nie mogę. Dochodzenie w sprawie morderstwa Rose McCreedy wciąż się toczy – powiedziałam. – W dodatku nie mogę ujawnić prawdy inspektorowi Harrisowi, skoro Bractwo uwięziło Fitzpatricka.

– To by nam mogło pokrzyżować plany – podsumował Cullen z uśmiechem.

Nie poczułam się wcale lepiej.

– Czy Fitzpatrick jest cały i zdrów?

– Oczywiście – powiedział. – Zdrów jak ryba.

Nie wiedziałam, czy wierzyć, ale i tak nie miałam wpływu na los więźnia. Zrobiłam aż za wiele dla kogoś, kto źle mi życzył i nie miał wobec mnie żadnych skrupułów. Jeśli teraz żywią się nim ryby, lepiej o tym nie wiedzieć –

uznałam.

– Wiesz co? – odezwał się Cullen. – Kiedy już będziesz bezpieczna w domu w Nowym Jorku, wyślesz list do tego swojego inspektora. Dokładnie mu wtedy opiszesz, co się stało.

– Pod warunkiem, że w ogóle dotrę bezpiecznie do domu – zauważyłam. – Z tego, co słyszę, nie ma żadnej gwarancji.

– Przecież ci powtarzam, że nie musisz brać udziału w naszej akcji.

– Czy naprawdę sądzisz, że wróciłabym spokojnie do Nowego Jorku, wiedząc, że mogłam uratować brata, a tego nie zrobiłam? Przysięgam, że jestem gotowa ci pomóc i nie złamię danego słowa, bez względu na to, jak bardzo się boję.

Wyciągnął ręce i zamknął w nich moje dłonie.

– Jesteś odważną dziewczyną, Molly. Wiedziałem to od razu, jak tylko cię zobaczyłem pod tą derką.

Cofnęłam ręce, bo bliski kontakt sprawiał, że czułam się niezręcznie.

– Możesz mi chociaż powiedzieć, jaka będzie moja rola w tym twoim wspaniałym planie? Nie będę chyba musiała do nikogo strzelać, prawda? Zabijanie ludzi nie leży w mojej naturze.

– Masz proste zadanie – powiedział Cullen. – Jesteś siostrą Josepha Murphy'ego i chcesz zobaczyć swojego brata po raz ostatni przed powrotem do Ameryki. Idziesz do strażników, a ci wpuszczają cię na widzenie i w ten sposób stajesz się, Molly, naszym koniem trojańskim.

– Skąd pewność, że strażnicy pozwolą mi wejść? – zapytałam.

– Bo będziesz miała zgodę na piśmie podpisaną przez ministra spraw wewnętrznych z Londynu.

– Od ministra spraw wewnętrznych? Wyraził zgodę?

Uśmiechnął się.

– Mamy takie pismo. Tak się składa, że pracuje dla nas świetny fałszerz.

Patrzyłam na Cullena jak zaczarowana. Do tej pory widziałam w tym wszystkim jedynie swego rodzaju zabawę. Zdawałam sobie sprawę, że nie jest

to bezpieczna zabawa, ale nie byłam przerażona. Teraz dowiedziałam się, że sfałszowano pismo z podpisem ministra, a ja mam być koniem trojańskim. A jeśli to się nie uda? Jakie będą konsekwencje? Nagle poczułam taką panikę, że zaparło mi dech w piersi.

– A jak już będę w środku, to co wtedy? – Zmusiłam się, by zachować spokojny ton.

– Jeszcze się zastanawiamy – powiedział Cullen. – Jest pomysł, by obezwładnić strażnika i przejąć jego klucze.

– Jezusie, Maryjo i Józefie święty – wykrztusiłam. – Co ty sobie myślisz? Nie mam czarodziejskich mocy! Jak mam niby obezwładnić strażnika?

– Będziesz miała ze sobą swoje sole trzeźwiące. Noszą je w torebce wszystkie młode damy.

– W życiu nie tknęłam soli trzeźwiących.

– Dlaczego mnie to nie dziwi? – Zachichotał. – W takim razie to będzie twój debiut. Z jedną różnicą. W butelce zamiast soli będzie chloroform. Wylejesz kilka kropel na chusteczkę, przytrzymasz ją przy twarzy strażnika i tyle.

– I tyle? – powtórzyłam

Cullen znów się uśmiechnął.

– Przekażesz nam jego klucze, kiedy wtargniemy do budynku.

– Przekażę klucze?

– Zakładamy, że pomieszczenie, w którym spotkasz się z Josephem, jest blisko głównego wejścia. Powiesz, że ci słabo, wyciągniesz rzekome sole i uśpisz strażnika. Zdejmiesz mu kurtkę i dasz ją bratu. W dziesięć minut po twoim przybyciu dojdzie do wybuchu przy furcie – ciągnął Cullen. – Dużo dymu, zamęt. Wybiegniesz, krzycząc do brata, żeby uciekał. W ten sposób dasz wszystkim znać, co on zamierza uczynić.

– Dlaczego miałabym tak postąpić?

– Ponieważ w tym momencie twój drugi brat, Liam, pojawi się przed drzwiami wejściowymi, ubrany w strój więzienny. Wszyscy rzucą się za nim w pościg, bo w tym zamieszaniu będą myśleli, że to Joseph. Kilku z nas

dostanie się do środka, obezwładni strażników, którzy znajdą się na naszej drodze, i wypuści tylu więźniów, ilu się da.

– A co z Josephem?

– Włoży kurtkę strażnika. Wmiesza się w tłum i będzie gonił więźniów razem z innymi.

– A ja? Jak ja się wydostanę? – Bardzo się starałam, by nie słyszał strachu w moim głosie.

– Dotrzesz do drzwi wejściowych i wymkniesz się niepostrzeżenie. W tym chaosie nie będzie to trudne.

– To wszystko brzmi zbyt prosto – zauważyłam. – Jak dotrę do tych drzwi? Strażnicy mnie nie zatrzymają?

– Możesz ich zawsze wziąć fortelem, moja droga. Zagrasz bezradną i przerażoną niewiastę, która nieświadoma niczego odwiedza brata... A tutaj takie zamieszanie! Uczepisz się z całej siły jakiegoś strażnika i będziesz błagać o pomoc.

– Rozumiem – powiedziałam.

– U ujścia Liffey będzie czekał statek, który zabierze nas do Francji.

– Do Francji?

– A gdzie, jeśli nie tam, mamy uciekać? Jak sądzisz? Do Londynu? Żeby dać się zamknąć w Tower?

– Liam i Joseph też pojadą do Francji?

– Owszem. Powinni przejść szkolenie i wrócić do domu, by w przyszłości kontynuować działalność Bractwa.

– Rozumiem – powtórzyłam.

Nie wiedziałam, o co jeszcze zapytać. Strach mnie całkowicie sparaliżował. Nie przypominam sobie, bym kiedykolwiek czuła się aż tak źle, a przecież już raz musiałam walczyć o życie – gdy sądząc, że zabiłam Justina Hartleya, zdecydowałam się na ucieczkę do Ameryki. Zupełnie nie uśmiechał mi się udział w planie Cullena, ale jednocześnie pragnęłam uratować brata. Czy mam jakieś wyjście? – rozmyślałam, ale nie znajdowałam odpowiedzi.

Na razie musiałam czekać. Dni wlekły się niemiłosiernie, a jedynym moim zajęciem było ciągłe odgrywanie w myślach sceny z więzienia. To wszystko wyglądało zbyt nieprawdopodobnie, żeby mogło być prawdziwe. Czułam, że nie dam rady, że zaraz eksploduję. Zamknięcie w pokoju na strychu było nie do zniesienia. Deszcz zmył wszystkie kolory z krajobrazu za oknem i pogłębiał przygnębienie, które mnie dopadło. W nocy męczyły mnie dziwne sny. Widziałam w nich szubienicę i kata ze statku.

Zaczęłam rozumieć, przez co przechodził Daniel. Teraz po raz pierwszy naprawdę poznałam lęk o własne życie, strach o przyszłość, poczucie samotności i odizolowania. Daniel był ostatnio rozdrażniony i spięty, ale przecież próbował mnie powstrzymać i odradzał mi ten wyjazd. Powinnam go była posłuchać! Myślałam, że wina leży po jego stronie, kiedy w zasadzie to ja byłam winna. Szkoda. Małżonkowie wspierają się nawzajem w potrzebie. Wyobraziłam sobie jego uśmiech, jego ciemne, niesforne włosy, sposób, w jaki na mnie patrzył, i bardzo chciałam, żeby jakoś się dowiedział, iż jestem w niebezpieczeństwie. Pragnęłam, by przyjechał i uratował mnie z opresji.

Po kilku dniach nie mogłam już tego dłużej znieść. Zeszłam do kuchni.

Mary Ann spojrzała znad stołu, na którym wałkowała ciasto.

– Molly, o co chodzi?

– Dłużej nie zniosę tej bezczynności – oznajmiłam. – Zaraz oszaleję. Proszę dać mi jakąś pracę. Muszę zająć ręce. Jeśli ksiądz Flannigan zapyta, może pani powiedzieć, że nowa pomoc kuchenna właśnie się przyucza.

Uśmiechnęła się.

– Nie ma sprawy. Tam na haczyku wisi fartuch. Możesz zacząć od krojenia ciasta.

Pracowałyśmy ramię w ramię.

– Lady Ashburton pytała o ciebie dziś rano – powiedziała. – Ma nadzieję, że wszystko u ciebie w porządku. Przesyła pozdrowienia.

– Lady Ashburton? Widziała ją pani?

– Byłyśmy razem na spotkaniu pewnego stowarzyszenia, które zajmuje się działalnością charytatywną. Obie do niego należymy. Lord Ashburton

przebywa teraz w rezydencji. Podobnie jak brat Granii i jego świta.

Spojrzała mi głęboko w oczy. Próbowałam tego nie zauważyć i przybrać obojętny wyraz twarzy, ale wiedziałam, że coś jest na rzeczy.

– Muszę cię o coś zapytać – zaczęła. – Bardzo pragnęłaś opuścić tamten dom. Widziałam to w twoich oczach. Rozglądałaś się po pokoju, szukając drogi ucieczki. Dlaczego?

– To musi pozostać między nami i nie może się o tym dowiedzieć ani Grania, ani nikt inny – odparłam.

– Oczywiście. Wiesz, że jestem dyskretna.

– Chciałam uniknąć spotkania z bratem Granii. Pobierałam nauki z jego narzeczoną, Henriettą Hartley, a jej brat, Justin Hartley, jest moim największym wrogiem.

– Jak to możliwe?

Spuściłam wzrok.

– Próbował się do mnie zbliżyć, kiedy służyłam w majątku Hartleyów. Odrzuciłam jego zaloty. Poślizgnął się i uderzył głową w piec. Myślałam, że go zabiłam, i dlatego uciekłam do Ameryki. Po jakimś czasie dowiedziałam się, że nie umarł, jedynie poważnie się potłukł. Z powodu obrażeń nigdy w pełni nie wróci do zdrowia. Jest żądny zemsty, za nic mi nie wybaczy.

Zapadła cisza.

– Teraz już pani wie.

– Nie martw się, moja droga. Miejmy nadzieję, że już go nie spotkasz. Cullen powiedział, że jesteś odważna. Wierzę, że ułoży ci się w życiu.

– Ta ucieczka z więzienia, którą planują... – zaczęłam ostrożnie. – Czy pani też bierze w niej udział?

– Dobry Boże, nie! – Zaśmiała się. – Czy wyobrażasz sobie, że niepostrzeżenie wkradam się do więzienia, a potem z niego uciekam? Byłabym większym ciężarem niż pomocą. Poza tym bardziej się przydam sprawie żywa niż martwa.

Musiałam głośno westchnąć, ponieważ od razu się zmitygowała.

– Nie to miałam na myśli. Cullen wszystko dobrze zaplanował. Są spore szanse, że plan się powiedzie. On cię polubił, wiesz?

– Tak, wiem.

– To może powinnam cię ostrzec, żebyś się do niego nie przywiązywała. Po co ci złamane serce? Tego jeszcze brakowało.

– Spróbuję nie dać się zauroczyć – powiedziałam z uśmiechem.

– Cullen poświęcił normalne życie dla naszej sprawy. – Spoważniała.

– Pani chyba też, jak sądzę.

– Nie, moja droga – odparła. – Moje normalne życie skończyło się wraz ze śmiercią Terrence'a. Tylko z nim byłam naprawdę szczęśliwa. Nie każdemu udaje się spotkać bratnią duszę. Wychodząc za mąż za pana Kelly'ego, popełniłam duży błąd. Ale trudno się dziwić; byłam znudzona, uwiązana na wsi, a on był taki przystojny, że każdej dziewczynie zawróciłby w głowie. Okazał się jednak głupim pijakiem. Potem pojawił się Terrence – mężczyzna, o jakim zawsze marzyłam: inteligentny, dowcipny, życzliwy i namiętny. Kiedy trafił do więzienia, cierpiałam razem z nim. Marniał w oczach, a w końcu dopadły go suchoty.

Wróciłyśmy w milczeniu do pracy.

Znalazła prawdziwą miłość – pomyślałam. Czy moje życie by się skończyło, gdyby umarł Daniel? Czy on czułby to samo w stosunku do mnie? A co z Cullenem? Zastanawiałam się, czy Mary Ann coś zauważyła. Czy już się w nim odrobinę zakochałam?

Dwudziestego pierwszego października, dzień przed akcją w więzieniu Kilmainham, Cullen zapukał do mojego pokoju.

– Przyszedłem zobaczyć, jak sobie radzisz – oznajmił.

– Nigdy w życiu nie czułam się lepiej – zażartowałam. – Siedzę sobie tutaj, patrzę na deszcz i myślę o tym, co człowiek czuje, kiedy go wieszają.

– Boisz się?

– Oczywiście, że się boję – warknęłam. – Więcej, jestem przerażona, jeśli chcesz wiedzieć. Nie mam takiego doświadczenia jak ty. Nigdy wcześniej tego

nie robiłam.

– Wszyscy się boimy, Molly – powiedział.

– Nie wierzę.

– Zwłaszcza ja. Już raz siedziałem w więzieniu. Nie wyobrażam sobie, żebym miał tam wrócić. Wolałbym już zawisnąć na szubienicy. Czterdzieści lat bez słońca, zielonych pól, krów i koni, bawiących się dzieci czy tańczących kobiet... To wielkie poświęcenie.

– Ogromne.

Położył mi rękę na ramieniu i delikatnie je pogłaskał.

– Jeszcze możesz się wycofać, Molly – szepnął. – Wcale nie jest za późno. Nie chciałbym dla ciebie więziennej przyszłości. Powinnaś wyjść za mąż, urodzić dzieci i wieść szczęśliwe życie.

Czułam ogromną pokusę.

– A gdybym się wycofała – powiedziałam z wahaniem – jak byście się dostali do tego więzienia?

– Jakoś byśmy sobie poradzili – odparł. – Zamiast ciebie wysłalibyśmy twojego brata. To on odwiedziłby Josepha.

No tak, oczywiście. Życie Liama zamiast mojego. W całym tym przedsięwzięciu to on miał największe szanse na ucieczkę. Szybko biegał i potrafił się zgubić w labiryncie uliczek. Wiedziałam jednak, że nigdy sobie nie wybaczę, jeżeli zostanie skazany na śmierć lub spędzi resztę życia w więzieniu, dlatego że ja wybrałam łatwiejsze rozwiązanie.

– Nie wycofam się teraz, Cullen – zapewniłam. – Możesz na mnie liczyć.

– Molly – zaczął i nieoczekiwanie mnie objął tak mocno, że ledwie mogłam oddychać.

Staliśmy przytuleni, położyłam głowę na jego ramieniu. Potem się schylił i delikatnie musnął ustami mój policzek. Po chwili uwolnił mnie z objęć. Brakowało mi tchu.

– A więc... czy jest coś, na co miałabyś dzisiaj szczególną ochotę? – zapytał.

– Masz na myśli ostatni posiłek skazańca? – zapytałam.

– Może chcesz napisać jakieś listy...

Ta uwaga natychmiast sprowadziła mnie na ziemię. Czy chciałam napisać list pożegnalny do Daniela? Do Sid i Gus?

– Tak, napiszę kilka listów – powiedziałam – ale zostawię je pani Boone. Niech je wyśle tylko jeśli... – Nie byłam w stanie dokończyć.

Wróciłam do pokoju, usiadłam przy stole i utkwiłam wzrok w papierze listowym.

Najdroższy Danielu – zaczęłam. – *Jeśli czytasz ten list, to znaczy, że nie żyję albo trafiłam do więzienia. Musiałam zrobić co w mojej mocy, aby uwolnić brata. Pewnie postąpiłam głupio, ale wiesz, że nigdy nie należałam do rozsądnych kobiet. Kocham...*

Przerwałam. Zmięłam kartkę i wrzuciłam ją do kosza. Jak mogę pisać o uczuciach, skoro nawet nie jestem ich pewna?

31

Dwudziestego drugiego października wstał jasny, czysty dzień. Niebo wyglądało jak niebieskie płótno, a każda gałąź, każda lampa uliczna i każdy budynek odznaczały się wyraźnie na jego tle. Akurat tego dnia przydałaby się mgła, chmury albo deszcz, żeby ukryć to, co miało się wydarzyć. A tu proszę – będziemy w centrum uwagi jak aktorzy na scenie. Wygląda na to – pomyślałam – że ktoś tam na górze stroi sobie z nas żarty!

Mary Ann czy też pani Boone, jak nadal o niej myślałam, przyniosła tacę ze śniadaniem.

– Musisz się wzmocnić – powiedziała i postawiła posiłek na stole oświetlonym promieniami słońca.

Dostałam owsiankę, wędzoną rybę, na niej smażone jajko oraz kilka grzanek. Próbowałam jeść, ale nie czułam się głodna.

– Powinnaś od razu spakować swoje rzeczy – oznajmiła, gdy po pewnym czasie przyszła zabrać tacę. Cmoknęła z niezadowoleniem, patrząc na to, co zostawiłam na talerzu. – Ktoś przyjdzie je odebrać.

– Moje rzeczy? – spytałam.

Była w tym jakaś straszna nieodwracalność. Skąd wiedzieli już teraz, że nie będę więcej potrzebować dóbr doczesnych?

– Spodziewamy się rewizji. Nie byłoby dobrze, gdyby trafili na twój ślad – oznajmiła.

– Dokąd je zabierzecie? – zapytałam.

– Na statek – powiedziała. – Nie mogę nic więcej zdradzić.

– Proszę pani, to znaczy Mary Ann... Napisze pani do swojego brata, prawda? – poprosiłam, przypomniawszy sobie coś, co od jakiegoś czasu mnie męczyło. – Zlecił mi, żebym panią znalazła. Nie chcę, by myślał, że mi się nie udało albo że ociągałam się z wykonaniem zadania.

– Nie jestem pewna, czy mam ochotę kontaktować się z moim bratem – powiedziała. – Ale zrobię to, jeśli sobie życzysz. Niech wie, że żyję i mam się dobrze. Powinien też się dowiedzieć, że spisałaś się jak należy.

Zabrała tacę.

– Poza tym kontakty w Ameryce mogą się nam przydać – podsumowała.

Spakowałam rzeczy i znów pomyślałam o napisaniu listów do bliskich. Ale nie mogłam się do tego zmusić. Około południa pani Boone podała obiad, lecz ani Cullen, ani ja nie byliśmy w stanie nic przełknąć. Czekanie wydawało się nie mieć końca. Wreszcie Cullen zastukał do moich drzwi.

– Już czas. Gotowa?

Skinęłam głową. Poprowadził mnie na dół po schodach. Po pani Boone nie było śladu, więc pomyślałam, że pewnie nie chciała się żegnać. Weszliśmy w boczne uliczki dzielnicy Liberties i dotarliśmy do rozpadającego się domu nad stajnią. Wewnątrz było ciemno, w oknie wisiały porwane zasłony, pomieszczenie wypełniał nieprzyjemny zapach niemytych ciał zmieszany z odorem końskiego nawozu ze stajni. Trudno się było rozeznać w mroku, ale dostrzegłam kilku chłopców. Dwóch znałam ze spotkania u Granii, jeden okazał się moim bratem. W powietrzu wisiało napięcie, chociaż panowie je maskowali, przerzucając się żartami. Dostaliśmy szczegółowe instrukcje. Wręczono mi butelkę soli trzeźwiących, w której teraz znajdował się chloroform, i pokazano, ile kropel mam użyć i jak je podać. Potem ktoś wcisnął mi do ręki koszyk z prowiantem.

– Czy to nie jest zbyt oczywiste? – zapytałam. – Na pewno sprawdzą, co tam jest.

– Zgadza się – odparł Cullen. – Natychmiast pomyślą, że w chlebie schowałaś pilnik, a w placku ze śliwkami nóż. Nic nie znajdą i zrobi im się głupio. To, mam nadzieję, odrobinę osłabi ich czujność.

– Jestem jak Czerwony Kapturek, który idzie w odwiedziny do babci – zauważyłam, a Cullen się zaśmiał.

– Rzeczywiście – przytaknął.

– Ale babcia była wilkiem w przebraniu, który miał duże zęby i ją połknął –

przypomniałam z goryczą.

Chłopcy studiowali plan miasta. Pokazali nam najlepsze drogi ucieczki przez dzielnicę Liberties do rzeki. Dowiedziałam się, że przy brzegu będzie na nas czekać łódź przycumowana w dokach przy Wielkim Kanale za ostatnim mostem w ujściu Liffey. Właściwie będzie to jeden z wielu kutrów rybackich z załogą przygotowującą się do rejsu. Ten mój rozpoznam po małej zielonej fladze, która będzie łopotać w widocznym miejscu.

Potem znowu czekaliśmy. Mężczyźni puścili w obieg butelkę z jakimś trunkiem, który miał dodać im odwagi. Na szczęście nie namawiali mnie do picia. Mimo najszczerszych chęci nie byłabym w stanie nic przełknąć. W końcu Cullen spojrzał na zegarek.

– Dobrze, panowie. Wybiła czwarta. Myślę, że już czas – powiedział. – Gotowi?

Kiwnęli głowami, a oczy zabłysły im nienaturalnie.

– Damy nauczkę tym angielskim sukinsynom, prawda?! – ryknął Cullen. – Za wolność, za niepodległość, za Irlandię!

Rozległ się głośny aplauz i cała ekipa rzuciła się do drzwi. Widać było, że wprost nie mogą się doczekać, by ruszyć do akcji.

Liam szybko do mnie podszedł.

– A zatem powodzenia, Molly. Jeśli Josephowi albo mnie coś się stanie, jeśli nas zabraknie... skontaktuj się, proszę, z Malachym, dobrze? Pan O’Brien z Westport wie, gdzie go szukać.

– Nic ci się nie stanie, Liam – stwierdziłam. – Nikomu nic się nie stanie.

Uśmiechnął się do mnie szeroko.

– Ale numer, słowo daję! Pamiętasz, jak bawiliśmy się na plaży? Kiedyś wpadłaś do głębokiej wody między skałami. Pomyślałabyś, że pewnego dnia będziemy robić takie rzeczy?

– Nigdy w życiu – zgodziłam się.

– Stare, dobre czasy, co, Molly? – zauważył. – Wprawdzie los nie był dla nas łaskawy, a ty dużo pracowałaś po śmierci mamy, ale to były wspaniałe lata.

Skinęłam głową, bo poczułam kamień w sercu i głos mi ugrzązł w gardle. Chciałam wziąć go za rękę, ale w ostatniej chwili się rozmyśliłam.

– Dobrze, rozpoczynamy szturm – powiedział Cullen. – Najpierw ja, Molly, Billy i Tinker z transportem. Potem Liam i Paddy. Policzycie do dwustu i idziecie za nami. Na zewnątrz nie rozmawiacie ze sobą, zachowujecie się jak obcy, zrozumiano?

Chłopcy skinęli głowami.

– I cokolwiek się wydarzy, bez paniki.

Omiótł wzrokiem całą grupę.

– Bóg z wami, żołnierze! Do zobaczenia na łodzi.

Otworzył drzwi. Kiedy go mijałam, wziął moją dłoń i przytrzymał ją mocno.

– Uważaj na siebie, Molly, dobrze? Bez niepotrzebnej brawury. Jeśli cię złapią, udawaj głupiutką. Powiedz, że Cullen Quinlan cię uwiódł i nie wiedziałaś, co robisz. Mrugaj powiekami, płacz, mdlej. Każdy sposób jest dobry. Nigdy nie powieszą kobiety.

Nie była to przyjemna perspektywa, ale doceniłam jego rady.

– Nie martw się o mnie. Wyjdę z tego cało – powiedziałam.

– Wiem. Jesteś wspaniałą dziewczyną. – Podniósł moją dłoń do ust i pocałował. Potem otworzył przede mną drzwi i obydwoje wyszliśmy na oświetlone jasnym słońcem podwórko.

Szybkim krokiem poprowadził mnie przez labirynt wąskich uliczek. Od czasu do czasu przyciągaliśmy ciekawskie spojrzenia, ale w tej okolicy zainteresowanie obcymi nie było niczym dziwnym. Kobiety plotkowały na schodach, mężczyźni stali bezczynnie na podwórkach. Opuściliśmy Liberties i w końcu naszym oczom ukazało się w całej swojej okazałości więzienie Kilmainham.

Wydało mi się większe i bardziej onieśmielające niż poprzednio – potężny masyw z litej cegły otoczony żelaznym płotem, z wielkimi, dębowymi wrotami zamkniętymi na cztery spusty.

– Jesteśmy na miejscu – wyszeptał Cullen. – Idziesz. Masz dziesięć minut na swoje zadanie. – Wyjął z kieszeni zegarek, a potem oddalił się bez słowa jak

gdyby nigdy nic.

Zaczerpnęłam głęboko powietrza i przeszłam przez ulicę. Po prawej stronie drzwi wisiał dzwonek. Pociągnęłam za sznurek. Po chwili, która wydawała się wiecznością, otworzyły się małe drzwiczki w jednym skrzydle bramy i wyjrzał przez nie strażnik w mundurze. Uśmiechnęłam się do niego przymilnie.

– Dzień dobry – powiedziałam. – Czy jestem we właściwym miejscu? To jest więzienie, prawda?

– Na pewno nie pałac Buckingham, tego możesz być pewna – odparł gniewnym tonem.

– Przyjechałam tutaj aż z Connemara w bardzo smutnej sprawie. Chciałabym zobaczyć się z moim młodszym bratem – oznajmiłam. – Po raz ostatni.

– Z bratem?

– Josephem Murphym. On... on ma zostać stracony, wie pan. Chciałabym się z nim pożegnać. Mam tutaj pismo od ministra spraw wewnętrznych Jej Królewskiej Mości. Dostałam pozwolenie na tę wizytę z samego Londynu. – Sięgnęłam do koszyka i wyjęłam kopertę.

Widziałam, że zrobiło to na nim wrażenie. Podrapał się po głowie, najwyraźniej zaskoczony.

– Poczekaj tutaj – powiedział.

Zniknął, zamknąwszy za sobą furtę. Zostałam na zewnątrz. Wydawało mi się, że minęła godzina, zanim drzwi otworzyły się ponownie. Tym razem zobaczyłam dwóch starszych rangą strażników, którzy podeszli do mnie, by zapoznać się z pismem.

– Nikt nas nie uprzedził, panno Murphy – poskarżył się jeden z nich.

– Przykro mi, że panów nie poinformowano – powiedziałam – ale ten list podpisał sam minister spraw wewnętrznych, a wstawił się za mną pewien zacny człowiek z mojego hrabstwa.

Jeden ze strażników zaczął przebąkiwać, że należałoby skontaktować się z zamkiem w Dublinie, ale szybko mu przerwałam.

– Panie oficerze, czy nie ma pan serca? Mój los, jak widać, wzruszył nawet samego ministra. Proszę zrozumieć, z całej rodziny został mi już tylko braciszek. Przyjechałam z daleka całkiem sama. Błagam jedynie o kilka minut spotkania, bo chcę się z nim pożegnać. Co w tym złego?

Mężczyźni wymienili spojrzenia. W końcu jeden z nich powiedział:

– Dobrze. Proszę wejść. Ale koszyk musimy zabrać.

Spróbował mi go wyjąć z ręki. Nie pozwoliłam.

– Chcecie odmówić chłopcu chleba upieczonego przez siostrę? I kawałeczka ciasta ze śliwkami?

– Już nieraz przemycano broń w jedzeniu – stwierdził strażnik. – Musimy skontrolować, przykro mi.

Mówiąc to, przełamał na pół chleb, potem placek, a potem kilka ciasteczek z rodzynkami. Kiedy zostały tylko herbatniki, zbyt małe, żeby ukryć w nich więcej niż igłę, oddał mi koszyk.

– Wszystko w porządku, proszę pani. Przepraszam, że nabałaganiłem, ale ostrożności nigdy za wiele, prawda?

– Oczywiście, panie oficerze – powiedziałam, uśmiechając się słodko. – Ostrożności nigdy za wiele.

– A teraz torebka – oznajmił drugi i odebrał mi ją bez ceregieli. To była tylko szmaciana sakiewka, za mała, żeby na przykład schować w niej pistolet. Otworzył ją najszerzej, jak się dało.

– Są tam tylko rzeczy, które każda kobieta zawsze ma przy sobie. Chusteczka, sole trzeźwiące, grzebień i kilka monet – stwierdziłam. – Proszę, niech pan zobaczy.

Kiwnął głową i oddał mi torebkę.

– No, dobrze. Tędy, proszę patrzeć pod nogi.

Stanął z boku i pozwolił mi wejść przez furtę. Główny hol więzienia sprawiał wrażenie głębokiej studni – kilka pięter z galeriami ogrodzonymi stalową balustradą. Światło wpadało tu przez duże okno dachowe, ale i tak w środku panował przygnębiający półmrok.

– Proszę tutaj poczekać – powiedział jeden z oficerów. – Johnson! –

warknął do strażnika pełniącego dyżur. – Idź i przyprowadź oficera z drugiego piętra.

– Tak jest, proszę pana.

Johnson zaczął się wspinać po metalowych schodach, a jego kroki niosły się echem w całym budynku. W holu minęło mnie kolejnych dwóch strażników. Z góry dało się słyszeć głośną wymianę zdań, a potem coś jakby warknięcie. Zatrzęsłam się z zimna. Albo raczej ze strachu. To się nigdy nie uda – pomyślałam. Nie ma takiej możliwości! To miejsce jest fortecą ze stali i kamienia. Dlaczego ryzykuję?

– Tędy, panno Murphy – odezwał się jeden ze strażników i gestem ręki pokazał, że mam pójść za nim.

Nogi miałam jak z ołowiu; ledwie mogłam nimi poruszać. Po chwili otworzył drzwi w ścianie po mojej prawej stronie, tuż za wejściem.

– Proszę tu poczekać – powiedział.

Pomieszczenie było małe i ciemne. Boleśnie przypomniało mi celę w Katakumbach, w której pozwalano mi widywać się z Danielem. Ten sam wilgotny zapach stęchlizny, to samo poczucie bezsilności. Na środku stały dwa drewniane krzesła. Usiadłam, bojąc się nawet odetchnąć. Ile czasu minęło? – zastanawiałam się. Czy to nie trwa zbyt długo? Co się stanie, jeśli nastąpi wybuch, a Josepha jeszcze nie będzie ze mną w celi?

Na kamiennej podłodze znów rozległy się kroki i do środka wszedł jeszcze inny strażnik. Był muskularnym mężczyzną z dużymi bokobrodami. Natychmiast wyobraziłam sobie, że przyciskam mu do twarzy chusteczkę nasączoną chloroformem.

– To jest panna Murphy. Ma pismo od ministra spraw wewnętrznych z pozwoleniem na odwiedziny u brata. Uroczo, nieprawdaż? – powiedział pierwszy oficer z nieukrywaną ironią.

– Murphy? Dobrze. A więc mam ją wprowadzić, tak?

Obaj patrzyli na mnie wzrokiem twardym jak stal. Przynajmniej ułatwiają mi zadanie – pomyślałam. Jeżeli mam kogoś pozbawić przytomności, lepiej, żeby nie był sympatyczny.

– Nie, raczej przyprowadź go tutaj.

– Mam go skuć?

– Wystarczą kajdanki na rękach.

– Tak jest, proszę pana.

Wyszli, zamykając za sobą drzwi. Zostałam sama i czekałam. Kusiło mnie, aby sprawdzić butelkę z chloroformem, ale się opanowałam. Niewykluczone, że ktoś mnie obserwował przez judasza, więc uznałam, że będę siedzieć jak grzeczna panienka. Tak bardzo chciałam być gdzie indziej!

W końcu usłyszałam kroki pod drzwiami.

– Możesz wejść. I tylko kilka minut, pamiętaj – rozległ się głos strażnika.

Drzwi się otworzyły.

– Gość do ciebie, Murphy.

Zerwałam się na równe nogi. Strażnik wepchnął Josepha do pokoju z taką siłą, że mój brat prawie na mnie upadł. Kiedy starał się odzyskać równowagę, spojrzał zaskoczony i rozpoznał mnie dopiero po chwili.

– Molly! Wielkie nieba! Myślałem, że nie żyjesz. Nie mogę uwierzyć.

Objęłam go. Została z niego skóra i kości. Przez zgrzebną koszulę czułam kręgi w kręgosłupie. Skórę miał szarą i ziemistą, a pod oczami wielkie cienie. Serce omal mi nie pękło.

– Wystarczy tego. – Strażnik brutalnie nas rozdzielił. – Usiądź, Murphy. Ty również, panienko.

– Co tutaj robisz? – Joseph, podekscytowany, patrzył na mnie wyczekująco. – Czy przyszłaś, żeby mnie stąd wydostać? Czy rozpatrzono moje odwołanie?

– Nic nie wiem o twoim odwołaniu, Josephie – powiedziałam. – Jestem w Irlandii, więc musiałam cię odwiedzić. Chciałam cię uściskać od siebie i Liama.

Twarz mu się rozjaśniła.

– Liama? Spotkaliście się?

– Przelotnie – odparłam. – Ma się nieźle i dobrze ci życzy.

– A Malachy?

– Jeszcze się z nim nie widziałam, ale myślę, że jest pod dobrą opieką.

– To wspaniały dzieciak. – Na samo wspomnienie ukochanego brata Joseph uśmiechnął się szeroko. – Jest taki do mnie podobny.

– I do mnie też – powiedziałam. – Mam dla ciebie trochę smakołyków.

– Naprawdę? – Zajrzał do koszyka i zmarszczył brwi. Myślałam przez krótką chwilę, iż powie, że nie lubi ciasta ze śliwkami, ale zamiast tego oznajmił: – Nie wiedziałem, Molly, że potrafisz upiec placek z owocami.

– Czy kiedykolwiek było nas stać na takie rarytasy? – Uśmiechnęłam się smutno. – Jedliśmy chleb i tyle, prawda? I mieliśmy szczęście, jeśli do garnka udało się wrzucić jakąś baranią kość.

– Dlaczego wszystko jest w kawałkach? – zapytał Joseph. Usiłował chwycić chleb skutymi rękami.

– Strażnicy przy bramie wszystko sprawdzali – wyjaśniłam. – Myśleli, że mogę ci przemycać pilnik lub nóż.

Joseph się roześmiał.

– Też mi! I co bym zrobił takim nożem? Wykuł sobie drogę w ścianie?

Strażnik przestępował z nogi na nogę, aż pobrzękiwały klucze. Do głowy przyszła mi pewna myśl.

– Wystarczy dla wszystkich – powiedziałam, podnosząc koszyk w jego stronę. – Spróbuje pan, oficerze? Mówią, że mam talent do wypieków.

– Nie odmówię – stwierdził strażnik, wziął duży kawałek ciasta ze śliwkami i wepchnął go sobie do ust.

Zastanawiałam się, ile minut z dziesięciu już upłynęło. Samo rozpatrywanie mojego pisma trwało bardzo długo, potem sprawdzali koszyk, a potem czekałam na Josepha. Jeśli mam działać, to właśnie teraz – postanowiłam. Włożyłam rękę do torebki i wyciągnęłam chusteczkę.

– Ależ tu gorąco, prawda? – powiedziałam. – Słabo się czuję, chyba zemdleję.

– Rusz się, Murphy – mruknął strażnik z ustami pełnymi ciasta.

Joseph wstał, a oficer przysunął mi drugie krzesło, żebym mogła na nim

oprzeć nogi.

– Nie wiem, co mi się stało – zaszczebiotałam. – To chyba szok na widok mojego braciszka w takim stanie. Jestem wątłego zdrowia. Zawsze miałam słabe serce, prawda, Joe?

Po raz kolejny spojrzałam na brata, bojąc się, że z jakiegoś powodu zaprzeczy. Ale zamiast tego Joseph kiwnął głową.

– Owszem, największy słabeusz w rodzinie – zgodził się ze mną. – To miłe z twojej strony, że w ogóle przyjechałaś mnie odwiedzić, Molly.

Sięgnęłam do torebki.

– Zaraz dojdę do siebie – powiedziałam. – Dobrze, że mam sole trzeźwiące.

Wyjęłam buteleczkę. Otworzyłam i wylałam parę kropel na chustkę, tak jak mi kazano, a potem bez ostrzeżenia podskoczyłam i wepchnęłam ją strażnikowi w usta pełne ciasta. Zacharczał. Z całej siły uderzył mnie łokciem w bok. Zwinęłam się z bólu. Joe natychmiast zaatakował i walnął go głową w brzuch, a ja z trudem próbowałam utrzymać chusteczkę przy twarzy mężczyzny. Walczył przez chwilę lub dwie, a potem upadł na podłogę.

– Szybko – wyszeptałam do Josepha, który stał jak zaczarowany. – Nie wiem, ile mamy czasu. Pomóż mi.

Klęczałam przy strażniku, siłując się z klamrą od paska, na którym wisiał pęk kluczy.

– Potrzebujemy ich.

– Po co? – spytał Joe. – Nigdy stąd nie wyjdę. Droga ucieczki jest tylko jedna: przez główną furtę.

– Spokojnie, jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, zaraz wyleci w powietrze – powiedziałam. – Który z tych kluczy otworzy twoje kajdanki?

– Nie mam pojęcia – odparł, patrząc na wielki pęk. – Mały, oczywiście.

– Oczywiście – warknęłam na granicy wytrzymałości.

Spróbowałam jednego, potem kolejnego, następnie jeszcze innego.

– Chyba nie zdążysz włożyć munduru strażnika. Jak usłyszysz wybuch, to krzyknę: „Uciekaj, Joe, uciekaj!”, ale ty się schowasz. Potem spróbujemy się

wymknąć w trakcie zamieszania. Jak tylko będziesz na zewnątrz, biegnij z całych sił. Kieruj się przez Liberties w stronę rzeki. Przy dokach na Wielkim Kanale szukaj łodzi rybackiej z zieloną flagą. Zabierze cię do Francji.

– Jezusie, Maryjo i Józefie święty – przeżegnał się. – Nie wierzę, że moja własna siostra to mówi.

– Chciałabym ci pomóc zdjąć te cholerne kajdanki. Będziesz rzucał się w oczy, uciekając w ten sposób – powiedziałam. – Może weź bluzę strażnika. Zarzucę ci ją na plecy.

– Nie wiem, Molly – mruknął zdezorientowany.

– Masz koszyk. Możesz schować w nim ręce, jak będziesz biegł.

– Będę głupio wyglądał z kobiecym koszykiem – zauważył.

– Lepiej wyglądać głupio niż umrzeć – warknęłam, przypominając sobie nagle, jak moi bracia potrafili mnie zdenerwować. – Przynajmniej mamy klucze, które mogę przekazać naszym chłopcom. Gdzie przetrzymuje się więźniów politycznych?

– Drugi poziom, tam gdzie mnie zamknęli. Jest nas spora gromadka.

– To dobrze. Mamy właściwe klucze.

Spojrzałam nerwowo na strażnika, który nadal leżał bez ruchu. Czy nie powinniśmy go związać? – pomyślałam. Potem kolejna mrożąca krew w żyłach myśl przyszła mi do głowy. A jeśli do wybuchu z jakiegoś powodu nie dojdzie? Mnie i Josepha czeka straszna kara. Właśnie potraktowałam strażnika chloroformem. Poczułam, że duszę się w tym ciasnym pomieszczeniu. Muszę natychmiast się stąd wydostać – postanowiłam. Dziesięć minut na pewno upłynęło już dawno temu.

– Zobaczę, co się dzieje na zewnątrz – powiedziałam. – Jeśli jest pusto, wymkniemy się w kierunku wyjścia i przygotujemy na wybuch.

Uchyliłam drzwi na jakieś dziesięć centymetrów i ostrożnie wyjrzałam. Moim oczom ukazała się twarz mężczyzny, którą rozpoznałam, ale zupełnie nie wiedziałam, kto to taki.

– Bardzo pięknie, panno Murphy. Muszę pani pogratulować – odezwał się i wówczas sobie przypomniałam.

To był detektyw ze statku – ten, który tropił złodzieja biżuterii. A tuż za nim stał mój stary znajomy – inspektor Harris.

32

Drzwi celi otworzyły się na oścież. Jakiś strażnik chwycił Josepha, a detektyw wziął mnie za ramię.

– Skąd pan wiedział, że tu będę?

– Mój drogi Watsonie, jak powiedziałby bohater literacki Sherlock Holmes – zaczął, wykręcając mi rękę za plecami. – Śledziliśmy panią już na statku. Wcześniej obserwowaliśmy też Oonę Sheehan. I kiedy w pośpiechu opuściła statek jeszcze w Nowym Jorku, zostawiwszy na nim swój bagaż, uznaliśmy, że warto sprawdzić, co w nim jest. Znaleźliśmy interesujące rzeczy osobiste, zgodzi się pani?

– Wiedzieliście o pistoletach w kufrach? – Wpatrywałam się w nich z otwartymi ustami.

– Ależ oczywiście, że tak.

– To dlaczego nic nie zrobiliście?

– Ponieważ, moja droga, chcieliśmy się dowiedzieć, dla kogo są przeznaczone. Pozostało nam tylko czekać i patrzeć. Przyznam, że z niepokojem przyjęliśmy pani zniknięcie. Ale kilka minut temu przyszła z centrali wiadomość, że pojawiła się pani w Kilmainham, więc i nas nie mogło tu zabraknąć. Oczywiście zakładam, że to nie pani rozdaje karty w tej grze, a nawet podejrzewam, że została pani w nią wciągnięta, więc poczekamy, aż dołączą do nas pozostali.

– Zupełnie nie ma pan racji – powiedziałam bezczelnie. – Kiedy dowiedziałam się, że mój brat siedzi w więzieniu, chciałam się z nim pożegnać. I dopiero tu, na miejscu, postanowiłam zaatakować strażnika, żeby pomóc Josephowi w ucieczce.

– Uderz w stół, a nożyce się odezwą. – Inspektor Harris zachichotał. – A więc służąca zwietrzyła, co się kryje w tych kufrach, prawda? Szantażowała

panią? Zdecydowaliście, że stanowi zagrożenie dla waszego planu, i musieliście ją wykończyć, tak? Zrobiła to pani sama czy też był jakiś wspólnik na pokładzie?

– Wie pan, inspektorze – usłyszałam, jak podnosi mi się głos – wszystko, co mówiłam wcześniej, jest prawdą. Żałuję, że dałam się oszukać. Nie wiedziałam, iż w kufrach są pistolety, aż do momentu, kiedy spróbowałam w hotelu przesunąć bagaże i usłyszałam dziwny dźwięk. Nie miałam pojęcia, dla kogo ta broń jest przeznaczona. Co więcej, mam tego wszystkiego po dziurki w nosie! Wszyscy mnie wykorzystują, aby osiągnąć własne cele. Wiem, kto zabił Rose McCreedy, chociaż nigdy nie będę w stanie przedstawić na to dowodów. Mogę jednak pana zapewnić, że to nie byłam ja.

W tym momencie, jak na zawołanie, usłyszeliśmy straszliwy huk. Odrzuciło mnie do tyłu. Poczułam się, jakby coś wyssało mi z płuc całe powietrze, a huk był tak głośny, że zaczęło mi dzwonić w uszach. Chyba uderzyłam o ścianę. Ocknęłam się, leżąc na plecach pod warstwą pyłu i gruzu. Powoli wstałam, chwiejąc się na nogach. Okropny gryzący zapach utrudniał oddychanie. W ciemności słyszałam jakieś krzyki, jęki oraz wyraźne kroki na korytarzu. Detektyw ze statku z trudem podniósł się z podłogi i chwiejnym krokiem ruszył przed siebie, trzymając się za głowę. Miałam wrażenie, że runęła na nas część ściany. Nigdzie nie widziałam inspektora Harrisa. Ale dostrzegłam Josepha. Stał z otwartymi z przerażenia ustami.

Detektyw oderwał dłonie od głowy i próbował mnie złapać. Rzuciłam się do ucieczki, rozpaczliwie szukając naszych chłopców, by przekazać im klucze. Ale nikt się nie pojawił. W zimnym powietrzu, które wpadało przez wielką dziurę po drzwiach, wirował pył.

– Uciekaj, Joe! Uciekaj, dopóki możesz! – krzyknęłam, a potem sama się rzuciłam w kierunku wyjścia.

Wokół panował chaos. Słychać było gwizdy, krzyki, wrzaski, a potem strzały. Biegł za mną strażnik. Kiedy wyciągał po mnie rękę, postanowiłam zmienić strategię.

– Oficerze, cieszę się, że pana widzę – wysapałam, łapiąc go za ramię. – Odwiedzałam brata i nagle doszło do tego wybuchu. Co to było? Przewód

gazowy?

– Nie, panienko. Jacyś idioci próbowali wysadzić budynek w powietrze. Proszę chwycić mnie za rękę. Wyprowadzę panią bezpiecznie, niech się panienka nie martwi.

Prowadził mnie do drzwi w irytująco wolnym tempie, ale w tym dymie rzeczywiście trudno się było poruszać. Potknęłam się o kawałek gruzu i zobaczyłam coś dziwnego na podłodze. O zgrozo, była to czyjaś ręka! Przełknęłam żółć, która podeszła mi do gardła. Smród spalenizny stawał się obezwładniający. Kłuł mnie w nozdrza i drapał w oczy. Próbowałam oddychać, ale natychmiast dostawałam napadu kaszlu. Ludzie jęczeli, krzyczeli, niektórzy wymiotowali, słaniając się na nogach. Nikt na nikogo nie zwracał uwagi. Podchodząc do miejsca, gdzie była furta, cofnęłam się z obrzydzeniem. Poszarpane kawałki drewna zwisały ze stropu, a w wysokiej kupie gruzu leżały ludzkie ciała. Dostrzegłam kilku mundurowych, ale wśród ofiar byli też cywile. Chciałam przyjrzeć się twarzom, nie byłam jednak w stanie. Jeśli leżał tam Liam lub Cullen, wolałam nie wiedzieć.

– Dziękuję, oficerze – udało mi się wydusić z siebie. – Sama wyjdę. Proszę mi tylko pozwolić stąd odejść. Jestem panu bardzo wdzięczna.

Chyba był w takim samym szoku jak ja, bo nie zaprotestował. Wysunęłam rękę spod jego ramienia i chwyciłam kawałek czegoś, co kiedyś było framugą drzwi. Przeszłam ostrożnie obok ciał i gruzu i znalazłam się na dworze. Zachodziło słońce, rzucając czerwoną poświatę na krajobraz po wybuchu; mgła znad rzeki snuła się nisko nad ulicą. Zbierał się tłum. Rozejrzałam się. Ani śladu powozu. Nie widziałam Liama, Josepha czy Cullena, nikogo, kogo bym rozpoznawała. Za to cały czas przybywało mundurowych.

Usłyszałam krzyk i zobaczyłam, że ktoś biegnie przez ulicę. Rozległ się strzał. Mężczyzna rozpostarł ręce, zachwiał się na nogach i pobiegł dalej. Policjanci ruszyli w pościg. Padły kolejne strzały, przerażony tłum zaczął krzyczeć. Skorzystałam z okazji, dołączyłam do grupy kobiet i naciągnęłam kaptur na głowę. Stopniowo przesuwałam się na skraj zgromadzenia.

W pewnej chwili dał się słyszeć tupot żołnierskich butów i pluton Inniskilling Dragoons, stacjonujący po drugiej stronie drogi, wybiegł truchtem

z koszarów, trzymając bagnety w gotowości. Rzuciłam się do ucieczki, biegnąc wprost na nich. Kiedy byli w połowie drogi pomiędzy mną a więzieniem, skręciłam i zniknęłam we mgle.

Ruszyłam szeroką elegancką ulicą obsadzoną drzewami, która jednak nie prowadziła do Liberties. W zasadzie nie miałam pojęcia, dokąd zmierzam. W odróżnieniu od okolicy, którą znałam, tu było pusto. W oddali dostrzegłam wysoki budynek. W zapadającym mroku wyglądał podobnie do Four Courts i przez chwilę spanikowałam, że może zbłądziłam i jestem w jakiejś rządowej dzielnicy. Wydawało mi się, że słyszę za sobą czyjeś głosy, i już prawie szykowałam się na strzał w plecy. Spojrzałam w prawo, potem w lewo. Mgła wisiała nad rzeką i jej brzegami, pusta przestrzeń nie dawała możliwości schronienia. Wtedy dostrzegłam wysoki mur. Czułam, że pościg jest coraz bliżej, a ja opadam z sił. Kiedy znalazłam otwór w murze, bez zastanowienia przebiegłam na jego drugą stronę.

Zapadał zmrok. Biegłam alejką wysadzaną cisami, gdy nagle stanęłam przerażona. Biała postać z mieczem w dłoni zagradzała mi drogę. Dopiero po chwili zrozumiałam, że to marmurowy posąg anioła, sądząc po wyglądzie – świętego Michała. Olśniło mnie! Jestem na cmentarzu. Uspokoiłam się nieco i ruszyłam przed siebie, unikając zderzenia z nagrobkami, krzyżami celtyckimi i kolejnymi aniołami. Niestety, za plecami wyraźnie słyszałam kroki. Skręciłam do większego grobowca, misternie ozdobionego rzeźbami i posągami cherubinów, przeszłam przez niskie ogrodzenie i skuliłam się za jednym z narożnych filarów. Nie znajdą mnie, chyba że mają ze sobą latarnie i psy – uznałam.

Kucnęłam bez ruchu, próbując zapanować nad oddechem. Kroki ustały i zapadła cisza. Już chciałam się wyprostować, kiedy po drugiej stronie grobowca zachrzęścił żwir. Usłyszałam głosy. Zupełnie nie wiedziałam, co robić. Zostać na miejscu czy szukać lepszej kryjówki? Gdzie? W końcu naciągnęłam na głowę czarną pelerynę i postanowiłam siedzieć cicho. Po chwili znowu rozległy się krzyki, a zaraz potem ktoś na mnie wpadł z impetem. Prawie się przewróciłam. Czekałam, aż przebije mnie bagnet, ale zamiast tego nieznajomy sam upadł na ziemię, dysząc chrapliwie. Zdjęłam kaptur

i zobaczyłam Cullena. Kiedy nasze oczy się spotkały, zrozumieliśmy się bez słowa. Podniosłam z ziemi pelerynę i przykryłam nas oboje.

Usłyszeliśmy zdecydowane: „Tędy” – i kroki się oddaliły. Siedzieliśmy przytuleni. Po jakimś czasie wyprostowałam się i rozejrzałam dookoła.

– Chyba sobie poszli – szepnęłam.

Cullen się nie ruszył. Przestraszyłam się, że nie żyje, ale zaraz wstał, trzymając się mocno za bok. Widać było, że bardzo cierpi.

– Dobrze się czujesz? – zapytałam.

– Postrzelili mnie – powiedział. – Chyba dość mocno krwawię.

– Trzeba zatamować krwotok.

Skupiłam myśli, a potem uniosłam spódnicę, odwiązałam halkę i wyciągnęłam ją spod spodu.

– Musi być ze mną źle – mruknął Cullen z grymasem. – Piękna kobieta rozbiera się w moim towarzystwie, a mnie to w ogóle nie rusza.

– Pokaż mi ranę.

Podniósł kurtkę. Na białej koszuli, po prawej stronie, zobaczyłam ciemnoczerwoną wilgotną plamę. Złożyłam halkę, żeby zrobić opatrunek.

– Przyciśnij to mocno. W takich warunkach nie da się nic więcej zrobić. Musimy cię zawieźć do lekarza.

– Oszalałaś? Nie możemy! Łódź odpłynie bez nas. Nie będą wiecznie czekać.

– Co nam po tej łodzi, jeśli umrzesz w drodze do Francji – zauważyłam.

– Ktoś na pokładzie będzie wiedział, jak mi pomóc – nie dawał za wygraną. – Gdyby kula uszkodziła coś w środku, to już bym nie żył. Trzeba tylko zatrzymać krwotok.

– W porządku. – Wzięłam głęboki oddech i spróbowałam mówić spokojnie, chociaż cała drżałam. – Możesz iść?

– Nie mam wyjścia – powiedział.

– Oprzyj się na mnie – zaproponowałam.

– Dam radę. Zachowaj siły na później. I proszę, coś mi obiecaj, Molly. Jeśli

nas dopadną, nie czekaj na mnie. Uciekaj co sił w nogach.

– Jak prawdziwy bohater – zauważyłam i usłyszałam stłumiony śmiech.

Pokuśtykaliśmy przez cmentarz, aż dotarliśmy na pustą ulicę. Kiedy przeszliśmy kilkaset metrów, zobaczyłam rzekę. Cullen coraz bardziej się zataczał.

– Jak daleko stąd do doków, gdzie czeka na nas łódź?

– Może z pięć kilometrów – odparł.

– Nigdy tego nie przejdziesz. Popatrz, jesteśmy blisko rzeki. Zostawię cię u Świętego Franciszka. Pani Boone się tobą zaopiekuje.

– Uzgodniliśmy, że tam nie wracamy – powiedział Cullen. – Nie możemy jej narażać. Jest dla nas zbyt ważna.

– Ale nie przejdziesz pięciu kilometrów.

– To prawda.

– Moglibyśmy wziąć dorożkę, tylko że zakrwawisz całe siedzenie.

– To też prawda.

– A więc co zrobimy?

Strasznie ciężko oddychał.

– Zostawisz mnie i pójdziesz sama. Nie będą na nas czekać wiecznie.

– Nie zostawię cię. – Próbowałam coś wymyślić.

– Możemy zejść nad rzekę i rozejrzeć się za jakąś małą łodzią – powiedział w końcu Cullen. – Umiesz wiosłować?

– Oczywiście, ale to będzie kradzież.

– Molly, mamy na sumieniu gorsze przestępstwo. Nie sądzę, by kradzież łodzi zrobiła wielką różnicę – odburknął.

Trudno było się z tym nie zgodzić.

– No to chodź. Pójdziemy tą uliczką.

Doszliśmy nad samą rzekę. Gęsta mgła była teraz naszym sprzymierzeńcem. Zeszliśmy pierwszymi schodkami na brzeg, ale – niestety – żadnej łodzi tam nie było. Poszliśmy dalej i spróbowaliśmy znowu. Kolejne schodki i nadal nic. Cullen kaszlał – coś jakby grzechot wstrząsało całym ciałem. Nie wyjdzie

z tego – pomyślałam. Kolejne stopnie prowadziły do przystani naprzeciwko baru, z którego dochodził hałaśliwy śpiew. Wpadło mi do głowy, żeby tam wejść i poprosić o pomoc, ale los na szczęście w końcu się do nas uśmiechnął. Usłyszałam skrzypienie wioseł i naszym oczom ukazała się łódź, która właśnie cumowała do brzegu. Patrzyłam, jak wychodzi z niej przysadzisty mężczyzna, przywiązuje ją do pomostu, a następnie wspina się po stopniach i wchodzi do baru.

Jak tylko zniknął nam z oczu, pomogłam Cullenowi zejść do łodzi. Odbiliśmy od brzegu. Na szczęście płynęliśmy z prądem, więc szło nam bardzo szybko. Minęliśmy jeden most, potem kolejny. Spodziewałam się, że kiedy znajdziemy się na otwartej przestrzeni, usłyszę krzyki lub strzały, ale nic takiego się nie wydarzyło. W końcu minęłam wielki Customs House.

– Jesteśmy w dokach – oznajmił Cullen. – Zacumuj przy najbliższym pomoście.

Wydawał się trochę bardziej ożywiony i radosny, a gdy schodziłam na ląd, nawet podał mi linę.

– Bez tej cholernej halki jest mi znacznie wygodniej – zauważyłam i obydwoje się zaśmialiśmy.

Pomogłam mu wysiąść z łodzi.

– Kuter rybacki. Zielona flaga – powiedział.

Szukałam wzrokiem na całym nabrzeżu. Było pusto.

33

Spojrzeliśmy po sobie zaniepokojeni.

– Czy jesteś pewien, że to właściwe miejsce? – zapytałam drżącym głosem.

Skinął głową.

– Tam, gdzie doki Wielkiego Kanału dochodzą do Liffey. Tak mówili. Jesteśmy na miejscu.

– Może mieli awarię i musieli zacumować gdzie indziej. – Próbowałam być dobrej myśli. – Zostań tutaj, a ja zobaczę.

– Nie możesz szukać wzdłuż całej Liffey – uciął. – Trzeba się z tym pogodzić. Łódź odpłynęła bez nas. Czekanie na nią jest bez sensu. Narażamy się na niebezpieczeństwo.

– To co teraz robimy? – zapytałam cicho. W jednej chwili utraciłam wszelką nadzieję. – Chyba wracamy do pani Boone. Nie ma wyjścia.

– Powiedziałem ci, że tam nie pójdziemy – odparł stanowczo. Zamknął oczy. Potem spróbował zaczerpnąć głęboko powietrza, ale wydał stłumiony okrzyk bólu i chwycił się za bok. – Jest plan awaryjny – powiedział prawie szeptem. – Jeżeli powiadomimy na czas kogo trzeba, łódź zabierze nas z innego miejsca.

– To co musimy zrobić?

– Grania – powiedział. – Trzeba zaryzykować i pójść do Granii.

– Oszalałeś? Boisz się narazić na niebezpieczeństwo panią Boone, a chcesz odwiedzić Granię?

– Nikt nie podejrzewa jej o udział w spisku. Zwłaszcza teraz, kiedy spędza czas z mężem.

– No tak, zapomniałam! Mąż. Tym bardziej powinniśmy ją odwiedzić – skwitowałam ironicznie.

– Ktoś nam musi udzielić pomocy, Molly. Jakoś trzeba się wydostać z Dublina. Pomyśl, jesteśmy już blisko domu Granii. Dam radę dojść.

Wzięłam go pod rękę i tym razem nie odmówił mojej pomocy. Poszliśmy w głąb lądu i dość szybko znaleźliśmy się na eleganckim Merrion Square, przed domem Granii.

– Nie możemy tak po prostu stanąć przed drzwiami i zadzwonić – powiedziałam.

– Masz rację, nie możemy. Która jest godzina? Jeszcze nie ma ósmej. O tej porze służba jest zajęta. Poczekajmy przy stajniach.

Stanęliśmy, dygocząc, w przejściu obok.

– Stajenny pewnie jeszcze je kolację – powiedział Cullen. Oparł się o drewnianą konstrukcję i zamknął oczy.

– Dobrze się czujesz?

– Nie wiem – odparł. – Nie wiem, jak mocno mnie postrzelili.

– Co się stało w więzieniu?

– Kompletna katastrofa. Najwyraźniej dostali cynk. Kiedy podkładaliśmy materiały wybuchowe, pojawił się oddział policji królewskiej. Krzyczałem do innych, żeby uciekali, ale w końcu odpaliłem ładunek. To przynajmniej zaskoczyło tych w niebieskich mundurach. I spowodowało całkiem spore zniszczenia. Zaczęli do nas strzelać. Nie miałem nawet szans wejść do więzienia. Musiałem od razu uciekać razem z pozostałymi. Co za bałagan!

– A moi bracia? – zaczęłam, bojąc się usłyszeć odpowiedź. – Co się stało z Liamem? Czy zdążył uciec?

– Nie mam pojęcia. Widziałem, że niektórzy chłopcy biegli co sił w nogach.

– Myślę, że zastrzelili Josepha – powiedziałam. – Krzyknęłam, żeby zwiewał, ale wszędzie była policja. Nie wiem, co się z nim stało.

– Byłaś wspaniała – stwierdził.

Pokręciłam głową, wstrzymując łzy.

– To ja doprowadziłam do katastrofy. Nie, nie celowo, przysięgam. Wygląda na to, że policja śledziła mnie jeszcze na statku. Dowiedzieli się

o transporcie broni, ale pozwolili mi działać, bo chcieli sprawdzić, dokąd pójdę i co zrobię.

Kiwnął głową.

– Jak mówiłem, wróg nie jest głupi.

Grymas wykrzywił mu twarz. Cullen dotknął ręką boku.

– Obawiam się, że twoja halka całkowicie przesiąkła – powiedział.

W tym momencie otworzyły się drzwi i z pomieszczeń gospodarczych wyszedł stajenny, pogwizdując wesoło. Jak tylko zauważył dwie podejrzane postaci, przystanął zdziwiony. Cullen, zataczając się, ruszył w jego stronę.

– A, to pan! – wydusił chłopak.

– Mamy kłopoty, Johnnie – wyszeptał Cullen. – Pewnie jeszcze nie słyszałeś, ale mieliśmy małe spięcie z policją i musimy uciekać. Przekażesz swojej pani ważną wiadomość.

W oczach stajennego pojawił się strach.

– Tam są teraz goście na obiedzie, proszę pana. Stracę pracę, jak im przeszkodzę.

– A masz dostęp do pióra i papieru, chłopcze? Napiszę jej tę wiadomość.

– Mam pióro i papier w pokoju. Lepiej wejdźcie na górę.

Po skrzypiących zewnętrznych schodach poszliśmy do pokoi nad stajnią. Kiedy Johnnie znalazł notatnik oraz pióro i atrament, Cullen usiadł i zaczął pisać.

– Przekaż lokajowi i powiedz mu, że jakoś musi dostarczyć pani ten liścik. To sprawa życia i śmierci. Rozumiesz mnie, chłopcze?

Przerażony stajenny kiwnął głową, oczy miał okrągłe jak spodki.

– Będziemy musieli pożyczyć parę koni.

– Pożyczyć naszych koni, proszę pana? Bez pytania o zgodę?

– Nie mamy czasu do stracenia, Johnnie. Musimy uciec z miasta, dopóki jesteśmy w stanie.

Nie brałam udziału w rozmowie, ale przysłuchiwałam się jej z rosnącym niepokojem.

– Poczekaj – wtrąciłam się. – Nie potrafię jeździć konno. W życiu tego nie robiłam. Raz tylko oprowadzono mnie po polu na starej kobyle.

– Cholera – zaklął Cullen pod nosem. – Będziemy musieli pojechać na jednym.

– No, nie wiem, proszę pana. Przecież jaśnie pani... – zaczął Johnnie.

– Zaopiekuję się tym cholernym koniem i obiecuję, że tu wróci. O co jeszcze ci chodzi? Zrobisz to, o co proszę, czy mam wyciągnąć pistolet?

Chłopak wyglądał na przerażonego.

– Zrobię, o co pan prosi, proszę pana, ale boję się, że będę miał kłopoty.

– Wszystko wyjaśniłem w swoim liście, Johnnie. Masz go dostarczyć, jak tylko wyjedziemy. Wierz mi, nie napytamy ci biedy.

– Tak jest, proszę pana. Jakiego konia mam przyprowadzić?

– Takiego, który nie będzie potrzebny jutro rano i za którym nikt nie będzie przesadnie tęsknił.

– W takim razie dam wam Starego Podróżnika. Pan już na nim nie jeździ, odkąd kupił sobie nowego konia. Nazwał go Diabeł.

– Czy Stary Podróżnik to silne zwierzę?

– O tak, to wspaniały koń. Twardy jak stal.

– To bądź tak dobry i osiodłaj go.

– Poczekaj, Johnnie, czy masz bandaże i środek dezynfekujący? – zapytałam. – Pan Quinlan jest ranny.

– Tylko dla koni, panienko – odparł chłopak.

– Lepsze to niż nic. Przynieś mi, co masz.

Wrócił po chwili i stanął przy drzwiach, ciekaw, co zrobię.

– Pozwól mi zobaczyć tę ranę, Cullen – powiedziałam.

– Nie mamy teraz czasu.

– Daj mi przynajmniej założyć czysty kompres i bandaż. Chłopak będzie siodłał konia, zdążymy.

– Dobrze.

Rozpięłam mu koszulę i usłyszałam, jak stajenny tłumi krzyk na widok

ciemnej plamy krwi. Sama nie czułam się najlepiej, ale zdezynfekowałam ranę, założyłam kompres, a następnie mocno obwiązałam go bandażem.

– To musi wystarczyć, Molly – powiedział Cullen. – Nie możemy czekać ani minuty dłużej. Z tego, co się orientuję, pewnie zaraz obstawią wszystkie drogi.

Zeszliśmy na dół, do stajni. Stajenny nakładał siodło na grzbiet ogromnego konia. Może to tylko zły sen i zaraz się obudzę? Ostatnie tygodnie zmieniły się w jakiś narastający koszmar. Uciekając przed jednym potworem, natychmiast wpadałam w łapy następnego. Czy to się kiedykolwiek skończy? A jeśli tak, w jaki sposób? Może na końcu tej drogi czeka mnie największy koszmar ze wszystkich, czyli szubienica...

Koń został osiodłany. Johnnie już miał go wyprowadzić, kiedy usłyszeliśmy kroki na bruku.

– Ty tam! – warknął intruz. – Potrzebuję wierzchowca. Natychmiast.

A więc miałam rację. Koszmarny sen nigdy nie miał się skończyć. Głos należał do Justina Hartleya, który właśnie wszedł do stajni. Skurczyłam się w kącie, ale Justin nie zwrócił na nas uwagi. Chodziło mu tylko o Johnniego.

– O, już osiodłałeś dla mnie konia! Pewnie poinformował cię mój służący.

Podszedł do Starego Podróżnika, ale po chwili się zatrzymał i ze złości trzasnął Johnniego batem.

– Nie ten koń, ty głupku! Lord Ashburton powiedział mi, że mogę wziąć Diabła. Osiodłaj go natychmiast, zanim spuszczę ci manto. Na żadnym innym nie będę jeździł.

– Już się robi, proszę pana – powiedział chłopiec i wyprowadził pięknego czarnego konia.

Cullen i ja staliśmy bez ruchu w naszym kącie, aż Justin Hartley wskoczył na siodło i pogalopował w noc.

– Co za gbur – mruknął Cullen. – Niewiele brakowało – dodał.

Nawet nie masz pojęcia jak niewiele – pomyślałam. Ze zdenerwowania nogi odmówiły mi posłuszeństwa i cierpliwy Johnnie musiał wsadzić mnie na konia. Cullen, sycząc z bólu, ostrożnie usadowił się w siodle.

– Złap mnie mocno w pasie – powiedział. – Dla dobra nas obojga spróbuję

utrzymać równe tempo.

Wsunął stopy w strzemiona i pojechaliśmy. Chciałam przytulić się do niego, ale bałam się, że sprawię mu ból. Spróbowałam uchwycić się siodła, ale nie było jak. Miałam wrażenie, że siedzę na desce pływającej w oceanie. W dzieciństwie często bawiłam się w ten sposób.

Nie spadniesz – przekonywałam w myślach samą siebie.

Cullen poprowadził nas wąskimi ciemnymi uliczkami, aż zabudowę miejską zastąpiły duże domy oddalone od drogi. Następnie zmusił konia do cwału. Zdusiłam krzyk, bo rzucało mną w górę i w dół. Chciałam przylgnąć mocniej do Cullena i chwyciłam się jego ud jako jedynej stabilnej rzeczy. Po chwili zaczęłam czuć rytm nieco lepiej.

– Dokąd jedziemy? – zapytałam.

– Gdzieś, gdzie możemy się ukryć na noc – powiedział.

– A potem?

– Módlmy się, żeby łódź czekała w umówionym miejscu.

Zostawiliśmy za sobą ostatnie światła miasta i przed nami był teraz tylko otwarty teren. Było za ciemno, aby cokolwiek zobaczyć, ale na szczęście trafiliśmy na wąską dróżkę, która pięła się w górę po zboczu.

– Kierujemy się nad ocean? – zapytałam.

– Nie, jedziemy w głąb lądu! – odkrzyknął.

– Ale chyba powiedziałeś coś o łodzi.

– Drogi prowadzące nad wodę będą obstawione. Skręcimy w stronę oceanu nieco dalej.

Czasami mijaliśmy jakieś gospodarstwa. Ciepłe światła z okien zapraszały, kusząc obietnicą normalnego, spokojnego życia. W zagrodach szczekały psy. W końcu dotarliśmy na wrzosowiska. Cullen zatrzymał konia przed wielką żelazną bramą. Dziwne, ale otworzyła się, kiedy ją pchnęłam, więc wjechaliśmy na ogrodzony teren, zatrzymując się obok czegoś, co wyglądało jak stara ruina.

– Odpocznijmy chwilę – powiedział Cullen. – Zejdziesz sama? Nie dam rady ci pomóc.

Ześlizgnęłam się z konia w mało dystyngowany sposób, a potem pomogłam Cullenowi. Jęknął, dotykając stopami ziemi, i byłby upadł, gdybym go nie podtrzymała.

– Gdzie jesteśmy? – zapytałam.

– W bezpiecznym miejscu. Zostaniemy tu na noc – odpowiedział, oddychając ciężko.

– Jest tu ktoś, kto może opatrzyć twoją ranę?

– Nie, nie ma tu nikogo oprócz nas.

Podprowadził konia do przodu, poluzował uzdę, a następnie przywiązał zwierzę do drzewa.

– Musisz polubić to miejsce do jutra, staruszku. – Klepnął konia w bok, a potem odwrócił się do mnie. – Tędy – powiedział.

Budynek, który majaczył w ciemności, wyglądał jak stare opactwo, ponure, zbudowane z nieociosanego kamienia. W oknach nie było światła, które zapraszałoby do wnętrza. W zasadzie nie było widać żadnych świateł, nawet w oddali. Wiatr hulał w zaschniętych paprociach i nagich gałęziach drzew. Trzęsłam się z zimna.

– Co to za miejsce? – zapytałam.

– To stara kaplica, już nieużywana.

– Dlaczego tutaj?

– Ponieważ nikt tu nas nie znajdzie, a stąd jest prosta droga nad ocean.

Wszedł przede mną na boczny ganek i przekręcił dużą żelazną gałkę w drzwiach, które otworzyły się ze skrzypieniem. Weszłam za Cullenem do środka. Było ciemno choć oko wykol, pachniało stęchlizną i wilgocią.

– Nie podoba mi się tutaj – powiedziałam. – W tym miejscu jest jakaś zła energia. Czy to na pewno kaplica?

– Nie była używana od czasów Henryka VIII. I masz rację z tą złą energią. To pewnie tutaj sto lat temu spotykał się Klub Ognia Piekielnego.

– Błagam, chodźmy gdzie indziej. – Teraz naprawdę się trzęsłam.

Cullen odwrócił się i położył mi dłoń na ramieniu.

– Moja droga, może nie zdajesz sobie z tego sprawy, ale tej nocy będą nas szukać wszystkie siły porządkowe, z rozkazem „strzelać, zabić”. Nie ma innych miejsc, gdzie możemy bezpiecznie odpocząć.

– Dlaczego?

– Ponieważ jesteśmy na terenie majątku Hyde-Borne’ów, a jak wiemy, właściciele przebywają ze swoją świtą w Dublinie. Dlatego możemy zostawić tutaj konia. Będą wiedzieli, gdzie go szukać. A teraz znajdźmy suchy kąt i coś, na czym można się położyć.

Poruszaliśmy się po omacku, wpadając co rusz na stoły i ławy. W końcu zrobiliśmy z nich platformę, na której można było się położyć.

– Szkoda, że nie mamy światła – jęknęłam, kiedy po raz dziesiąty uderzyłam się w łydkę.

– I tak nie moglibyśmy ryzykować. To miejsce jest na wzgórzu. Światło w nieużywanej kaplicy na pewno nie uszłoby uwagi. Ktoś mógłby pomyśleć, że znów zebrał się tu Klub Ognia Piekielnego.

– Jestem głodna, zmarznięta i boję się – powiedziałam i od razu poczułam się okropnie. A przecież nie miałam rany postrzałowej! – Gdybyśmy mieli światło, mogłabym chociaż zmienić ci opatrunek.

– Później wyjdzie księżyc. Chyba że się zachmurzy – powiedział.

Rozłożyłam pelerynę na ławkach.

– Połóż się – poprosiłam. – Ja będę pełnić wartę.

– Bardzo się przysłużysz, pełniąc wartę. – Cullen stłumił śmiech, który zmienił się w kaszel. – Lepiej chodź i połóż się obok mnie.

– Ostatnim razem, gdy usłyszałam z ust mężczyzny te słowa, wpadłam w niezłe tarapaty – powiedziałam, a Cullen się uśmiechnął.

– Moja droga, obiecuję, że ze mną jesteś całkiem bezpieczna. Mogę jedynie zasnąć. Tylko na to mnie stać, choć przy innej okazji pewnie nie potrafiłbym nad sobą zapanować.

Wziął mnie za rękę.

– Chodź, Molly. Jest mi zimno. Potrzebuję cię.

Znowu jęknął, próbując się położyć. Pomogłam mu, a potem zwinęłam się obok i objęłam go ramieniem. Rzeczywiście, czułam, że cały trzęsie się z zimna. Pewnie zasnęliśmy na chwilę, bo kiedy się obudziłam, księżyc świecił prosto przez wysokie okno. Cullen miał nierówny oddech. Wstałam i otuliłam go peleryną. Otworzył oczy.

– Nadal cię boli? – zapytałam.

Kiwnął głową.

– Boli jak diabli, zwłaszcza kiedy oddycham.

– Jeśli staniesz w świetle księżyca, zmienię ci opatrunek.

Pokręcił głową.

– Nie możesz nic już dla mnie zrobić oprócz tego, że będziesz blisko. Chcę poczuć twoją obecność.

– Jestem tutaj. – Położyłam się obok niego i ponownie objęłam go ramieniem. – To już nie potrwa długo. Zejdziemy do łodzi, wyjmą ci tę kulę i wszystko będzie dobrze.

– Molly – powiedział cicho – wysłuchaj mnie uważnie. Wyjdziesz stąd, jak tylko zrobi się wystarczająco jasno, żeby widzieć drogę. Spoglądając na wschód, zobaczysz poniżej małą zatokę. Nieczęsto jest używana, odkąd zbudowano ten duży port w Kingstown. Zejdź prosto do niej po zboczu góry. Tam będzie czekać na ciebie łódka. Poznasz ją po czymś zielonym. To może być kapelusz lub nawet zielona chusteczka w kieszeni wioślarza. Zapyta cię, czy chciałabyś się wybrać w rejs na wyspę, a ty się zgodzisz. Jeśli nie zapyta, nie płyń z nim. To może być kolejna pułapka. Przy odrobinie szczęścia nasz statek przeczekał noc po drugiej stronie wyspy Dalkey.

– Dlaczego mówisz mi to wszystko? Pójdziemy razem.

– Nie wiem, czy będę w stanie – powiedział cicho.

– Nie bądź śmieszny, oczywiście, że będziesz.

– Straciłem bardzo dużo krwi, Molly. Jestem osłabiony. I każdy oddech pali mnie jak ogień.

Pochyliłam się i przycisnęłam policzek do twarzy Cullena.

– Wytrzymaj, proszę. Już niedługo. Nie możesz poddać się teraz, po tym

wszystkim, co przeszliśmy.

– Wiem. Jakie to głupie, prawda? Miałem takie wspaniałe idee, Molly. Takie piękne plany. Republika Irlandii, sami rządzimy własnym krajem. Czy za dużo chciałem?

– Oczywiście, że nie. To jeszcze nadejdzie, Cullen.

– Chciałbym w to wierzyć. – Westchnął. – Najważniejsze, żebyś ty ocalała. Jesteś młoda. Zasługujesz na szczęśliwe życie.

– Nie pójdę bez ciebie. Jakoś wsadzę cię na tego konia i dojedziemy do łodzi, nawet jeśli to będzie ostatnia rzecz, którą zrobię.

– Droga Molly. – Podniósł dłoń, aby pogłaskać mnie po włosach. – Gdyby obrót spraw był inny... – Nie dokończył. – Ten młody człowiek, który czeka na ciebie w domu...

– Tak?

– To skarb, Molly. Nie pozwól mu odejść. Gdybym tylko był rozsądny! Poświęciłem życie osobiste dla tego głupiego marzenia... Wszystko na darmo!

– Nie na darmo, Cullen. Nawet jeśli ten atak nie poszedł tak, jak planowaliśmy, zagraliśmy im na nerwach. A Irlandczycy przeczytają o naszych zabitych chłopcach i zaczną myśleć, że może też coś powinni zrobić. Zobaczysz. To małe kamyczki uruchamiają lawinę.

Znowu westchnął.

– Już prawie świta, Molly. Popatrz, księżyc zachodzi.

– Pozwól mi zmienić opatrunek.

– A skąd masz nowy?

– Zrobię go z bluzki i majtek.

Nie wiem, czy był to kaszel, czy śmiech.

– To chyba jedyny moment w moim życiu, gdy dziewczyna proponuje mi, że zdejmie majtki, a ja nie reaguję.

Śmiech przeszedł w atak kaszlu, a ja zauważyłam, że ślina, która ścieka mu po policzku, jest ciemna. Kaszlał krwią. Wytarłam ją rękawem.

– Nie mów już więcej. Musisz zachować siły. Powinniśmy chyba niebawem

ruszać, jak myślisz?

Nie odpowiedział. Przyjrzałam mu się uważnie. Oczy Cullena patrzyły w sufit i już nie słyszałam oddechu.

Nie wiem, jak długo siedziałam, trzymając go za rękę. Czułam smutek i bezsilność. Powinnam była zrobić dla Cullena znacznie więcej! Dlaczego nie potrafiłam go uratować? Po chwili zrozumiałam: mój przyjaciel wiedział, że nie przeżyje podróży. Dotarł tu tylko dla mnie, bo chciał, bym jak najszybciej uciekła z Dublina. Byłam dla niego ciężarem. Beze mnie z łatwością znalazłby kryjówkę w mieście. Może jakiś lekarz zdołałby usunąć kulę i zatrzymać krwawienie, a Cullen nie musiałby umierać? Ogarnęło mnie straszliwe poczucie winy. Łzy spływały mi po policzkach i spadały na zimny policzek mojego towarzysza.

– Wybacz, Cullen – wyszeptałam.

Zmusiłam się, by wstać. Nie pomogę ani sobie, ani jemu, jeśli dam się złapać. Otuliłam go swoją peleryną, złożyłam mu ręce na piersi, a potem na palcach wyszłam w szary świt.

34

W małym zagajniku na wzgórzu krakały wrony. Z daleka widziałam linię brzegową i otchłań morza. Zaledwie parę kilometrów, nie więcej. Nie będę zabierała konia: w najlepszym wypadku zwrócę na siebie uwagę, w najgorszym puści się w galop i mnie zrzuci. Mogę coś sobie złamać przy upadku, a wtedy na pewno mnie złapią. Nie, pójdę pieszo – postanowiłam. Spojrzałam na kaplicę. Ciemna i ponura, w świetle dnia robiła jeszcze gorsze wrażenie niż w nocy. To straszne, że muszę tam zostawić Cullena – pomyślałam i już prawie byłam gotowa zawrócić.

Koń najwyraźniej ucieszył się na mój widok i odprowadził mnie wzrokiem, kiedy go minęłam. Ktoś na pewno przyjdzie go zabrać i wówczas znajdzie ciało Cullena. Zaczęłam schodzić z góry po zielonej trawie i wkrótce trafiłam na szlak, który poprowadził mnie gładko na sam dół, aż moim oczom ukazał się ocean. Miasteczko właśnie budziło się do życia, piekarz otwierał okiennice, a mleczarz ładował z brzękiem konwie na wóz. Od zapachu świeżego pieczywa przez chwilę zakręciło mi się w głowie. Już chciałam wstąpić po bułkę, ale opanowałam się i obojętnie minęłam sklep.

Wreszcie dotarłam do portu, gdzie na kutrach pracowali rybacy. W pierwszej chwili nie zauważyłam zwykłej łódki z wiosłami, bo czekała w cieniu, ale gdy przechodziłam obok, usłyszałam czyjś głos:

– Panienko, może wycieczka na wyspę? Tylko parę groszy.

Spojrzałam na wioślarza z zieloną chustką na szyi.

– Czemu nie? – odparłam i po drabince zeszłam do łódki.

I to już właściwie cała historia. Dopłynęliśmy do statku – solidnego parowca, który czekał w zatoczce u wybrzeża wyspy. Już po chwili byliśmy w drodze do Francji. Było nas czworo, w tym również Liam. Josepha

zabrakło. Szlochając, rzuciliśmy się sobie z Liamem w objęcia. Kiedy opowiedziałam towarzyszom podróży o Cullenie, płakaliśmy jeszcze bardziej. Na pokładzie nie było Fitzpatricka, ale szczerze mówiąc, jego los w ogóle mnie nie obchodził. Jeśli szczęśliwie dotrę do Nowego Jorku, Tommy Burke usłyszy całą historię – postanowiłam.

Następnego dnia znaleźliśmy się w Bretanii i zarezerwowaliśmy miejsca na francuskim statku „L'Aquitaine", który wyruszał z Hawru do Ameryki. Na wszelki wypadek główny fałszerz Bractwa przygotował mi dokumenty na nazwisko Mary Delaney, więc po raz kolejny miałam płynąć do Stanów pod przybranym nazwiskiem.

Opuściliśmy port w Hawrze pięknego, zimnego poranka. Dym szedł prostym słupem w górę. Kiedy oddalaliśmy się od brzegów Francji, przyszło mi do głowy, że już nigdy nie wrócę do domu i nie zobaczę swoich braci. To była straszna myśl, ale po chwili zdałam sobie sprawę, że to Ameryka jest teraz moim domem. Czekali tam na mnie najbliżsi i życie pełne przygód. Jakże marzyłam o powrocie!

NOTKA HISTORYCZNA

Historia napadu na więzienie Kilmainham jest fikcyjna, ale dobrze oddaje wydarzenia, do których dochodziło w Irlandii pod panowaniem Brytyjczyków.

Bractwo Republikańskie to pierwowzór IRA – tajnej organizacji walczącej o autonomię Irlandii.

Córy Irlandii zostały opisane w sposób zgodny z prawdą historyczną. Tę organizację kobiecą, której celem było promowanie irlandzkich wartości i rodzimej kultury, założyła słynna aktorka Maud Gonne.

Niektórzy bohaterowie powieści mają swoje prototypy. Na przykład postać Granii Hyde-Borne wzorowałam na pewnej znanej i bogatej hrabinie, która porzuciła swój status społeczny na rzecz walki o niepodległość.

Większość pierwszych akcji bojowych planowano dokładnie tak jak atak na więzienie Kilmainham. Powstanie wielkanocne w roku 1916 można uznać za porażkę, trzeba jednak pamiętać, że gdy po jego upadku rozstrzeliwano młodych powstańców, Irlandczycy po raz pierwszy podnieśli bunt. Niepodległość mogła przyjść tylko wówczas, gdy w walkę o nią zaangażowało się całe społeczeństwo.

PRZYPISY

[1] Drugi, mniej formalny hymn Wielkiej Brytanii. Melodię skomponował Thomas Augustine Arne, autorem słów jest James Thomson (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

[2] Irlandzkie Bractwo Republikańskie – tajna organizacja działająca pod koniec XIX i na początku XX wieku, dążąca do wyzwolenia Irlandii spod władzy Wielkiej Brytanii.

[3] Ludowa pieśń szkocka. Jej słowa to wiersz Roberta Burnsa napisany w 1788 roku.

[4] Irlandzka organizacja założona w Dublinie w roku 1893, zajmująca się ochroną języka irlandzkiego.

[5] Royal Irish Constabulary – uzbrojona policja irlandzka, która powstała na początku XIX wieku.

[6] Brytyjskie więzienie w Dublinie zbudowane w 1789 roku. Obecnie mieści się tam muzeum.

Nakładem wydawnictwa Noir sur Blanc ukazały się następujące powieści Rhys Bowen:

PRAWO PANNY MURPHY
2013

ŚMIERĆ DETEKTYWA
2013

DO GROBOWEJ DESKI
2014

PIENIĄDZE TO NIE WSZYSTKO
2015

O MÓJ UKOCHANY!
2016